tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 24 (1223)
12-18.06.2023
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI
POLITYCY PAMIĘTAJĄCY I PAMIĘTLIWI

POLAK – WYMARZONY GASTARBEITER

PROCES BRZESKI – PONIŻANIE, GŁODZENIE, BICIE

SZTURM NA LICEA – PÓŁTORA ROCZNIKA IDZIE DO SZKOŁY

TAJEMNICE KOŚCIELNYCH ARCHIWÓW

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
24 >
9 771509 311300

eprasa.pl 6c60627df1

WOLFGANG AMADEUS MOZART

DON GIOVANNI

32. Festiwal Mozartowski w Warszawie

14 maja – 2 lipca 2023

29, 30 CZERWCA 2023

TEATR WARSZAWSKIEJ OPERY KAMERALNEJ

AL. SOLIDARNOŚCI 76B

Kierownictwo muzyczne

Tadeusz Kozłowski

Reżyseria, kostiumy

Michał Znaniecki

Scenografia

Rafał Olbiński

Luigi Scoglio

Warszawska Opera Kameralna

BILETY: **OPERAKAMERALNA.PL**

KASA TEATRU WOK, AL. SOLIDARNOŚCI 76B

25. lat Mazowsze

eprasa:pl:6c60627d1

Jerzy Domański

Spadanie z karuzeli

Historia znowu zatacza koło. Jest nierychliwa, ale z karuzeli władzy wszyscy w końcu spadają. Czasem na cztery łapy, ale najczęściej tak, że trudno coś pozbierać. Widzimy to teraz w Polsce. Etap teflonowości PiS i czasy, kiedy obozowi władzy żadna z setek afer nie była w stanie zaszkodzić, wchodzą w erę schyłkową. Teraz każde kolejne złodziejstwo będzie rezonowało jak kamień wrzucony do pustej beczki. I jak tam-tamy w dżungli trafi także tam, gdzie dotąd królowały media skolonizowane przez PiS.

Po 4 czerwca wśród ludu pisowskiego zaczął się przyśpieszony kurs szukania informacji poza nimi. Dotyczy to po części najwierniejszych wyborców PiS, ale bardziej tych, którzy, popierając politykę Kaczyńskiego, nie kupili zamiany białego na czarne. Chcieli w niedzielę zobaczyć, jak tam w tej Warszawie rzeczywiście jest. Ale w TVP Info nie dostali niczego poza komentarzami oderwanymi od realiów i serwowanymi przez ludzi z prawicowego marginesu. To, czego nie było w mediach rządowych, mogli zobaczyć w stacjach komercyjnych. I oglądali. Przekazy były tak różne, że ta publiczność, która korzystała wyłącznie z telewizji zbudowanej przez Jacka Kurskiego na fundamencie, że ciemny lud wszystko kupi, znalazła się w mocno niekomfortowym położeniu. Pewno nie jest to jeszcze rozwód ani nawet separacja. Ale droga do uważniejszego sprawdzania faktów i tego, co głoszą propagandyści dojnej zmiany, została otwarta. I nie wróży to im dalszego utrzymania ślepej wiary w czerwone paski w TVP Info, komunikaty Polskiego Radia i PAP.

Za tak bezczelne manipulacje i kłamstwa, jakie wyborcy PiS dostali 4 czerwca, te media i ich pracownicy dostaną od nich po głowie.

Nadchodzi czas zmian i czarna karta tych mediów, które miały być publicznymi, spadnie tam, gdzie od dawna jej miejsce. Widzów i słuchaczy, często ludzi o skromnych dochodach, czeka szok, gdy się dowiedzą, ile zarabiali pracownicy tych mediów za służbę w interesie władzy.

Przez osiem lat nic PiS nie potrafiło zaszkodzić. Teraz zobaczymy, czy przez cztery miesiące jest jeszcze coś, co pomoże im utrzymać władzę. Jak partii idzie, to nic nie jest w stanie jej zaszkodzić. A jak nie idzie, to nic nie jest w stanie jej pomóc. Czy ta dość uniwersalna zasada obejmuje także PiS? Tak. Jeśli ci, co mogli się policzyć 4 czerwca, do tego się dołożą.

Bardzo dziękuję za wszystkie dobre słowa i za wsparcie finansowe. Proszę o dalsze wpłaty na:
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
z dopiskiem: „Darowizna na rzecz PRZEGLĄDU"

BĄKOWSKI

eprasa.pl 6c60627df1

W NUMERZE

KRAJ

8 Tajemnice kościelnych archiwów
Co jest w sejfach biskupów

11 Historia zapisana w księgach metrykalnych
– rozmowa z ks. dr. Michałem Sołomieniukiem

14 Kto wygra ten marsz?
Nieład w PiS, Duda wchodzi do gry

18 Szturm na licea
Wyścig o miejsca

20 W poszukiwaniu pewnego zeszytu
Nie taka bieda straszna, jak ją malują

34 Prezydent musi zachowywać pozycję osobną i twardą
– rozmowa z Aleksandrem Kwaśniewskim

40 Drukarz to brzmi dumnie
150 lat związku poligrafów

ZAGRANICA

24 Gastarbeiter pilnie poszukiwany
Niemcy chętnie zatrudniają Polaków

28 Dwie dekady chaosu i niestabilności
Irakijczycy mają żal do Amerykanów

32 USA (znów) nie zbankrutują
Kłótnia o limit zadłużenia

HISTORIA

44 Uwięzić opozycję!
Oskarżeni w procesie brzeskim

KULTURA

48 Blisko problemów społecznych
– Luc i Jean-Pierre Dardenne

50 Qulturalia

66 Tadeusz Rolke. Beatrycze 2

OBSERWACJE

51 Pod pełnymi żaglami
Polska jachtową potęgą

60 Karkonoska sadyba

ZWIERZĘTA

54 Ptaki w wielkim mieście
Pałac Kultury i okolice

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Spadanie z karuzeli

17 Jan Widacki
Mity dobre, mity złe

27 Roman Kurkiewicz
Marsz w sosie własnym

31 Andrzej Szahaj
Chrześcijański socjalizm

39 Tomasz Jastrun
Błogostan

43 Wojciech Kuczok
Życie w ruinie

59 Agnieszka Wolny-Hamkało
Poziome życie w domkach

48
KULTURA

BLISKO PROBLEMÓW SPOŁECZNYCH
– Luc i Jean-Pierre Dardenne

51
OBSERWACJE

POD PEŁNYMI ŻAGLAMI
Polska jachtową potęgą

54
ZWIERZĘTA

PTAKI W WIELKIM MIEŚCIE
Pałac Kultury i okolice

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK, ARCHIWUM CYFROWE DIECEZJI KRAKOWSKIEJ

eprasa.pl 6c60627df1

Kłamstwo krakowskie

Pisząc o sprawie Pyjasa, prof. Andrzej Romanowski pewnie stracił kilku znajomych. Ale warto stanąć w obronie prawdy, nawet jeżeli jest ona niepopularna albo człowiek narazi się na kłopoty. Większe lub mniejsze.

Robert Śmigielski

•

Mity mają twarde i mocne życie. Ci, którzy korzystali z tego mitu, na pewno nie przyznają się do błędu.

Stanisław Kopciewicz

Polski balet międzynarodowy

Pan Krzysztof Pastor w wywiadzie w numerze 18. PRZEGLĄDU wyraża opinię, że bojkot twórców rosyjskich jest Polsce potrzebny. „Gdyby działania wojenne zaczęły się w Polsce, czy wystawialibyśmy balety Czajkowskiego?”, pyta retorycznie. Po pierwsze, to Polska ochoczo przystąpiła do tej wojny, którą USA prowadzą z Rosją rękami Ukraińców i na koszt m.in. Polski. Rosja z Polską jeszcze nie prowadzi żadnej wojny. A po drugie, czy w czasach, gdy USA bombardowały Serbię, napadały na Irak i Afganistan, pan Pastor bojkotował amerykańską twórczość?

I jeszcze jedno. Pan Pastor twierdzi, że Ukraińcy walczą również za nas. Nie wiem, czy Ukraińcom przychodzi to do głowy. I nie sądzę, by chcieli walczyć za Polaków. Wszak Bandera i jemu podobni nie przestali być w obecnej Ukrainie bohaterami narodowymi. Na razie Polska jest im potrzebna, bo daje za darmo broń, paliwo, prąd. I miliardowe „pożyczki” na wieczne nieoddanie. A jeśli za coś walczą, to za interesy amerykańskie. Bo tylko USA mają korzyści z tej wojny. I cieszy mnie, że pan Robert Bondara (PRZEGLĄD nr 20) ma w tej kwestii nieco odmienne zdanie.

T. Śpiewak

Z czym dziś kojarzy się Solidarność?

Z fragmentem „Fechtmistrza” Artura Péreza-Revertego (w tłumaczeniu Filipa Łobodzińskiego): „Pierwsze pokolenie potrzebuje Boga, więc go wymyśla. Drugie wznosi świątynie temu Bogu i usiłuje go naśladować. A trzecie bierze marmur z owych świątyń, buduje z niego burdele, w których czci własną chciwość, własny przepych i własną nikczemność. Tak już jest, że po bogach i bohaterach przychodzą zawsze, nieuchronnie, miernoty, tchórze i idioci...”.

Joanna Jakuszyk

•

Z robotniczym ruchem społecznym, który doprowadził do upadku systemu gospodarczego, w którym robotnik był kimś (w porównaniu z dzisiejszym prekariatem na śmieciówkach), oraz cwaniakami, którzy na plecach tych ludzi dorwali się do koryt, dożywotnio, i doprowadzili do wyprzedania kraju zachodniemu biznesowi.

Michał Czarnowski

•

Z pieskiem Piotra Dudy na darmowych wczasach w luksusowym ośrodku wypoczynkowym.

Albertyna Wolak

•

Z cynicznym wykorzystaniem legendy.

Barbara Krzemińska-Sobczyk

ZDJĘCIE TYGODNIA

Żałobnicy niosą ciało Mohammeda al-Tamimiego, trzyletniego palestyńskiego chłopca, który zmarł po postrzeleniu przez siły izraelskie. Ramallah, 5 czerwca 2023 r.

FOT. REUTERS/FORUM

eprasa.pl 6c60627df1

Marsz 4 czerwca w Warszawie to czarny sen władzy i nadzieja na zmianę po październikowych wyborach. Hasło „Mamy dość" najlepiej oddaje nastroje milionów Polaków. I nie zmienią tego kłamstwa w mediach okupowanych przez PiS.

•

15-osobowa **Wielka Izba Trybunału Sprawiedliwości UE** orzekła, że uchwalone przez polskiego ustawodawcę przepisy są niezgodne z gwarancjami dostępu do niezawisłego i bezstronnego sądu. Do tego wysokość kar nałożonych na Polskę i potrącanych z funduszy unijnych dla Polski przekroczyła **550 mln euro (czyli 2,5 mld zł).**

•

Sąd Najwyższy uchylił umorzenie sprawy Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika i dwóch innych byłych członków kierownictwa CBA. Sąd odwoławczy ma rozpoznać apelacje złożone w sprawie. Tym samym orzeczenie Trybunału Konstytucyjnego nie rodzi skutków prawnych.

•

Państwowa Komisja ds. Pedofili przysparza coraz więcej problemów. Siedmioosobowy organ ma 12 mln zł rocznego budżetu, co pozwala na zatrudnienie 44 osób. Od 2019 r. odeszło prawie 30 pracowników. Ze stanowisk zrezygnowali Błażej Kmieciak (przewodniczący) i Andrzej Nowarski (wiceprzewodniczący). Komisję kontroluje Państwowa Inspekcja Pracy.

•

W ambasadzie USA w Warszawie pracuje 600 osób, m.in. w biurze FBI. Za kadencji Brzezinskiego Polskę wizytowało ponad 120 członków Kongresu. Czyli jedna piąta amerykańskiego Senatu.

•

Branża handlowa zalega z płatnościami na prawie 2,2 mld zł (dane z Krajowego Rejestru Długów). 21,5 tys. hurtowni musi oddać ponad 1 mld zł. Sprzedawcy detaliczni są zadłużeni na 842 mln zł.

•

Za haniebnym spotem PiS, w którym zdjęcia z obozu zagłady Auschwitz-Birkenau zestawiono z marszem 4 czerwca, **stoi Michał Moskal**, bliski współpracownik prezesa Kaczyńskiego, dyrektor biura prezydialnego PiS.

•

5352 osoby ogłosiły bankructwo w I kwartale tego roku. Splajtowały również 122 firmy.

•

Najpopularniejszymi imionami, które nadawali dzieciom Niemcy w 2022 r., były **Emilian** i **Noah**. W Berlinie na czele był **Mohammed**, w trzech landach to imię znalazło się w trójce najpopularniejszych.

•

68 274 zł kosztuje metr kwadratowy najdroższego mieszkania w Polsce – 160-metrowego apartamentu w wieżowcu Cosmopolitan w Warszawie.

•

Za 1,2 mld zł Polacy kupili w 2022 r. luksusowe kosmetyki i perfumy.

•

Tylko 20% mieszkańców Meksyku ma bieżącą wodę w kranie.

•

607 tys. pociągów PKP miało w 2022 r. opóźnienie sięgające nawet 300 minut. Do 5 minut było opóźnionych 65% pociągów.

PRZEBŁYSKI

Majora Kolasy walka z trawą

Kim jest mjr Marcin Kolasa? Wiadomo, że od dwóch kadencji siedzi na fotelu szefa Związku Zawodowego Funkcjonariuszy Straży Granicznej. Nietypowy to związkowiec. Bożena Dunat z „Nie" pogrzebała mu w papierach i co wyszło? Kolasa dostaje kasę z trzech źródeł. Z etatu w Komendzie Głównej Straży Granicznej. Do tego od związkowców 4 tys. zł miesięcznie. Żeby był niezależny od komendanta gen. Tomasza Pragi. I… od tegoż Pragi premie. Jakieś 2 tys. zł, choć nieregularnie. Kolasa nie może narzekać. Za to związkowcy nie mogą na niego liczyć w żadnej sprawie, której nie akceptuje komendant. A na dodatek Kolasa okazał się wypalaczem trawy na swojej działce w Czernej (w Lubuskiem). Zaoszczędził na kontenerze. Spalił dwie wiaty i słup energetyczny. Trawę też. Kilkudziesięciu strażaków ratowało okolicę przed pożogą. Udało się.

Polskojęzyczny Puda

Jeszcze pamiętamy, a rolnicy do dziś są w szoku, jak ulubieniec premiera Morawieckiego doprowadził Ministerstwo Rolnictwa na skraj katastrofy. Mimo tej kompromitacji Grzegorz Puda uniknął wywiezienia na taczkach. A na dodatek dostał jeszcze tłustszą kurę. Morawiecki zrobił go ministrem funduszy i polityki regionalnej. Zna się na tym równie dobrze jak na rolnictwie. Nawet nie zdążył się zorientować, że Polska z powodu kar już straciła 550 mln euro (jakieś 2,5 mld zł). Puda nie widzi tych pieniędzy i zapewnia, że „cały czas prowadzimy z KE dialog". Z czym więc Puda ma problem? Z polskojęzyczną opozycją w Brukseli, która tam bruździ. Opozycja jest polskojęzyczna, Puda też. Tyle że jego polszczyzna jest tak byle jaka, że aż wstyd.

Dziedziczak wyciągnięty z naftaliny

Co wspólnego ma dziś Polonia z Janem Dziedziczakiem, pisowskim namiestnikiem rządu ds. Polonii i Polaków za granicą? NIC. Wystarczy przez chwilę posłuchać komunałów, które Dziedziczak wygłasza przy okazji licznych wyjazdów zagranicznych. Na jego widok ta część Polonii, która rządy PiS uważa za katastrofę dla Polski, odwraca się plecami. Nie ten format. Nie te maniery. Coraz większa rezerwa i nieufność. Tracimy wszyscy. Z Dziedziczakiem propolskiego lobby nie da się zbudować. Jest jak gość wyciągnięty z naftaliny.

Przepraszamy

Fundacja Oratio Recta, wydawca tygodnika „Przegląd", przeprasza Karolinę Dobrowolską za opublikowanie w dniu 14 lutego 2022 r. na łamach tygodnika „Przegląd" nieprawdziwych informacji na jej temat, ingerujących w jej życie prywatne i rodzinne oraz naruszających jej dobre imię. Wyrażamy ubolewanie nad faktem, że opublikowany przez tygodnik „Przegląd" materiał był nierzetelny.

•

Fundacja Oratio Recta, wydawca tygodnika „Przegląd", przeprasza radcę prawnego dr. Tymoteusza Zycha za opublikowanie w dniu 14 lutego 2022 r. na łamach tygodnika „Przegląd" nieprawdziwych informacji na jego temat, ingerujących w jego życie prywatne i rodzinne oraz naruszających jego dobre imię. Wyrażamy ubolewanie nad faktem, że opublikowany przez tygodnik „Przegląd" materiał był nierzetelny.

FOT. YOUTOUBE, GOV.PL (2)

eprasa.pl 6c60627df1

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

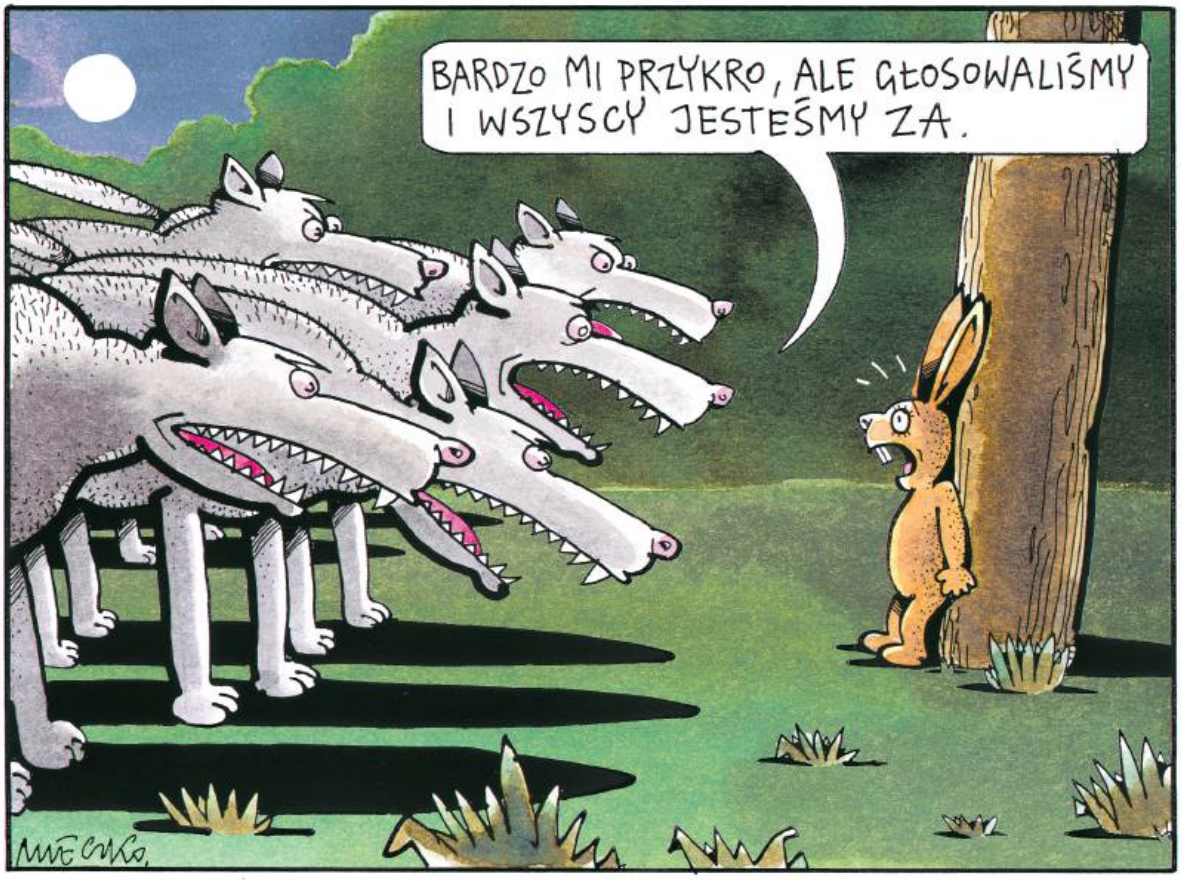

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego na marszu 4 czerwca była tak wielka frekwencja?

MARCIN DUMA,
prezes IBRiS

Frekwencja z 4 czerwca to wypadkowa co najmniej dwóch elementów. Po pierwsze, wyborca opozycyjny (nie dzielimy go na platformerskiego, trzeciodrogowego czy lewicowego) ma w sobie ogromny głód poczucia, że wygrana z PiS jest możliwa. Potrzeba więc było wydarzenia, które by tę wiarę przywróciło. Przypomnę, że ostatnie duże wystąpienia opozycyjne to były marsze związane ze Strajkiem Kobiet, czyli trzy lata temu. Po drugie, sześć dni przed marszem pan prezydent podpisał tzw. lex Tusk. Istnieją w związku z tą ustawą poważne podejrzenia, że ma służyć politycznej walce z opozycją. I to był kolejny element, który bardzo zmotywował wyborców opozycji, aby pójść na protest. Gdyby Andrzej Duda podpisał tę ustawę po 4 czerwca, nie zobaczylibyśmy aż takiego wzmożenia frekwencyjnego. Chociaż nie wątpię, że nadal byłoby na marszu dużo ludzi.

PROF. LECH SZCZEGÓŁA,
socjolog, Uniwersytet Zielonogórski

Pomogły oczywiście groteskowe działania pana prezydenta. Ale to czynnik wtórny. Wszyscy znamy powiedzenie o przepełnianiu się czary goryczy. Od kilku miesięcy kumulowało się poczucie bezsilności wobec serwowanego przez władzę koktajlu bezczelności, nieudolności i samozadowolenia. Polacy być może przyzwyczaili się tolerować arogancję czy chciwość polityków, ale w połączeniu z pogardą dla inaczej myślących stało się to już nieznośne. Obóz rządzący krok po kroku traci poczucie rzeczywistości i komunikuje się już tylko z własnym elektoratem. Nie ma tam już nikogo, kto o opozycji – a praktycznie o jej wyborcach – mówiłby inaczej niż „zdrajcy, agenci, pseudo-Polacy". Dodajmy do tego ośmieszający język opisu środowisk progresywnych i młodych kobiet. To wszystko powoli zaczyna się sumować.

PROF. ROBERT ALBERSKI,
dziekan Wydziału Nauk Społecznych, Uniwersytet Wrocławski

Mamy tutaj dwa konteksty. W Polsce władza szybko się zużywa. Do tej pory mieliśmy tylko dwa przypadki, w których partie utrzymywały się u sterów przez dwie kadencje. Zazwyczaj pod koniec drugiej kadencji partia popada w bardzo poważne kłopoty i jest osłabiona. Tak było z Platformą w 2015 r. Zdaje się, że coś podobnego dzieje się obecnie z PiS. Niedzielna manifestacja w pewnym sensie to pokazała. PiS w ciągu ośmiu lat zantagonizowało się z mnóstwem grup społecznych, którym z różnych powodów podpadło. I ci ludzie, m.in. nauczyciele, lekarze, rolnicy, naukowcy, przyszli 4 czerwca na marsz. To wyraźny sygnał zmęczenia obecną władzą. Drugi kontekst to rok ciężkiej pracy Donalda Tuska. Chodzi o tournée po Polsce lidera Platformy. To obudziło część wyborców z letargu, w jakim się znaleźli. Dlatego, kiedy ze strony Tuska pojawiła się propozycja, aby spotkać się i policzyć, okazało się, że jest wielu chętnych.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

eprasa.pl 6c60627df1

TAJEMNICE KOŚCIELNYCH ARCHIWÓW

Co jest w tajnych sejfach biskupów

Paweł Dybicz

Jeszcze kilka lat temu niewielu przewidywało, że archiwa kościelne staną się gorącym tematem, a dla biskupów niemalże gorącym kartoflem. Nie tyle one same, ile to, co jest w nich zgromadzone. Dawniej mało kto poza badaczami dziejów, głównie Kościoła, miał do czynienia z kościelnymi archiwaliami. Zwykły śmiertelnik – w zasadzie jedynie wtedy, gdy potrzebował odpowiedniego dokumentu do ślubu kościelnego lub spraw spadkowych. Od dziesięcioleci w sprawie ksiąg metrykalnych Polacy kierują się głównie do urzędów stanu cywilnego, które posiadają odpowiednie rejestry, sięgające przeszło sto lat wstecz.

Nie oznacza to jednak, że archiwa kościelne straciły na znaczeniu. Dla poszukujących przodków, ale przede wszystkim dla historyków, kościelne zbiory dokumentów stanowią bardzo cenne, niemalże niewyczerpane źródło informacji. Zwłaszcza księgi metrykalne dają wiele materiałów do badań w zakresie demografii historycznej, genealogii, życia poszczególnych osób, ale także życia miasteczek czy wiosek.

Dziś jednak nie te archiwalia budzą zainteresowanie społeczne. Gdy pod adresem wielu duchownych padają oskarżenia o przestępstwa pedofilii albo ukrywanie i tuszowanie takich spraw, archiwa nabrały znaczenia w stosunkach państwo-Kościół, jak również dla wymiaru sprawiedliwości.

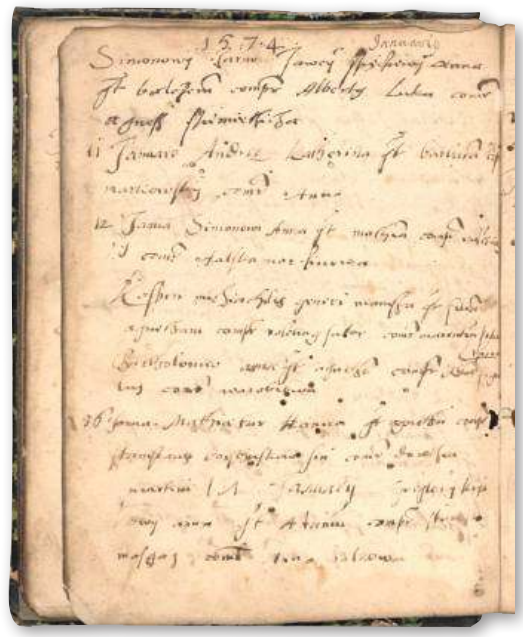

Liber Baptisatorum 1573--1596. Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie.

Dokumenty nadań

O szczególnym znaczeniu zbiorów archiwalnych Kościół był przekonany od wieków, już sobór trydencki (1545-1563) nakładał na duchownych obowiązek zabezpieczenia dokumentów. Chodziło głównie o dokumentowanie stanu posiadania, pergaminy, pisma potwierdzające nadania na rzecz parafii, diecezji lub klasztoru czy zakonu.

W Polsce zinstytucjonalizowane archiwa kościelne liczą sobie sto lat. Nie oznacza to, że wcześniej niektórzy biskupi nie podejmowali decyzji o gromadzeniu archiwaliów. Dopiero jednak po odzyskaniu niepodległości zaczęto tworzyć jednostki kościelne zajmujące się mniej lub bardziej historycznymi dokumentami. Pierwszą tego typu placówką było Archiwum Archidiecezji Poznańskiej, utworzone w 1925 r.

W 1992 i 2004 r. w wyniku reorganizacji struktur terytorialnych Kościoła w Polsce powstało kilkanaście nowych diecezji, teraz jest ich 44 i każda ma swoje archiwum. Pojęciem archiwum kościelne określa się zarówno te diecezjalne, jak i zakonne. Działają na mocy przyjętej w PRL ustawy z 1983 r. jako instytucja prywatna. Funkcjonują zaś na podstawie uchwalonego za czasów Jana Pawła II Kodeksu prawa kanonicznego, w którym zawarto następujący nakaz: „W każdej kurii, w miejscu bezpiecznym, należy urządzić archiwum diecezjalne, czyli depozyt dokumentów, w którym powinny być przechowywane dokumenty i pisma dotyczące spraw diecezjalnych – zarówno duchowych, jak i doczesnych – odpowiednio uporządkowane i jak najstaranniej strzeżone”.

W kościelnych archiwach gromadzone są przede wszystkim księgi metrykalne: ochrzczonych, zaślubionych i zmarłych, oraz tzw. księgi konsystorskie, dokumenty dotyczące zatrudnionych w parafiach (teczki osobowe) i finansów Kościoła, w tym zbiórek pieniędzy (tacy i kolędy), inwentarz, bieżąca korespondencja, kroniki działalności parafii. W tych zbiorach znajdują się też spuścizny po księżach i ludziach związanych z Kościołem. Archiwa diecezjalne nie gromadzą akt zakonów, gdyż te mają własne instytucje tego typu.

Ciekawostką jest to, że w ogromnej większości parafii księgi metrykalne nie różnią się formatem od tych używanych przed II wojną światową lub tuż po niej.

eprasa.pl 6c60627df1

Nawet skrótowe omówienie zawartości historycznych dokumentów zajęłoby cały numer PRZEGLĄDU, musimy zatem ograniczyć się do ogólnikowego stwierdzenia, że są niezwykle ważne dla polskiej historii. Tej wielkiej – politycznej, ale i historii małych ojczyzn.

Udostępnianie archiwaliów tzw. historycznych w zasadzie odbywa się bez kłopotów. O wiele trudniej uzyskać wgląd w takie, które mogą pokazać kler lub Kościół w złym świetle. Tu decyzja o udostępnianiu dokumentów (z tzw. archiwum bieżącego) należy do biskupa. Jego władzę w tym zakresie również określa Kodeks prawa kanonicznego. Jasno jest w nim zapisana konieczność istnienia tajnego archiwum. Kanon 489 par. 1 KPK ma brzmienie: „W kurii diecezjalnej powinno także być archiwum tajne albo przynajmniej w ogólnym archiwum powinna się znajdować kasa pancerna, dobrze zamknięta i umocowana, której nie da się wynieść z miejsca; należy tam przechowywać z największą starannością dokumenty tajne”.

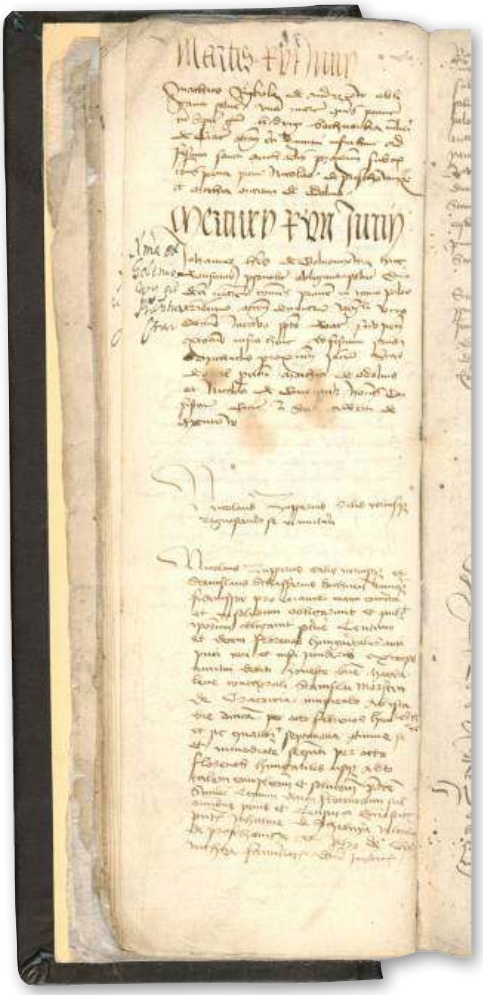

Acta Oficalia. Akta oficjalatu i wikariatu generalnego krakowskiego. Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie.

Tajne archiwum

O wiele ciekawszy jest jednak par. 2 tegoż kanonu: „Każdego roku należy zniszczyć dokumenty obyczajowych spraw karnych, gdy oskarżone w nich osoby zmarły, albo spraw zakończonych przed dziesięciu laty wyrokiem skazującym, zachowując krótkie streszczenie faktów wraz z tekstem wyroku kończącego postępowanie”.

Ten zapis prowadzi do wniosku, że sprawy duchownych, nie tylko związane z wykorzystywaniem seksualnym nieletnich, mają, a raczej będą miały niewielkie szanse na pełne ujawnienie. Bo przecież to strona kościelna decyduje, co będzie zawarte w owych streszczeniach. Chyba że Watykan postanowi inaczej.

Z tym paragrafem wiąże się jeszcze inna kwestia – w archiwach diecezjalnych nieprzerwanie poszukiwane są i przeszukiwane niewygodne akta. Nie tylko historycy wskazują, że przeciąganie poszczególnych spraw związanych z przestępstwami duchownych (nie chodzi wyłącznie o przestępstwa seksualne, ale np. też o finansowe) daje czas na czyszczenie archiwów z kłopotliwych dokumentów. Aczkolwiek to do końca może się nie udać, zawsze bowiem znajdzie się jakiś ślad, odprysk w innym dokumencie, choćby w kronice.

W archiwach diecezjalnych trwa poszukiwanie i przeszukiwanie niewygodnych akt.

Tajne archiwa zawierają najpilniej strzeżone tajemnice Kościoła („Klucz od tajnego archiwum może mieć tylko biskup”, czytamy w KPK). Przede wszystkim teczki osobowe. A więc różnego rodzaju wykazy kadrowe, charakterystyki duchownych, opisy spraw ich dotyczących. I oczywiście archiwalia dokumentujące finanse kościelne, jawne i niejawne. Oraz wszystko, co nie powinno ujrzeć światła dziennego. Tak przejrzane (czytaj: wyczyszczone) dokumenty z archiwum biskupa trafiają do archiwum historycznego Kościoła.

Historyczne dokumenty z reguły pisane były w języku Kościoła, czyli łacińskim, ale od renesansu coraz więcej było sporządzanych po polsku. W okresie zaborów księgi metrykalne zwykle sporządzano w języku zaborców – rosyjskim lub niemieckim. Dlatego nie tylko w archiwum w Katowicach znajdują się akta pisane w języku niemieckim, a nawet w staroniemieckim. W tymże archiwum są też dokumenty pisane w języku włoskim, czeskim, francuskim czy angielskim. W kościelnych zasobach znajdują się źródła pisane w staro-cerkiewno-słowiańskim, a niektóre archiwa posiadają dokumenty wytworzone do 1945 r. w parafiach za Bugiem, bo na mocy porozumienia władz polskich z radzieckimi wywieziono je w trakcie powojennych przesiedleń z Kresów Wschodnich. Niekiedy o losach zasobów kościelnych stanowił dany duchowny, np. metropolita wileński abp Romuald Jałbrzykowski podjął decyzję o pozostawieniu archiwum archidiecezjalnego nad Wilią, a nie zabraniu go do Białegostoku, gdzie został ordynariuszem.

W Krakowie najstarsze dokumenty pochodzą z pierwszej połowy XIV w. i są to akta oficjalatu (okręg sądownictwa kościelnego w ramach diecezji) i wikariatu generalnego krakowskiego. Ale są i inne rarytasy, np. w aktach konsystorskich archidiecezji lwowskiej (większość jej archiwaliów po wojnie trafiła do Polski) zachował się tekst przysięgi Jana Kazimierza złożonej w katedrze lwowskiej w 1656 r., w czasie potopu szwedzkiego, oddającej Rzeczpospolitą w opiekę Matce Boskiej, nazwanej Królową Polskiej Korony.

eprasa.pl 6c60627df1

Zniszczyć i streścić

Truizmem jest stwierdzenie, że archiwa kościelne są bezcenne dla dziejów Polski, niektóre liczą sobie tysiąc lat i dotyczą przeszłości zarówno kościelnej, jak i narodowej. Tak jak państwowe poniosły też wiele strat, głównie w wyniku obu wojen światowych.

W archiwach istniejących dziesiątki lat zbiory historyczne zwykle dzieli się na grupy: Akt Dawnych, czasem określane jako Archiwum Staropolskie, zawierające księgi wpisów kancelarii biskupich, konsystorskich i kapitulnych, wytworzone do XIX w., oraz Akt Nowych, zawierające archiwalia z XIX i XX w., określane jako akta spraw.

Najstarsze dokumenty powstawały na pergaminach, później na papierze. Niektóre są niezwykle cenne, jak akt fundacyjny klasztoru cystersów z 1153 r., zwany od imienia wystawcy dokumentem Zbiluta lub Zbyluta, będący w posiadaniu Archiwum Archidiecezjalnego w Gnieźnie. Został on wpisany na Listę Krajową Programu UNESCO „Pamięć świata". W kościelnym archiwum w Poznaniu najstarszym dokumentem pergaminowym (spośród wszystkich 1085) jest dokument wystawiony przez księcia Władysława Laskonogiego, pochodzący z 1231 r. Dokumentów papierowych instytucja ta posiada ponad 14 tys., ma również przeszło 1,7 tys. ksiąg metrykalnych.

Ciekawe są zasoby kościelnego archiwum w Toruniu. Znajdują się w nim zbiory pochodzące z archiwów w Pelplinie i diecezji toruńskiej, a także z Ratyzbony. Na mocy porozumienia episkopatów Polski i Niemiec z Centralnego Archiwum Biskupiego w Ratyzbonie w 2002 r. przekazano do Torunia księgi metrykalne, razem 660 woluminów. Najstarszymi dokumentami w tymże archiwum są księga chrztów z 1598 r. z parafii w Brzoziu Lubawskim oraz akta miejskie Golubia od 1530 r.

Brewiarz Jana Łaskiego. Archiwum Archidiecezjalne w Gnieźnie.

Archiwa kościelne to nie tylko zbiory dokumentów, ale także starodruki czy materiały ikonograficzne. Muzeum archidiecezji w Katowicach szczyci się np. albumem Stefana Pierzchalskiego, który, prowadząc zakład fotograficzny w Katowicach, dokumentował dzieje Górnego Śląska po Wielkiej Wojnie (1914-1918), w okresie powstań śląskich i plebiscytu (1919-1921) oraz do zamachu majowego.

Prawo kanoniczne nakazuje niszczyć dokumenty obyczajowych spraw karnych, gdy oskarżone osoby zmarły.

Osobnym, niezwykle ważnym problemem jest sposób przechowywania archiwaliów, zagrożenie ich utratą. Dlatego z każdym rokiem nabiera znaczenia digitalizacja dokumentów. Postępuje ona często dzięki państwowym dotacjom. W internecie coraz częściej pojawiają się dzięki temu zasoby archiwów kościelnych, głównie księgi metrykalne. Niektóre są sprzed wieków, np. archiwum w Szczecinie wśród zeskanowanych ma księgi małżeństw wsi Pilchowo (Polchow) z lat 1801-1834. Zdigitalizowane dokumenty można znaleźć nie tylko na stronach kościelnych archiwów, ale też na stronach placówek państwowych czy samorządowych. W zasobach Mazowieckiej Biblioteki Cyfrowej widnieje raptularz zgonów z Rzeczniowa obejmujący okres od roku 1797 do 1832 czy księga chrztów we wsi Waniewo z lat 1620-1665. Pojawianie się w sieci coraz większej liczby ksiąg metrykalnych powoduje, że znalezienie przodków staje się łatwiejsze i jest bardzo pomocne przy tworzeniu drzewa genealogicznego, również przez wyspecjalizowane stowarzyszenia czy firmy.

Należy też wspomnieć o archiwistach pracujących w kościelnych placówkach. Po emisji programu „Franciszkańska 3" w TVN 24, dotyczącego m.in. stosunku Jana Pawła II do spraw księży pedofilów, niemalże natychmiast został zwolniony zastępca dyrektora Archiwum Kurii Metropolitalnej w Krakowie. Fakt ten odbił się echem wśród archiwistów kościelnych, szczególnie niebędących duchownymi. „Powiało grozą, a w zasadzie jest to dla wszystkich nas ostrzeżenie. Już nie pogrożenie palcem, że nas, świeckich, będzie łatwiej się pozbyć niż tych w habitach", powiedział mi jeden z cywilnych pracowników archiwów. A skoro mowa o archiwistach, to w porównaniu z początkiem tego tysiąclecia coraz więcej jest wśród nich osób fachowo przygotowanych, absolwentów studiów historycznych o specjalności archiwistyka. To dobry trend, bo jeszcze 20-30 lat temu zdarzało się, że do archiwów kierowano (za karę?) duchownych bez specjalnego przygotowania. Znajomy historyk, korzystający z archiwów kościelnych, mówi, wśród ich pracowników są zarówno ludzie wielce uczynni, pomocni w znalezieniu źródeł, ale i tacy, którzy znajdują różne powody (czas modlitwy, postu, zagubienie

eprasa.pl 6c60627df1

dokumentu), by ograniczyć dostęp do zbiorów, nawet gdy ma się odpowiednią zgodę na wgląd do nich.

Historycy, sędziowie, prokuratorzy nie mają dostępu do archiwaliów kościelnych w takim stopniu jak do archiwów państwowych. Skandale pedofilskie wśród kleru wzmogły społeczne nawoływanie do szerszego otwarcia zasobów kościelnych. Niemałym zaskoczeniem może być fakt, że wszyscy niezwiązani służbowo z Kościołem historycy czy prawnicy jasno artykułują potrzebę nacjonalizacji kościelnych archiwów. Oczywiście mówią to prywatnie, bo żadne ciało ich grupujące, żadna instytucja nie przedstawi takiego stanowiska. Władza państwowa na nacjonalizację się nie zgodzi, poza tym musiałby przestać obowiązywać w Polsce konkordat – dziś sprawa niewyobrażalna. Podobnie rzecz się ma z nakazem prokuratorskim czy sądowym wkroczenia policji do siedziby kurii w celu przeszukania lub zajęcia zgromadzonych tam archiwaliów.

Chociaż w tej kwestii trochę się zmieniło, o czym świadczy postępowanie toczące się przed sądem w Chodzieży. Katarzyna Orzeł, sędzia prowadząca sprawę księdza pedofila, zagroziła, że jeśli metropolita poznański abp Stanisław Gądecki nie udostępni dokumentów odnoszących się do tego duchownego, wyda nakaz wkroczenia do jego siedziby. Trzeba tu wspomnieć okólnik Prokuratury Krajowej, narzucający podległym jej prokuratorom, by nie posuwali się do tego rodzaju gróźb. Sędzia Orzeł w pewnym sensie również zastosowała się do owego okólnika, zwracając się do Watykanu o nakazanie arcybiskupowi poznańskiemu udostępnienia akt księdza pedofila. I Watykan taki nakaz wydał. Opór przed udostępnianiem dokumentów nie zniknie, ale to wcale nie oznacza, że nie będzie przecieków z kręgów kościelnych, a może nawet znajdzie się jakiś polski Julian Assange z odpowiednikiem WikiLeaks. Trzeba jednak pamiętać, że kościelne dokumenty nie są w takim stopniu zdigitalizowane i scentralizowane jak w rządowych instytucjach USA.

Paweł Dybicz

p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Historia zapisana w księgach metrykalnych

Archiwa kościelne są archiwami prywatnymi i nie mają prawnego obowiązku udostępniania swojego zasobu badaczom

Rozmawia Paweł Dybicz

Na jakich zasadach działają kościelne archiwa, w myśl jakich przepisów – państwowych czy też mają osobne regulacje episkopatu Polski i Watykanu?

– Przede wszystkim muszę uściślić terminologię, bo nazwę archiwum można pojmować trojako. Jako instytucję wyspecjalizowaną w gromadzeniu, przechowywaniu, opracowaniu, zabezpieczaniu, konserwacji i udostępnianiu materiałów archiwalnych. Albo jako składnicę akt, która nie pełni wszystkich tych funkcji, a także jako ogół materiałów, wytworzonych przez jakiegoś aktotwórcę. Kiedy zatem ktoś mówi o archiwum, to myśli albo o instytucji, albo o budynku (pomieszczeniu) z aktami, albo o samych archiwaliach.

Myślałem o tej pierwszej, szerszej definicji.

– Muszę dodać jeszcze jedno ważne uściślenie. Archiwa pod względem datacji posiadanego materiału można podzielić na bieżące i historyczne. Będę mówił o archiwach historycznych, gdyż głównie w tym zakresie czuję się kompetentny.

W myśl wielokrotnie poprawianej i aktualizowanej Ustawy z dnia 14 lipca 1983 r. o narodowym zasobie archiwalnym i archiwach (tzw. ustawy archiwalnej) materiały archiwalne powstałe i powstające w wyniku działalności Kościołów i związków wyznaniowych tworzą ewidencjonowany niepaństwowy zasób archiwalny. Z punktu widzenia polskiego prawa archiwa kościelne są archiwami prywatnymi i jako takie: po pierwsze, są utrzymywane wyłącznie przez poszczególne osoby prawne Kościoła rzymskokatolickiego, po drugie, nie mają prawnego obowiązku udostępniania swojego zasobu badaczom. Archiwa kościelne, podobnie jak inne archiwa prywatne ze zbiorami historycznymi, mogą się ubiegać o dofinansowanie prac konserwatorskich lub digitalizacyjnych na zasadach ogólnych. Niektóre korzystają np. z corocznych programów Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego czy Naczelnej Dyrekcji Archiwów Państwowych.

Regulacje kościelne znajdują się w rozdziale II Kodeksu prawa kanonicznego w art. 2 „Kanclerz, inni notariusze i archiwum" (kanony 482-491). Zawarte w nich przepisy

KS. DR MICHAŁ SOŁOMIENIUK
– dyrektor Archiwum Archidiecezjalnego w Gnieźnie

FOT. MUZEUM REGIONALNE WE WRZEŚNI IM. DZIECI WRZESIŃSKICH

eprasa.pl 6c60627df1

są bardzo ogólne. Nie ma w nich szczegółowych regulacji dotyczących archiwów historycznych, a więc zawierających materiały, które nie są już konieczne do bieżącego funkcjonowania instytucji. W myśl prawa kanonicznego każdy biskup sam ustanawia normy korzystania z zasobu historycznego.

Czy archiwa kościelne są jakoś zhierarchizowane?

– Nie, nie tworzą żadnej struktury, analogicznej do archiwów państwowych. Można tu poczynić niedoskonałą analogię do archiwów zakładowych: one też nie stanowią żadnej struktury, a korzystanie z nich wymaga każdorazowo zgody właściciela akt, czyli zarządu firmy (ewentualnie delegowanego do tych spraw pracownika). Ponadto archiwa kościelne łączą nierzadko funkcje archiwum i biblioteki historycznej lub/oraz muzeum. Osobowość prawną w świetle prawa państwowego mają tylko dwa archiwa archidiecezjalne: szczecińskie i białostockie (to drugie jest połączone w jedną osobę prawną z muzeum).

Jakiego typu dokumenty są gromadzone, przez kogo wytworzone? Po jakim okresie są niszczone? Jakie czego dotyczą?

– Tam, gdzie istnieją diecezjalne archiwa historyczne, gromadzone są w nich materiały przekazane z instytucji centralnych danej (archi)diecezji: kurii, trybunału, seminarium duchownego oraz poszczególnych dekanatów i parafii. W archiwach zakonnych gromadzone są materiały historyczne dotyczące samego zakonu (np. jego prowincji lub klasztorów). Ponadto do archiwów diecezjalnych trafiają z poszczególnych kurii akta personalne zmarłych duchownych oraz nierzadko spuścizny po duchownych – listy, dyplomy, zdjęcia. Archiwiści często z własnej inicjatywy pozyskują archiwalia ruchów i stowarzyszeń kościelnych. Różnorodność tych dokumentów jest ogromna: od starych ksiąg metrykalnych, przez kroniki parafialne i akta bractw, po dokumentację administracyjną, finansową, budowlano-remontową i techniczną. W kościelnych archiwach zasadniczo brakuje się (czyli niszczy) jedynie duplikaty lub kopie dokumentów, a te będące w jednym egzemplarzu generalnie przechowywane są wieczyście.

Czy jest jakaś opieka, kontrola Archiwum Głównego Akt Dawnych, Archiwum Akt Nowych nad zbiorami archiwów kościelnych? Jest ona jakoś uregulowana umowami?

– Archiwa państwowe nie nadzorują ani nie kontrolują archiwów prywatnych, a takimi w świetle prawa są w Polsce archiwa kościelne. W praktyce archiwiści kościelni i państwowi utrzymują w wielu miejscach w Polsce robocze, życzliwe kontakty na poziomie regionalnym i lokalnym. Na poziomie ogólnopolskim działała natomiast w latach 2017-2021 Grupa Robocza ds. archiwów prowadzonych przez osoby prawne Kościoła rzymskokatolickiego. Grupę powołał naczelny dyrektor archiwów państwowych w porozumieniu z Konferencją Episkopatu Polski. Efektem pracy grupy jest „Katalog dobrych praktyk dla archiwistów kościelnych", który początkowo ukazał się w wersji cyfrowej, natomiast w tych dniach ukaże się w poprawionej i nieco rozszerzonej wersji papierowej. O to papierowe wydanie starało się Stowarzyszenie Archiwistów Kościelnych.

Zasady udostępniania zbiorów historycznych reguluje biskup diecezjalny lub odpowiedni przełożony zakonny.

Czy zasady udostępniania zbiorów są skodyfikowane? Co jest udostępniane, a co nie, kto i co o tym decyduje? I czego dotyczą odmowy udostępniania, jakich spraw?

– Jak już wspomniałem, zasady udostępniania zbiorów historycznych reguluje biskup diecezjalny (w odniesieniu do archiwów diecezjalnych) lub odpowiedni przełożony zakonny. Wiele szczegółowych przepisów jest wzorowanych na zasadach archiwów państwowych, np. bez poważnej przyczyny naukowej nie udostępnia się oryginałów akt średniowiecznych. Odmowa udostępnienia konkretnych akt może wynikać także z ochrony danych osobowych, ponieważ w archiwaliach sprzed np. 40 lat mogą się znajdować dokumenty z danymi na temat osób żyjących (rzeczywiście lub teoretycznie).

Wielu Polaków szuka przodków w księgach kościelnych. Jak te poszukiwania wyglądają w praktyce? Czy jest za nie odpłatność? W jakim stopniu księgi metrykalne są zdigitalizowane?

– Każda diecezja ma swoje regulacje w tym zakresie. Stopniowo odchodzi się od udostępniania oryginałów na rzecz udostępniania kopii cyfrowych, za czym przemawia troska o stan zachowania oryginałów. Nie umiem powiedzieć, w jakim stopniu metrykalia są zdigitalizowane w poszczególnych diecezjach. W ostatnich kilkunastu latach pojawiły się nowe możliwości poszukiwania wiedzy o przodkach, a to za sprawą prywatnych firm genealogicznych, które za odpłatnością przyjmują zlecenia od osób prywatnych i same dokonują badań w archiwach. Niektóre z tych firm na podstawie umów z dysponentami archiwów kościelnych przyjmują do realizacji również zlecenia genealogiczne, które wpływają do tychże archiwów (outsourcing). Ponadto już w czasach PRL, a także po 1989 r., działała w Polsce pewna amerykańska organizacja religijna, która mikrofilmowała księgi metrykalne zarówno w archiwach państwowych, jak i kościelnych. Dziś ona zdigitalizowała wiele z tych mikrofilmów i udostępnia je na swoich zasadach.

Po ilu latach są udostępniane, a po ilu niszczone dokumenty finansowe Kościoła?

– Pytanie jest nieprecyzyjne. O czyje sprawozdania i wobec kogo chodzi? Proszę pamiętać, że rozmawiamy o archiwach historycznych, więc najmłodsze dokumenty, w tym finansowe, będą tam dotyczyły co najwyżej okresu bezpośrednio po II wojnie światowej. W zespołach akt poszczególnych parafii często spotykamy skrupulatne rozliczenia,

eprasa.pl 6c60627df1

dotyczące wpływów z dzierżaw czy z funduszy na cele społeczne. Humorystycznie można powiedzieć, że nawet najstarszy dokument w archiwach polskich, tzw. złota bulla języka polskiego, też jest dokumentem poniekąd finansowym, ponieważ potwierdza uposażenie i strukturę dochodów archidiecezji gnieźnieńskiej z 1136 r. Ten pergaminowy dokument papieski jest przechowywany w Archiwum Archidiecezjalnym w Gnieźnie. Dokument ma niemal 900 lat i zapewniam, że nikt nie myśli o jego zniszczeniu, a nawet ostatnio został on zgłoszony na Listę Krajową Programu UNESCO „Pamięć świata”.

Czy zgodzi się ksiądz z dość powszechnie artykułowaną tezą, że archiwa kościelne są niedostępne i jest to pochodna konkordatu, zapisów o rozdziale państwa od Kościoła?

– Łatwiej by mi było odpowiedzieć na powyższe pytanie, gdybym mógł się odnieść do wypowiedzi konkretnych osób. Od kilkudziesięciu lat w wielu diecezjach archiwa historyczne funkcjonują podobnie jak archiwa państwowe, tj. mają czytelne i stałe godziny otwarcia. Ponadto inwentarze akt są publikowane albo samoistnie, albo w periodykach naukowych (głównie w półroczniku „Archiwa, Biblioteki i Muzea Kościelne”), wiele archiwów ma je także na swoich stronach internetowych. Problemy z udostępnianiem archiwaliów istnieją częściej w tzw. młodych diecezjach (powstałych w roku 1992 lub 2004), ponieważ nie w każdej zorganizowano osobne archiwum historyczne. W tym kontekście pytanie o konsekwencje konkordatu prowadzi do odwrotnej do pytania tezy: konkordat daje prawo do takich uregulowań w kwestii archiwów historycznych, jakie istnieją w zakresie wydziałów teologicznych na uniwersytetach państwowych. Do tych możliwości nigdy nie sięgnięto.

Dochodzą mnie głosy, że archiwalia kościelne nie są należycie przechowywane. Niszczeją, szczególnie te dawne, i są wyrzucane jako bezużyteczne. To przykre.

– Podobnie jak w poprzednim pytaniu trudno mi się odnieść do głosów, które dochodzą do pana. Tam, gdzie archiwum historyczne nie funkcjonuje jako instytucja z odpowiednim zespołem profesjonalistów, rzeczywiście może zabraknąć wrażliwości na dziedzictwo historyczne. Problem braku owej wrażliwości dotyczy wszystkich organów posiadających w swoim zasobie stare akta. W końcu lat 70., czyli „za komuny”, dyrekcja pewnego zacnego liceum pozwoliła na zniszczenie dokumentacji tegoż liceum z okresu zaboru pruskiego. Stało się to przy przenosinach ze starej siedziby do nowej. Jest mi przykro, kiedy duchowni biorą zły przykład z tych decydentów, którzy przy okazji remontów czy porządków niszczą „niepotrzebne” akta lub inne materiały o wartości historycznej. Pamiętajmy też, że do masowego, intencjonalnego niszczenia akt dochodziło w Polsce u schyłku reżimu komunistycznego, a palili te akta funkcjonariusze aparatu represji i działacze partyjni. O niczym takim nigdy nie słyszałem w odniesieniu do archiwaliów kościelnych.

Przyznam jednak panu rację, że należy zwiększać wrażliwość na dziedzictwo zawarte w dokumentach historycznych, i u duchownych, i u świeckich. Dlatego nasze archiwum prowadzi od 2012 r. stałą akcję Mecenat Skarbów Słowa, w ramach której pozyskuje darczyńców, zwanych Mecenasami i Miłośnikami Skarbów Słowa. Dzięki nim poddajemy konserwacji coraz to nowe obiekty, a przy okazji uwrażliwiamy ludzi na niewidoczne i nieoczywiste piękno tych skarbów, zamkniętych zazwyczaj w magazynach. Naszymi darczyńcami zostały nie tylko osoby prywatne, ale i organizacje polonijne, stowarzyszenia oraz... kibice Lecha Poznań. Bo, jak każdy wie, fani „Kolejorza” dbają o pamięć historyczną.

Pojawiły się nowe możliwości poszukiwania wiedzy o przodkach za sprawą prywatnych firm, które za odpłatnością dokonują badań w archiwach.

Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Wywiady Rosji, USA i Chin w nowej książce Tomasza Turowskiego

Zamów na **sklep.tygodnikprzeglad.pl**
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Pocztą Polską.

eprasa.pl 6c60627df1

Kto wygra ten marsz?

Po 4 czerwca: nieład w PiS, Duda wchodzi do gry

Robert Walenciak

Po marszu 4 czerwca i po tych kilku dniach, które od niego upłynęły, wiemy sporo. Po pierwsze, że rządząca prawica, choć niby zjednoczona, tak naprawdę jest mocno podzielona. Po drugie, że opozycja, choć tak różna, potrafi się jednoczyć w ważnych chwilach. Wyszło więc na odwrót – ale daleko idących wniosków nie powinniśmy z tego wyciągać. Bo w Polsce wszystko może się zmienić. W tydzień.

Zacznijmy od władzy. Andrzej Duda, pisałem o tym już tydzień temu, zaskoczył Prawo i Sprawiedliwość, ogłaszając, że wysyła do Sejmu nowelizację lex Tusk – ustawy, którą parę dni wcześniej podpisał. Co takiego się stało, że nagle zmienił zdanie?

Prezydent zmienił zdanie na temat komisji śledczej pod wpływem Amerykanów. Niezbyt się przejął, że stawia Kaczyńskiego pod ścianą.

Media wskazują jednoznacznie – prezydent zmienił zdanie na temat komisji śledczej pod wpływem nacisków ze strony Amerykanów. Niezbyt się przejął w tym momencie, że stawia Kaczyńskiego pod ścianą, że go zaskakuje. Bo po prostu gra swoje w pisowskiej orkiestrze.

Jeżeli ktoś jeszcze wątpił, że prawica jest rozerwana na kilka walczących ze sobą koterii – ma to wyłożone czarno na białym. Pisaliśmy niedawno o wojnie między Mateuszem Morawieckim a Zbigniewem Ziobrą. Ale przecież to niejedyna oś konfliktu wewnątrz obozu prawicy. Tam o swoje walczą historyczni liderzy PiS, czyli zakon PC, są grupy działaczy regionalnych. A teraz jedną z głównych ról chce odgrywać również Andrzej Duda, budując swoją pozycję poprzez dominującą rolę w polityce międzynarodowej i polityce bezpieczeństwa.

Armaty prezydenta

W tych obszarach rękę prezydenta dość łatwo zauważyć. Mariusz Błaszczak pewnie bez kłopotów obciążyłby generałów odpowiedzialnością za sprawę rosyjskiej rakiety, która wleciała do Polski, i wymusił dymisje, gdyby nie to, że generałów wsparł Duda. Mogli więc ministrowi i premierowi w należny sposób odpowiedzieć.

W sprawach polityki zagranicznej prezydenta jest aż nadto. To on ma decydujący głos w kontaktach ze Stanami Zjednoczonymi i NATO. Decyduje o nominacjach ambasadorskich. A o jego wpływach mógł niedawno się przekonać rzecznik MSZ Łukasz Jasina. Powiedział on w jednym z wywiadów, że prezydent Zełenski powinien przeprosić za rzeź wołyńską. Bo to sprawa tak ważna, że musi być załatwiona.

Nie miejmy wątpliwości – Jasina sam z siebie do tego by nie wzywał, musiał mieć wyraźną podpowiedź szefa. Można zatem przypuszczać, że w ten sposób minister Zbigniew Rau, a pewnie i jego zwierzchnicy chcieli dać znać ukraińskim władzom, że powinny w bardziej zdecydowany sposób wyjść naprzeciw polskim oczekiwaniom. Ale skończyło się to połowicznym sukcesem – słowa Jasiny wybrzmiały, ustosunkował się do nich ambasador Ukrainy w Warszawie Wasyl Zwarycz, gniewnie odpowiadając, że „jakiekolwiek próby narzucania prezydentowi Ukrainy czy Ukrainie, co musimy w sprawie wspólnej przeszłości, są nieakceptowalne". Ostatecznie ofiarą całej intrygi został Jasina, którego odesłano na urlop. I nie wiadomo, czy wróci do MSZ.

Jak ocenić to rozpychanie się Dudy w sprawach międzynarodowych i obronnych? Czy to znak, że szykuje sobie ważną rolę w instytucjach międzynarodowych? Tę możliwość wyklucza Jan Truszczyński, wieloletni ambasador RP w Unii Europejskiej. Skomentował to zresztą krótkim wpisem: „Duda miał i ma małe szanse. Nic tu jego wsparcie dla Ukrainy nie pomoże. Nie ma on w swoim *track record* żadnych dokonań, ani międzynarodowych, ani krajowych jako mediator, rozjemca, dostarczyciel koncepcji czy rozwiązań, kreator idei, twórca impulsów, budowniczy kompromisów. Dodajmy do tego słabą znajomość angielskiego, która nie wystarcza ani do prowadzenia wykładów z rundą pytań i odpowiedzi, ani do budowania przekonujących argumentów w poufnych dyplomatycznych kontaktach, ani do kierowania międzynarodowymi naradami czy konferencjami".

Co więc napędza Andrzeja Dudę?

Duda – zbawca PiS

W niedawnym wywiadzie dla Interii tłumaczył to Marcin Mastalerek, spin doktor Andrzeja Dudy. Z jego słów wynika, że pozycja międzynarodowa Dudy ma mu pomóc nie tyle w załatwieniu sobie pracy za granicą, ile w budowie pozycji wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy, czyli w walce o schedę po Kaczyńskim. Całkowicie należnej pozycji – jak podkreśla Mastalerek – bo Duda to

eprasa.pl 6c60627df1

Podpis prezydenta wyzwolił emocje. Takie absolutne pogwałcenie wszystkiego, co pogwałcić można, i przeciwko czemu należało protestować.

mąż opatrznościowy Zjednoczonej Prawicy i bez jego zwycięstw w roku 2015 i 2020 obóz ten nie tylko nie zdobyłby władzy, ale zwyczajnie by się rozpadł.

Mastalerek mówi otwarcie: „Słyszę dziś próby umniejszenia roli Andrzeja Dudy z roku 2015: ludzie, którzy zawdzięczają jego zwycięstwu fakt, że przez te lata mogli obejmować stanowiska i robić kariery ministrów, prezesów spółek, a co za tym idzie, inkasować bardzo duże pieniądze, czasem liczone w milionach, nie okazują elementarnej wdzięczności. To Andrzej Duda przełamał system w roku 2015, zresztą w roku 2020 dokonał czegoś równie ważnego, tylko odwrotnie: powstrzymał oczekiwanie wielkiej zmiany".

I dodaje: „Prawu i Sprawiedliwości powinno zależeć, żeby zaangażować Andrzeja Dudę w kampanię i podczepić się pod jego sukcesy i wizerunek. Mamy prezydenta, który jest dużo popularniejszy niż rząd, co kolegom w PiS trudno czasem zaakceptować. Ale to sztabowcom i liderom PiS powinno zależeć, by budować wizerunek współpracy z prezydentem. Na ich miejscu umówiłbym się w sekretariacie w Pałacu Prezydenckim i czekał na spotkanie, by namawiać go na wspólne projekty w kampanii".

Czy Jarosław Kaczyński, o którym nawet w PiS mówią, że jest coraz słabszy fizycznie, że już nie jest w stanie wszystkiego kontrolować, skorzysta z tych rad? Czy zawrze pakt z Dudą, którego ewidentnie nie lubi i nie ceni?

Tusk. Patrioci kontra zdrajcy. Tak zresztą jest dziś pozycjonowany przekaz PiS.

Wariant drugi, który podpowiada ustami Mastalerka Kancelaria Prezydenta, zakłada przyjęcie nowelizacji proponowanej przez Dudę. Czyli komisja zaczęłaby pracę w sierpniu. I nie byłaby głównym narzędziem kampanii, ale jej dopełnieniem. Sama kampania wyborcza prawicy

Andrzej Duda chce odgrywać jedną z głównych ról na prawicy.

Przekonamy się niebawem. PiS może bowiem w sprawie komisji ds. rosyjskich wpływów postąpić dwojako. Po pierwsze, ma już uchwaloną i podpisaną ustawę, wobec tego może zgodnie z jej zapisami powołać komisję i wybrać jej członków, by rozpoczęła działania. To znaczy, zaczęła przesłuchania. A projekt Dudy marszałek Witek może wrzucić do szuflady. Ten gest będzie oznaczał, że Jarosławowi Kaczyńskiemu Duda nie jest potrzebny, że kampania będzie rozgrywana na ostro. Jako plebiscyt: obecna władza kontra opierałaby się zaś na prezydencie i takich sprawach jak bezpieczeństwo, NATO, wojna, dyplomacja… Co oczywiście postawiłoby Andrzeja Dudę w głównej roli.

Którą ewentualność wybierze Kaczyński? Czy partia ugnie się, wpuści na listy wyborcze urzędników Dudy i przyjmie jego wizję kampanii? A jeżeli tak się stanie – jak zareaguje na to Ziobro? A jak Morawiecki? A lokalni działacze PiS? Jak oni patrzą na Andrzeja Dudę? Znaleźliśmy się u progu wojny wewnątrz Zjednoczonej Prawicy!

FOT. OLEG MARUSIC/REPORTER

eprasa.pl 6c60627df1

Jest jeszcze jeden ślad. Obserwując reakcję PiS i telewizji publicznej na marsz 4 czerwca, widzimy wyraźnie, że przekaz jest różny. Jedni to wydarzenie pomijają, udając, że go nie zauważyli, bo akurat grillowali, drudzy opowiadają głupoty, że frekwencja nie dopisała, a ludzie przyjechali do Warszawy, żeby odwiedzić zoo. Innymi słowy, PiS nie wypracowało jednolitego, spójnego stanowiska. Mimo że marsz był zapowiadany od tygodni. A to świadczy o ścieraniu się różnych grup i o tym, że poszczególni liderzy mają różne opinie.

Tokio w Warszawie

Jeżeli Zjednoczona Prawica pęka i spór, kto jest w niej bardziej, a kto mniej ważny staje się tam dominujący, to trochę inne nastroje są dzisiaj po stronie opozycji. To efekt prawie półmilionowej frekwencji na marszu 4 czerwca. Frekwencji, która przekroczyła najśmielsze oczekiwania, dając opozycji tak wyczekiwany zastrzyk optymizmu i paliwo polityczne. A skąd tak duża frekwencja?

„Wymieniłabym dwa jej powody – tłumaczy dr Anna Materska-Sosnowska z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW. – Po pierwsze, tworzyła ją obecność różnorakich grup, nie tylko zawodowych, ale i rozłożonych geograficznie, wiekowo, w różny sposób dotkniętych działaniami PiS. Na przykład ograniczaniem praw kobiet i prawa do samodecydowania, atakami na nauczycieli, brakiem dobrych rozwiązań dla rolników… Te grupy niezadowolonych z rządów PiS gwarantowały, że marsz będzie, i będzie dobry. A w ostatnich dniach nastąpiło przyśpieszenie. I to jest ten drugi powód wielkiej frekwencji – ustawa anty-Tusk. Czyli już takie absolutne pogwałcenie wszystkiego, co pogwałcić można, i przeciwko czemu należało protestować. Podpis prezydenta wyzwolił emocje. Wiem to od posłów – w piątek mieli zapełniony jeden autobus chętnych do wyjazdu na marsz, a już w poniedziałek trzy. Cała masa ludzi przyjechała zresztą własnymi pojazdami, przesiadając się potem do metra. Zapychając je! Czegoś takiego w metrze nie widziałam nawet w Tokio w godzinach szczytu”.

Jan Truszczyński: Duda miał i ma małe szanse na ważną rolę w instytucjach międzynarodowych. Jego wsparcie dla Ukrainy nic tu nie pomoże.

Dodajmy, że ustawa anty-Tusk zmieniła postawę liderów zarówno lewicy, jak i Trzeciej Drogi, czyli sojuszu PSL-Hołownia. Jeszcze kilka tygodni temu wszyscy oni patrzyli na marsz sceptycznie, uważając, że to przedsięwzięcie stricte platformerskie, inicjatywa Donalda Tuska. Po odrzuceniu weta Senatu i podpisaniu przez Dudę lex Tusk sytuacja się zmieniła. Marsz stał się rzeczywistym marszem w obronie reguł demokracji.

Tusk i złoty róg

I co dalej? Czy liderom opozycji uda się utrzymać nastrój z 4 czerwca? I czy uda się im wypracować modus vivendi? Czyli taki projekt wspólnego działania, który wzmacniałby opozycję, a nie osłabiał?

Dr Materska-Sosnowska uważa, że ten nastrój da się utrzymać, choć zastrzega, że „nie na tak wysokim C”. I podkreśla: „Marsz dał opozycji absolutny wiatr w żagle. Wiadomo, ten wiatr raz jest silniejszy, raz słabszy – ale jest! On dał nadzieję, przywrócił wiarę i pokazał wspólnotowość. Łatwo być bohaterem w Warszawie, trochę trudniej w małym mieście, gdzie wszystko należy do władzy i gdzie PiS rządzi. Ludzie przyjechali i zobaczyli, że nie są sami. I to da im paliwo. Istotna jest poza tym psychologiczna reakcja na marsz polityków PiS. Oni nie wiedzą, jak zareagować, w PiS zaczęła się panika. A trzeci powód, dla którego mobilizacja opozycji może się utrzymać, to postawa liderów. To, że będą się kłócić do ostatniego dnia, będą walczyć ze sobą w kampanii – to prawda. Bo na tym polega kampania. Ale pokazali też, że kiedy trzeba – to są razem”.

Jak więc będzie? Chyba najwięcej zależy w obecnej sytuacji od Donalda Tuska, którego i powołanie komisji, i marsz 4 czerwca wywindowały, uczyniły liderem opozycji. Ale to oznacza, że spoczywa na nim jeszcze większa odpowiedzialność niż dotąd, bo musi tę władzę dobrze spożytkować. Już wie, że siłą opozycji jest odklejenie łatki partyjniactwa, współpraca różnych odłamów, brak wzajemnej agresji. Ale jak to utrzymać?

Pierwsze działania Tuska po marszu wskazują, że wybrał wariant ucieczki do przodu. Że nie będzie opowiadał o jednej liście, tylko spróbuje odrywać rolę organizatora marszu. Tym razem marszu po władzę. To zresztą obiecywał na placu Zamkowym. „Chcę złożyć przed wami ślubowanie – mówił. – Idziemy do tych wyborów, aby zwyciężyć i naprawić ludzkie krzywdy. Ślubuję wam zwycięstwo, rozliczenie zła, zadośćuczynienie krzywdom ludzkim i pojednanie między Polakami”.

Czy Kaczyński ugnie się, wpuści na listy wyborcze urzędników Dudy i przyjmie jego wizję kampanii? Jak zareagują na to Ziobro, Morawiecki, lokalni działacze PiS?

Tym samym otworzył kampanię. Co samo w sobie jest zaskakujące, bo do wyborów jeszcze cztery i pół miesiąca, wszystko może się zdarzyć i niejednego przełomu będziemy świadkami. I niejednych wahań sondażowych.

Na razie w bitwie władza-opozycja jest remis. Przy czym opozycja ma więcej zapału, a władza więcej możliwości i środków. Piłka jest w grze.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6c60627df1

Z Galicji

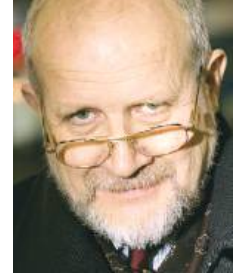

Jan Widacki

Mity dobre, mity złe

Ile razy można powtarzać za Cyceronem, że „historia jest nauczycielką życia", a za Józefem Szujskim, że „fałszywa historia jest mistrzynią fałszywej polityki"? Niby wszyscy to wiedzą. Nie słyszałem też, by te prawdy ktoś wprost kwestionował. By z nimi polemizował. Czy można czegoś się nauczyć na podstawie zafałszowanej, zmitologizowanej, polukrowanej historii? Logika mówi, że nie. A jednak za takie lukrowanie historii, mitologizowanie jej historycy dostają u nas najwyższe odznaczenia państwowe. A ci, którzy badają i opisują rzeczy z naszej przeszłości ohydne lub co najmniej wstydliwe, bo i takie mamy w historii, narażają się na gniew ministra od nauki. Na jego inwektywy, groźby, pouczenia, zapowiedzi obcięcia funduszy na badania. Ten minister, ewidentnie, choć może nieświadomie, jest pod rosyjskim wpływem i dlatego traktuje polskich uczonych tak, jak niegdyś w Wilnie traktował polskich profesorów i studentów Nowosilcow. A jak mamy być lepsi, jak mamy być mądrzejsi, jak mamy unikać dawnych błędów, jeśli ich nie zlokalizujemy, na nazwiemy, nie ocenimy? Czyli, krótko mówiąc, nie wyciągniemy nauki z historii?

Andrzej Romanowski napisał niedawno w PRZEGLĄDZIE, że „kłamstwo krakowskie" zrodziło „kłamstwo smoleńskie". „Kłamstwem krakowskim" nazwał Romanowski mit Stanisława Pyjasa. Ukazała się właśnie wydana w Czytelniku książka Cezarego Łazarewicza „Na Szewskiej. Sprawa Stanisława Pyjasa". Książka rzetelna, oparta na szerokiej bazie źródłowej, dotąd nieznanej szerszej publiczności, pokazująca, ile wokół tej sprawy narosło mitów, domysłów, plotek i zwykłych kłamstw. Śmierć Pyjasa stała się mitem założycielskim środowiska opozycyjnych krakowskich studentów, którzy przekonani, że został on zamordowany przez bezpiekę, założyli Studencki Komitet Solidarności. Wówczas w środowisku krakowskim było to przekonanie powszechne. Ale kto znał fakty? A władzy po prostu się nie wierzyło. Ale już w III RP ponowne śledztwo nie potwierdziło tezy o zabójstwie. Nie potwierdził jej także proces byłych funkcjonariuszy SB oskarżonych o utrudnianie śledztwa. Nie potwierdziło jej kilkuletnie ponowne śledztwo prowadzone przez Instytut Pamięci Narodowej, po cichutku umorzone. Wszystkie te śledztwa kończyły się jednym i tym samym wnioskiem: nie stwierdzono śladów pobicia Stanisława Pyjasa. Mechanizm jego śmierci polegał na zadławieniu się krwią po urazie biernym, jakiego doznał po upadku w stanie nietrzeźwym, prawdopodobnie ze schodów na klatce schodowej kamienicy przy ulicy Szewskiej w Krakowie.

W międzyczasie, nie czekając na wynik kolejnego śledztwa, najpierw na kamienicy przy Szewskiej, a później w budynku polonistyki służącego prawdzie Uniwersytetu Jagiellońskiego wmurowano tablicę informującą, że Pyjas został zamordowany przez komunistyczną Służbę Bezpieczeństwa. Przed domem studenckim Żaczek, w którym swego czasu waletował Pyjas, stosowny pomnik odsłonił sam minister Gliński, który w napuszonym jak zwykle przemówieniu mit Pyjasa (skądinąd wiadomo, że ateisty) „ubogacił" hipotezą, że „czerpał on siłę do działania z duszpasterstwa akademickiego, gdzie czuło się rękę przyszłego papieża Jana Pawła II". Ma też Pyjas w Krakowie swoją ulicę, a nawrócona skandalistka Nieznalska zrobiła o nim jako o męczenniku wystawę.

W sumie wcale by mi to nie przeszkadzało. Wiem, że wielu ludziom z węższego i szerszego grona znajomych Pyjasa ten mit niesłychanie poprawiał samopoczucie: „Bezpieka nas mordowała, a my nie daliśmy się zastraszyć. Walczyliśmy dalej". W tej konkretnej narracji walka polegała na ukrywaniu przeznaczonej na ulotki ryzy papieru w ulu „u tatusia w ogrodzie". Niech im tam.

Ale równocześnie za ten mit i za to dobre samopoczucie kilku osób zapłacił prof. Zdzisław Marek. Nie tylko odsądzany od czci i wiary, publicznie znieważany, zniesławiany, nazywany „ubeckim ekspertem", ale nawet w 1991 r. pozbawiony katedry. Za rzekome „naruszenie norm etycznych w działalności opiniodawczej". A tak naprawdę tylko za to, że jako medyk sądowy, mający zaufanie do swoich pracowników i solidarny z nimi, bronił ich ustaleń z sekcji. Tych ustaleń, które nie zostały podważone przez kolejne śledztwa i kolejnych biegłych medyków sądowych. Prof. Marek od ośmiu lat nie żyje. Do śmierci nie doczekał się od nikogo przeprosin. Ani od ludzi ze środowiska Studenckiego Komitetu Solidarności, ani od władz uczelni, z którą związany był przez kilkadziesiąt lat, a która zrobiła mu krzywdę największą. „Kłamstwo krakowskie" jest, jak widać, starannie pielęgnowane.

Wielu ludziom mit Pyjasa poprawiał samopoczucie: „Bezpieka nas mordowała, a my nie daliśmy się zastraszyć".

Może po lekturze książki Łazarewicza znajdzie się w tym gronie choć jeden sprawiedliwy i wydusi z siebie słowa: „Przepraszam, nie wiedziałem". Choć, szczerze mówiąc, nie bardzo na to liczę. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6c60627df1

Szturm na licea

Półtora rocznika idzie do szkoły

Anna Stachowiak

W maju ruszyła rekrutacja do szkół ponadpodstawowych. Za kilka miesięcy w liceach, technikach i szkołach zawodowych naukę rozpocznie sławne „półtora rocznika". Rywalizacja jest zacięta i nie dla każdego znajdzie się miejsce w wymarzonej szkole. Kiedy obniżano wiek szkolny, rocznik 2008 podzielono na pół, czego efektem jest właśnie większa liczba dzieci, dla których muszą znaleźć się miejsca we wrześniu br.

W 2014 r. obowiązkiem szkolnym zostały objęte sześciolatki urodzone w pierwszych sześciu miesiącach 2008 r., a dzieci, które urodziły się w drugiej połowie roku, mogły zacząć realizować obowiązek szkolny, jeśli tak zdecydowali ich rodzice. Od 1 września 2015 r. obowiązek szkolny dotyczył więc dzieci siedmioletnich urodzonych od 1 lipca do 31 grudnia 2008 r. oraz wszystkich sześciolatków z rocznika 2009.

15 tys. uczniów więcej

Na to, że w tym roku pójdzie do szkoły więcej uczniów i uczennic, można było się przygotować w trakcie reformy edukacji minister Anny Zalewskiej, ale już podwójna kumulacja związana z likwidacją gimnazjów sprawiła, że dzieci naprawdę trudno pomieścić.

„Sytuacja w polskiej i toruńskiej oświacie jest bardzo trudna. Deforma systemu związana z likwidacją gimnazjów doprowadziła m.in. do kumulacji roczników w szkołach ponadpodstawowych. Dotyczy to bieżącego i następnego roku szkolnego 2023/2024. Większa liczba kandydatów do klas pierwszych spowoduje wzrost liczby punktów uprawniających do przyjęcia do wymarzonej szkoły. Podczas rozmów m.in. na Komisji Oświaty i Sportu Rady Miasta Torunia zapewniano, że miejsc nie zabraknie. Mam nadzieję, że tak będzie", mówiła w rozmowie z toruńskim oddziałem „Gazety Wyborczej" Margareta Skerska-Roman, radna z Koalicji Obywatelskiej.

O miejsca nie będzie łatwo także dlatego, że uczniowie mogą składać wnioski o przyjęcie do kilku szkół publicznych. Przepisy ogólnokrajowe mówią o trzech szkołach, ale poszczególne samorządy mogą zwiększyć tę liczbę. Na przykład w Warszawie i Krakowie w ogóle nie ma ograniczeń liczby szkół, do których można składać wnioski. W Gdańsku ósmoklasiści mogą aplikować maksymalnie do pięciu szkół, a w Poznaniu – do sześciu. To sprawia, że w systemie miejsce de facto puste, z którego mógłby skorzystać ktoś inny, będzie figurowało jako zajęte. Z wyliczeń wynika, że w Warszawie do szkół ponadpodstawowych

FOT. PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS

eprasa.pl 6c60627df1

będzie startowało ok. 26 tys. dzieci. Jeśli dojdą miejscowości podwarszawskie i uczniowie z Ukrainy – nawet 35 tys. W ubiegłych latach było to średnio ok. 20 tys. uczniów i uczennic. W innych miastach jest podobnie.

W postępowaniu rekrutacyjnym uczniowie mogą zdobyć maksimum 200 pkt: połowę za oceny ze świadectwa, połowę za wyniki egzaminu ósmoklasisty. Dodatkowo punktowane są umiejętności artystyczne czy sportowe oraz wolontariat. Wolontariusze mogą liczyć na 3 pkt (tylko za działania na terenie szkoły), a za świadectwo z wyróżnieniem przysługuje 7 pkt. Punktowane są też oceny: 18 pkt za szóstkę, 17 za piątkę, 14 za ocenę dobrą, ale już za dopuszczającą zaledwie 2 pkt. Każda szkoła i klasa ma inne progi punktowe.

Dziecko na drugim planie

Psycholożka Justyna Żukowska-Gołębiewska, obserwując edukacyjny chaos i oblężenie gabinetów terapeutycznych, stwierdza: – Nie od dziś wiadomo, że zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży w Polsce wymaga natychmiastowej reakcji. Dzieci, które ostatnie trzy lata spędziły na radzeniu sobie z kryzysem pandemii, a potem wojny w Ukrainie, z czym wiązało się przyjmowanie do klas kolegów i koleżanek zza wschodniej granicy, dziś są często wyczerpane i bezsilne. Co roku od maja do sierpnia nie ma dnia, abym nie odebrała telefonu od zrozpaczonych rodziców, którzy nie wiedzą, jak pomóc dziecku, które nie dostało się do wymarzonej szkoły. Ten rok będzie podobny lub nawet gorszy od roku 2019, kiedy to mieliśmy stan po reformie edukacji i likwidacji gimnazjum. Wtedy także nastąpiło skumulowanie roczników. Już od listopada zeszłego roku coraz więcej uczniów z klas siódmych i ósmych szuka wsparcia psychologicznego.

Ekspertka podkreśla, że przywiązywanie aż takiej wagi do wyboru szkoły i wywieranie presji na dzieci nie przyczynia się do budowania ich poczucia własnej wartości i wyposażania w kompetencje przydatne w przyszłości. A przede wszystkim niewiele tu miejsca na samo dziecko, jego marzenia, emocje, obawy. – Najczęściej pomocy potrzebują dzieci, które z różnych przyczyn, czasami dysleksji, a czasami borykania się z psychicznymi konsekwencjami pandemii, mają poczucie, że są niewystarczające, że ich wartość określa to, do jakiego liceum się dostaną, jak zdadzą egzamin ósmoklasisty. Gdy presja dorosłych jest zbyt silna, zaczynają się okaleczać lub podejmują próby samobójcze. I choć rozumiem, że dorośli (rodzice, nauczyciele) nie mają złych intencji, to często zupełnie nieświadomie warunkują poczucie własnej wartości u dziecka od tego, do jakiej szkoły się dostanie – dodaje psycholożka.

Co dzieje się z dzieckiem, które ma poczucie, że to jego osiągnięcia są najważniejsze, ono samo zaś jest na drugim planie? – Takie dziecko często myśli o sobie, że jest warte kochania/szanowania/lubienia tylko wtedy, gdy dostanie się do szkoły o najwyższej pozycji w rankingu. Dorośli nie zdają sobie sprawy, że stres towarzyszący tak młodym ludziom na etapie, gdy cały ich mózg przechodzi naturalną transformację w wyniku dojrzewania, bywa doświadczeniem porównywalnym do stresu bojowego. Dziś w gabinecie widuję nastolatków, którzy uczyli się po 10 godzin na dobę, aby przygotować się do egzaminu, teraz są wyczerpani i bezsilni. Potracili przyjaźnie, zrezygnowali ze swoich pasji, bo nie mieli już na nie czasu. Nie potrafią odnaleźć dla siebie miejsca w grupie rówieśników. Czy faktycznie tego chcemy dla nowego pokolenia? Te dzieci ostatkiem tchu sięgają po łatwe sposoby regulowania poziomu dopaminy, czyli gry komputerowe, jedzenie, używki – ostrzega Justyna Żukowska-Gołębiewska.

Dobre liceum luksusem

Wymagania i próby sprostania im to ogromna część problemu. – Dobre liceum stało się synonimem luksusu, czymś elitarnym, trudno osiągalnym – podkreśla psycholożka. – To kusi przede wszystkim rodziców, którzy niejako za pomocą dziecka podnoszą swoje poczucie wartości. Mówią: zobacz, nasz syn dostał się do Staszica, wiesz, ile nas to kosztowało? Ile musieliśmy wydać na korepetycje? Ale czego się nie robi dla własnego dziecka…

I komu to służy? – Z całą pewnością nie dziecku – zaznacza Żukowska-Gołębiewska. – Potem się dziwimy, że gdy ten młody człowiek nie dostanie się nie tylko do wymarzonego przez rodziców czy nauczycieli liceum, ale w ogóle do żadnego innego z listy 10, 20 czy 30 najbardziej pożądanych (bo rocznik zdublowany, bo stres zjadł dziecko, bo kilka tysięcy uczniów ma podobne wyniki, a miejsc brak), to zamyka się w sobie lub przeciwnie – staje się agresywny i buntowniczy.

Psycholożka przyznaje, że czuje się jak na wojnie, a do jej gabinetu ciągle przyprowadzani są kolejni „ranni": – Marzę, aby to się skończyło, aby ktoś mądry zniósł egzaminy ósmoklasistów, aby ktoś mądry zrozumiał, że edukację można uprawiać w humanitarny sposób, bez szkody dla zdrowia psychicznego dzieci.

■

Na to, że w tym roku pójdzie do szkoły więcej uczniów i uczennic, można było się przygotować w trakcie reformy edukacji Anny Zalewskiej.

Podwójna kumulacja związana z likwidacją gimnazjów sprawiła, że dzieci naprawdę trudno pomieścić.

eprasa.pl 6c60627df1

W poszukiwaniu pewnego zeszytu

Nie taka bieda straszna, jak ją malują

Ewa Smolińska-Borecka

Od północy, od strony Grójca, do gminy Odrzywół wjeżdża się drogą wojewódzką 728. Pierwsza miejscowość to Wysokin. Tu dwa sklepy spożywczo-przemysłowe mieszczą się jeden naprzeciw drugiego. Po lewej stronie ten Roberta Zbrowskiego, miejscowego radnego z PiS, po prawej Stefana Kosuckiego. Obok drugiego sklepu kapliczka. Matka Boża po renowacji ma twarz lalki, z mocno zaczernionymi brwiami i dziwnym uśmiechem. Fotoreporter zachwyca się jej brzydotą i natychmiast musi ją uwiecznić. To nie podoba się miejscowym. Mimo wczesnej pory już siedzą na ławeczce pod sklepem, popijają piwko i obserwują. Od razu reagują na to fotografowanie. No bo kto dał pozwolenie, żeby ich Matce Boskiej robić zdjęcia?! Najbardziej zadziorny z mężczyzn gniewnie stwierdza, że fotoreporter powinien jego i jego towarzyszy spytać, czy może fotografować.

Źle się zaczęła ta wizyta w gminie Odrzywół. Ale już sklepowa u Kosuckiego okazuje się sympatyczna. Zachęca do kupowania pieczywa z pobliskiej piekarni, bo prawdziwe, bez polepszaczy, i ubolewa, że dopiero po południu przywiozą swojskie wędliny. W tej chwili są końcówki, najtańsza – mortadela – kosztuje ponad 17 zł za kilogram. Zwykły chleb jest po 5 zł za kilogram. U Kosuckiego nie sprzedaje się na zeszyt. Stały bywalec, który chce kupić drugie piwo, kryguje się, że ma tylko dziesięciogroszówki, i pewnie liczy, że dostanie na krechę. Ale sklepowa jest niewzruszona. U radnego też podobno na zeszyt nic kupić nie można.

Mądrości płynące z ula

Konwencja PiS zwykle odbywa się w Przysusze. To powiat zasłużony dla partii. W ostatnich wyborach do Sejmu głosowało tam na nią 70% wyborców. Jednak 12 maja br. konwencja odbyła się w Warszawie. Partia nazwała ją „Programowy ul". Premier w wystąpieniu powiedział m.in.: „Tylko osoba głucha, bez serca, nie zauważyłaby tego, że to właśnie w naszych czasach, czasach rządów PiS, skończyły się zakupy na zeszyt, w ogromnym stopniu". A skąd premier może to wiedzieć?

Ruszamy w Polskę, by sprawdzić, jak jest z tym kupowaniem na zeszyt. A konkretnie wybraliśmy się do tych gmin województwa mazowieckiego, w których dochód z podatków przypadający na jednego mieszkańca jest najniższy. Spośród 15 gmin aż pięć znajduje się w powiecie przysuskim. Najniższy dochód na mieszkańca, czyli pierwsze miejsce w rankingu biedy, ma gmina Rusinów – 644,36 zł, dalej są: Potworów (9. miejsce) – 811,26 zł, Klwów (10. miejsce) – 811,81 zł, Odrzywół (11. miejsce) – 829,16 zł i Borkowice (14. miejsce) – 866,95 zł. Tymczasem w Warszawie na jednego mieszkańca przypada 4861,20 zł. I wcale nie jest to miasto najbogatsze.

Stan wskazujący na spożycie

W Odrzywole gości wita znany dyskont. Ani tam, ani w żadnym innym dyskoncie czy sklepie należącym do jakiejś sieci handlowej

nie ma sensu pytanie o sprzedaż na zeszyt. Zwykle jest ona zakazana wewnętrznymi przepisami. Z kolei sprzedaż alkoholu „na kredyt lub pod zastaw", a więc np. na zeszyt, jest zakazana Ustawą o wychowaniu w trzeźwości i przeciwdziałaniu alkoholizmowi. Można za to stracić koncesję na sprzedaż alkoholu.

Rynek w Odrzywole jest duży, otoczony głównie parterowymi budynkami, które wyglądają dość ubogo. Od razu rzuca się w oczy biuro poselskie Dariusza Bąka z PiS. Dlaczego właśnie w tej wsi? Być może to forma podziękowania, bo w gminie Odrzywół w ostatnich wyborach na PiS oddano aż 80,87% głosów.

Przy rynku są dwa sklepy spożywcze: znanej sieci i prywatny. Ten drugi od kilkudziesięciu lat prowadzi starsze małżeństwo. Mówią, że teraz robią to właściwie bardziej dla rozrywki niż dla zysku. – Ratują nas niedziele, kiedy ludzie przyjeżdżają do kościoła – przyznają. Oni wtedy handlują, a sąsiedni sklep nie. – Nie sprzedajemy na zeszyt. Kiedyś sprzedawaliśmy, ale ludzie nie oddawali w terminie, trzeba było się upominać. Jeśli przyszedłby ktoś głodny, kto by nie miał pieniędzy, tobyśmy mu za darmo dali bułkę i coś do bułki.

Właściciele sklepu narzekają, że płacą podatki, a rynek jest

eprasa.pl 6c60627df1

U Kosuckiego nie sprzedaje się na zeszyt. Mortadela kosztuje ponad 17 zł za kilogram, zwykły chleb – 5 zł.

zaniedbany i brudny. Tymczasem w sąsiednich gminach, Klwowie i Potworowie, pięknie i czyściutko. Na dodatek w Odrzywole nie ma żadnego baru czy restauracji, żadnego miejsca rozrywki. Trudno się dziwić, że młodzież wyjeżdża do większych miast.

Starsze małżeństwo ma rację, ale jest trochę niesprawiedliwe, gmina zdobywa pieniądze unijne, rządowe i wojewódzkie na inwestycje. Na przykład 500 tys. zł z Rządowego Funduszu Inwestycji Lokalnych. Bez wątpienia zaś łatwiej o rządowe wsparcie, jeśli gmina jest przychylna partii rządzącej. Gminne władze także zdominowało PiS, bo w ostatnich wyborach dostało 45,30% głosów. PSL, które również walczyło o mandaty radnych, nie dostało żadnego, tymczasem PiS ma osiem na 15, czyli większość w radzie gminy. Z PiS jest wójt Marian Kmiecik.

Do sklepu wchodzi młody mężczyzna. Krok ma bardzo niepewny. Właściciel sklepu umówił się z nim, że pomoże przy rozładunku dostawczaka. Ale skoro jest w stanie mocno wskazującym na spożycie, do pracy się nie nadaje. Właściciel radzi, żeby poszedł do domu. Na zeszyt nie chce niczego mu sprzedać.

Tunele foliowe po sam horyzont

W gminie Klwów rządzi PSL. Partia zdobyła w wyborach samorządowych 53% głosów i ma 12 radnych, PiS tylko jednego. Do PSL należy też wójt Piotr Papis. Ludzie są widocznie zadowoleni z jego rządów, skoro wybierają go już od 2006 r. Nie wiadomo, jak to się dzieje, że Papis się trzyma, skoro np. w ostatnich wyborach do Sejmu za PiS było aż 70,19% wyborców.

Droga krajowa nr 48 łączy Odrzywół, Klwów i Potworów. Jedzie się znakomicie, bo jezdnia jest wyremontowana. Przy drodze wielki napis: „Zagłębie paprykowe. Gmina Klwów". Zaraz za nim zaczynają się połyskujące w słońcu tunele foliowe. Klwów jest faktycznie największym zagłębiem paprykowym w Polsce.

W urzędzie gminy, tuż obok sekretariatu wójta, wystawiono nagrody i puchary za dobre gospodarowanie. Jak to jest, że gmina niby biedna, a jednak świetnie sobie radzi? – Kiedy liczy się dochody podatkowe w gminie, to przyjmuje się m.in. dochody z podatku leśnego i rolnego, niezależnie od tego, co na tym gruncie się uprawia – tłumaczy Lidia Wiaderna, sekretarz gminy Klwów. – Jeśli dochód na jednego mieszkańca jest niski, przy pozyskiwaniu środków np. z funduszy unijnych może to być wartością dodaną. Nawet jeśli dochody podatkowe są niskie, to faktyczny poziom inwestycji w gminie zależy od tego, jak dobrym gospodarzem jest wójt. A nasz wójt aktywnie stara się o środki unijne i krajowe. Wszystkie inwestycje realizowane są ze wsparciem z tych środków.

Wcale więc nie znaczy, że bieda aż piszczy i że mieszkańcy są ubodzy, jeśli sama gmina ma niewielkie dochody. Niskie podatki są problemem gmin wiejskich, bo rolnicy płacą podatek w zależności od klasy gruntu. Jeżeli grunty są słabe, podatek jest niewysoki. Nawet jeśli na tym gruncie są tunele foliowe. – Wielu rolników uprawia tutaj paprykę lub inne warzywa w tunelach. Niektórzy mają 100-150 tuneli – wyjaśnia sekretarz gminy. – A bieda? W naszej gminie występuje jak wszędzie. Czy ludzie kupują na zeszyt? Podejrzewam, że niektórzy owszem. Ale myślę, że dotyczy to głównie emerytów, bo to grupa najbiedniejsza.

Z tunelu foliowego wychodzi młoda kobieta. Wygląda na zmęczoną. Nie zna nikogo, kto kupuje na zeszyt. Ona sama nigdy tego nie robiła. Kiedy 20 lat temu postawili z mężem pierwsze tunele i zaczęli uprawiać paprykę, zdarzało się, że pieniędzy brakowało. Ale wtedy pożyczali od rodziców. Teraz mają 20 tuneli. – Dziś jestem tu od świtu, opieliłam cztery tunele – wyjawia. – To ciężka praca. Trudno znaleźć ludzi do pomocy, dlatego głównie sami pracujemy, ja i mąż. Czasem zabieram ze sobą córkę, która chodzi do czwartej klasy, ale ona raczej przeszkadza, niż pomaga. Za to uczy się

Gmina Klwów to zagłębie paprykowe.

eprasa.pl 6c60627df1

szacunku do ciężkiej pracy. My nie liczymy na to, że ktoś nam da jakieś pieniądze, ale inwestujemy i pracujemy na swoim.

W popegeerowskim osiedlu

Urząd Gminy Potworów ma siedzibę w pobliżu kościoła, na skraju parku. W gminie żadna partia nie uzyskała większości, na 15 mandatów PiS ma sześć, a PSL – pięć. Wójt Marek Klimek jest z PiS. W ostatnich wyborach do Sejmu na tę partię głosowało 74% wyborców w gminie.

– 80% mieszkańców naszej gminy pracuje w rolnictwie, gdzie dochody są niskie – mówi sekretarz gminy Tomasz Górka. – Także podatki, które mieszkańcy płacą na rzecz gminy, są niższe niż podatki płacone przez osoby pracujące poza rolnictwem. To się przekłada na dochody gminy. Oczywiście część rolników radzi sobie lepiej, bo uprawia warzywa pod osłonami, ale są to bardzo niepewne dochody, ponieważ sytuacja na rynkach nieustannie się zmienia.

Tomasz Górka przyznaje, że poziom życia jest niższy niż w miastach czy w gminach miejskich, gdzie mieszkańcy pracują poza rolnictwem. – Ponieważ nasze własne dochody podatkowe są niewielkie, musimy się opierać na źródłach zewnętrznych – wyjaśnia. – Źródłem bezpośredniej pomocy jest 500+. Był taki ranking, kiedy wprowadzono 500+, że nasza gmina znalazła się na pierwszym miejscu w Polsce pod względem udzielanych świadczeń w stosunku do liczby mieszkańców. Na pewno w jakiś sposób 500+ sprawiło, że rodzinom najbiedniejszym, które mają dzieci, żyje się nieco lżej. Natomiast jeśli chodzi o budowę infrastruktury, to również opieramy się prawie wyłącznie na źródłach zewnętrznych – na pozyskiwaniu środków unijnych, a w tej chwili jest duża pomoc z budżetu państwa z Polskiego Ładu. Bez tej pomocy gmina nie byłaby w stanie zbyt wiele zrobić.

Czy mieszkańcy gminy kupują na zeszyt? – Nie sądzę, żeby tu było aż tak źle – twierdzi Górka. – Myślę, że rodzin o tak niskich dochodach raczej nie ma. Były rodziny z jakimiś problemami związanymi z nadużywaniem alkoholu. Nasz gminny ośrodek pomocy społecznej stara się reagować i w ostateczności tym rodzinom pomoc jest też udzielana w naturze, żeby zapobiegać marnotrawieniu: w produktach żywnościowych, odzieży. Kupowanie na zeszyt zdarzało się na przełomie lat 80. i 90., po transformacji, kiedy sytuacja zrobiła się trudna.

W popegeerowskim osiedlu mieszka kilkadziesiąt rodzin. Każda ma kawałek ogródka.

W Potworowie w pobliżu urzędu gminy funkcjonują dwa sklepy znanych sieci i dwa duże markety. Tu na pewno nie sprzedaje się na zeszyt. Młoda kobieta właśnie wyszła z marketu. – Ja nigdy nie kupowałam na zeszyt – Marta kładzie nacisk na nigdy. – Wiem, że ludzie chętnie kupowaliby na krechę, ale jest jeden problem – potem trzeba pieniądze oddać.

Ta niechęć do oddawania długów sprawiła, że na początku XXI w. wiele sklepów zrezygnowało ze sprzedaży na zeszyt. Marta nie wskaże osób, które mogłyby nadal w ten sposób kupować. Tyle kiedyś się mówiło o tym, że ludzie z osiedli popegeerowskich sobie nie radzą. Ale czy w potworowskim osiedlu są takie osoby, nie wie.

Dom jest parterowy i wygląda biednie. Tynk zewnętrzny prawie w całości odpadł i budynek straszy starymi, wykruszonymi cegłami. Ale nie jest to budynek popegeerowski. Przed domem ładnie utrzymane grządki. Starszy mężczyzna podlewa swoje uprawy. Mieszka tu od niedawna i jest bardzo wdzięczny gminie, że dostał w tym budynku 25-metrowe mieszkanie. Na pytanie, jak to się stało, że na stare lata został bez dachu nad głową, mówi oględnie: „Tak się ułożyło". Czy kupuje w sklepach na zeszyt? Nie. Czy kiedyś kupował? Nie.

Osiedle popegeerowskie jest porządne. Cztery domy: dwa jednopiętrowe i dwa, nowsze, dwupiętrowe, z dużymi balkonami albo loggiami. Mieszka tu kilkadziesiąt rodzin. Każda ma kawałek ogródka i budynek gospodarczy. Właściwie prawie wszystkie te budyneczki zostały zamienione na garaże. Przed swoim garażem mężczyzna grzebie w samochodzie, żeby oszczędzić na mechaniku. Czy kupuje na zeszyt? Nie. Widząc obcych, młoda kobieta wychodzi przed klatkę i przywołuje kilkuletnią córkę. Tak na wszelki wypadek, bo teraz to różni ludzie się kręcą. Czy kupuje na zeszyt? – Nigdy mi się to nie zdarzyło. Jakoś dajemy sobie radę – wyjaśnia. – Czasem pokazują w telewizji popegeerowskie osiedla i ludzi, którzy są dotknięci patologią. Tu tego nigdy nie było.

A czasem i pomoc z funduszy unijnych się pojawia. W ubiegłym roku 40 dzieci z rodzin popegeerowskich

eprasa.pl 6c60627df1

dostało laptopy. Kosztowały w sumie 105 tys. zł i były dofinansowane z Funduszy Europejskich Polska Cyfrowa „Granty PPGR – Wsparcie dzieci i wnuków byłych pracowników PGR w rozwoju cyfrowym".

Starsza kobieta siedzi samotnie przed swoją szopką. Mąż i syn umarli, a ludzie teraz inni niż kiedyś. Młodzi patrzą tylko w te komórki, nie gadają ze starszymi. Kiedyś, kiedy była młoda, w osiedlu życie tętniło. Ludzie się spotykali, śmiali się, bawili. A na zeszyt kupuje? – Nie, nie kupuję, mam emeryturę i jakoś mi starcza. Kiedyś też nie kupowałam, bo męża miałam dobrego, nie pił, tylko trochę palił, dbał o rodzinę, pieniądze z wypłaty do domu przynosił, biedy nie było. A kiedy w latach 90. PGR zlikwidowali, wójt organizował różne prace interwencyjne, żeby ludzie mogli jakoś zarobić.

– Czy państwo kogoś szukają? – kobieta wychyla się z balkonu, widząc dwie obce osoby, a w bloku naprzeciwko wygląda mężczyzna. Tłumaczymy się, opowiadamy o artykule. – Ja nigdy nie kupowałam na zeszyt – mówi kobieta. – W naszym osiedlu nie ma biedy ani demoralizacji. Jak PGR zlikwidowali, to każdy mógł kupić swoje mieszkanie. My też kupiliśmy. No i teraz musimy wspólnie dbać o nasz dom. A skoro nie było pieniędzy na ocieplenie budynku, to my i czterech innych sąsiadów złożyliśmy się i ocieplilismy swoją część elewacji. Myślę, że kiedyś złożą się kolejni sąsiedzi. I tak w końcu ocieplimy cały nasz dom.

O spożywkę nie pytają

Gmina Rusinów jest najbiedniejszą gminą w województwie mazowieckim. Choć pojęcie biedy jest względne. Wprawdzie wskaźnik podstawowych dochodów podatkowych wynosi tu tylko 644,36 zł na mieszkańca, ale od czego jest pomoc z janosikowego (wpłata do budżetu państwa dokonywana przez jednostki samorządu terytorialnego o dochodach z podatków powyżej pewnego wskaźnika – przyp. red.) i niewielka pomoc przyjaciół? Szczególnie jeśli przyjaciółmi są ludzie rządzący krajem. W ostatnich wyborach samorządowych właśnie w gminie Rusinów doszło do ostrej walki o fotel wójta, tak bardzo ludzie chcieli rządzić tą biedną gminą. Z niewiadomych powodów Komitet Wyborczy PiS w ogóle nie wystawił swoich kandydatów. Za to wystawił ich w dużej liczbie Komitet Wyborczy Wyborców Darka Maraska, który przedstawiał się jako członek PiS. Walka rozstrzygnęła się w drugiej turze, zwyciężył kandydat Komitetu Wyborczego PSL Marian Wesołowski. PSL zdobył poza tym sześć mandatów radnych. A KWW Darka Maraska jedynie dwa głosy.

Urząd gminy zamknięty, bo to już po godzinach pracy. Budynek skromny, jak na ubogą gminę przystało. Najbardziej reprezentacyjny budynek w gminie to pałac, będący obecnie w rękach prywatnych. Niestety, brama do parku zamknięta, bo pałac, wynajmowany na uroczystości i eventy, jest otwierany tylko w weekendy.

Naprzeciwko urzędu gminy sklep znanej sieci. Samoobsługowy, ale kameralny, z sympatyczną ekspedientką za ladą. Gdy spytać o sprzedaż na zeszyt, uśmiecha się. – No pewnie, że są tacy, którzy proszą, żeby sprzedać na zeszyt, ale ja odmawiam – wyjaśnia kobieta. – Zwykle nie chodzi im o spożywkę, ale o alkohol.

We wsi są też dwa markety, w których na zeszyt się nie sprzedaje. W pobliżu jednego z nich w przydomowym ogrodzie stoi starszy mężczyzna. Nieufny. Ktoś mu wbił do głowy, że należy bać się obcych, bo to mogą być wysłannicy Putina. Ciekawe, po co mieliby się pojawić akurat w tej najbiedniejszej gminie w województwie.

– Nie kupuję na zeszyt – mówi starszy pan. – Ja i żona mamy emerytury, razem 2,5 tys. zł, i jakoś sobie radzimy.

I powtarza zasłyszane gdzieś mądrości, że Tusk powinien siedzieć. Ale nie bardzo wie dlaczego.

Piwko wieczorową porą

Z Rusinowa do Borkowic jedzie się przez Przysuchę. Borkowice są najbogatszą z pięciu najbiedniejszych gmin w powiecie przysuskim. Zbliża się wieczór, na ulicach pusto. Jedynie przed niedużym sklepem grupka mężczyzn. Położony poniżej poziomu drogi, zapewnia cenną dyskrecję klientom, którzy popijają piwko, siedząc przy drewnianych stołach. Rano w pobliżu Odrzywołu spotkaliśmy tych, którzy zaczynają dzień od piwka, tutaj ci, którzy piwkiem kończą. Ekspedientka mówi, że na zeszyt tu się nie sprzedaje. Nie pozostaje nic innego, jak jej wierzyć.

Rusinów jest najbiedniejszą gminą w województwie mazowieckim, ale dostaje wsparcie np. z janosikowego.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6c60627df1

Gastarbeiter pilnie poszukiwany

Niemcy mają coraz mniej oporów przed zatrudnianiem Polaków. I to z pewnością się nie zmieni

Na początku roku federalny minister pracy Hubertus Heil wspólnie z minister rozwoju Svenją Schulze odwiedził m.in. Ghanę.

Marek Czarkowski

W lutym br. według Federalnej Agencji Zatrudnienia w Niemczech zarejestrowanych było 778 tys. wolnych miejsc pracy. By sprawnie funkcjonować, niemiecki przemysł potrzebuje wysoko wykwalifikowanych robotników, informatyków, kierowców, pracowników budowlanych, specjalistów od logistyki, techników i przedstawicieli wielu innych specjalności. Połowa niemieckich pracodawców poszukuje takich osób, a jedna czwarta szuka inżynierów i specjalistów z wyższym wykształceniem. Jednym z powodów tego stanu rzeczy była epidemia COVID-19, która zmusiła firmy do zwolnień – zwłaszcza w gastronomii, hotelarstwie, usługach turystycznych itp. Gdy pandemia minęła, wielu pracowników nie wróciło na poprzednie stanowiska.

Od lat trudna sytuacja panuje w niemieckiej służbie zdrowia. Za Odrą brakuje pielęgniarek i pielęgniarzy. Na początku roku federalny minister pracy Hubertus Heil wspólnie z minister rozwoju Svenją Schulze odwiedził kilka afrykańskich krajów, by rozmawiać o możliwości ściągnięcia stamtąd pracowników. Głośnym echem odbiła się ich wizyta w Ghanie, gdzie Heil zachęcał miejscowe pielęgniarki, by skorzystały z możliwości, jakie otwiera przed nimi Bundesrepublik. W Niemczech pomysł, by ściągnąć pielęgniarki z tego afrykańskiego państwa, wywołał zaciekawienie i kontrowersje. Minister musiał przekonywać, że rząd federalny stara się wdrożyć odpowiedzialną strategię rekrutacyjną w krajach, w których lokalny rynek pracy nie jest w stanie wchłonąć wszystkich młodych i dobrze wykształconych ludzi. Zapewniał, że Berlin będzie postępował ostrożnie, by nie odbierać żadnemu krajowi pracowników, których sam potrzebuje. Niemieckie media podkreślały, że problemem pielęgniarek z Ghany jest słaba znajomość języka, a poza tym kilkadziesiąt czy nawet kilkaset młodych dziewcząt i tak nie załatwi sprawy.

Pracownicy z Meksyku i Indonezji

Niemcy mają długie tradycje w ściąganiu pracowników pochodzących z różnych krajów i kręgów kulturowych. Adam Tooze, angielski historyk i profesor Uniwersytetu Columbia, w książce „Cena zniszczenia. Wzrost i załamanie nazistowskiej gospodarki" zauważył, że w czasie II wojny światowej w Niemczech pracowało tylu przymusowych robotników, że – w pewnym sensie – kraj wbrew nazistowskiej ideologii stał się wyjątkowo kosmopolityczny.

W latach 50. i na początku lat 60., dzięki polityce gospodarczej Ludwiga Erharda, najpierw ministra gospodarki, a następnie kanclerza RFN, miał miejsce cud gospodarczy – *Wirtschaftswunder*, który sprawił, że Niemcy ponownie stały się najbardziej rozwiniętym gospodarczo krajem europejskim. Nie byłoby to możliwe bez milionów gastarbeiterów ściągniętych do pracy w niemieckim przemyśle z Hiszpanii, Włoch, Turcji i Jugosławii. Należy pamiętać, że na frontach II wojny światowej zginęły miliony młodych Niemców, których ktoś musiał zastąpić w fabrykach.

Proces sprowadzania i zatrudniania gastarbeiterów regulowały

eprasa.pl 6c60627df1

odpowiednie umowy międzynarodowe. W przypadku Hiszpanii reżim gen. Franco dosłownie sprzedawał młodych ludzi do pracy w niemieckich fabrykach.

W założeniach gastarbeiterzy mieli po jakimś czasie wrócić do swoich ojczyzn. Życie zweryfikowało te plany. Ogromna większość przybyszów osiedliła się w nowym kraju, założyła rodziny i wtopiła w tamtejsze społeczeństwo.

Stanowimy w Niemczech największą grupę zatrudnionych obcokrajowców.

Historia z angażowaniem pielęgniarek z różnych zakątków świata jest dobrze opisana w niemieckich mediach. Rząd ma zawarte porozumienia z Meksykiem i Indonezją w sprawie rekrutacji personelu pielęgniarskiego. Toczą się jeszcze rozmowy z Brazylią i pewnie wkrótce w Niemczech pojawią się brazylijskie siostry.

Cytowany przez media Eugen Brysch, dyrektor wykonawczy Fundacji Ochrony Pacjentów (Stiftung Patientenschutz), uważa, że to za mało. Jest już bowiem jasne, że w ciągu najbliższych 10-12 lat na emeryturę przejdzie 500 tys. pielęgniarek i pielęgniarzy. Zdaniem Bryscha sytuację mogłoby poprawić polepszenie warunków pracy, głównie podwyższenie pensji: „Połowa pracowników zatrudnionych w niepełnym wymiarze i aż 60% tych, którzy odeszli z zawodu, może sobie wyobrazić powrót do pracy lub nawet zwiększenie liczby godzin pracy". W ten sposób problem zostałby złagodzony. Taka polityka rządu kanclerza Olafa Scholza nie budzi większych kontrowersji. Wszyscy rozumieją, że bez udziału pracowników pochodzących z innych państw nie uda się utrzymać dobrego stanu niemieckiej gospodarki i wysokiego poziomu życia mieszkańców Bundesrepublik.

Polski desant

O ile aktywne poszukiwanie wykwalifikowanych pracowników w odległych regionach globu budzi ciekawość niemieckiej opinii publicznej, o tyle kwestia pracowników z Polski praktycznie nie istnieje. Co wynika z faktu, że obecnie stanowimy w Niemczech największą grupę zatrudnionych obcokrajowców i mało kto zwraca na nas uwagę.

W ostatnich miesiącach przez polskie i niemieckie media przewinęła się sprawa zatrudniania naszych rodaków w nowo otwartej w Grünheide pod Berlinem gigafabryce samochodów Tesla. Plany zakładały, że z jej linii produkcyjnych będzie zjeżdżać rocznie 500 tys. samochodów. W związku z tym miało w niej znaleźć zatrudnienie 9 tys. pracowników. Fabryka została ulokowana 60 km od granicy z Polską i nie jest tajemnicą, że Amerykanie liczyli na naszych współobywateli. Niewykwalifikowany pracownik miał zarabiać 2,7 tys. euro miesięcznie brutto, technicy – 3,2 tys. euro, a inżynierowie – 6 tys. euro brutto. Nieoficjalnie Polacy stanowią dziś jedną czwartą zatrudnionych.

Nieoficjalnie aż jedna czwarta pracowników gigafabryki Tesli w Grünheide to Polacy.

RFN to od dawna cel młodych ludzi rozpoczynających karierę lekarską. O ile nad Wisłą młody lekarz może liczyć na pensję w wysokości niewiele ponad 5 tys. zł, o tyle nad Renem dostanie też 5 tys., lecz euro. Wynagrodzenie rośnie wraz z doświadczeniem lekarza, np. zarobki ordynatorów w Niemczech sięgają kilkunastu tysięcy euro miesięcznie. Przy czym warunki pracy w przychodniach i szpitalach zachodniego sąsiada są znacznie lepsze niż w Polsce. Nie ma mowy o ciągłej pracy na dyżurach po dwie doby, a nawet po trzy. Lekarz po 24 godzinach musi odpocząć. O ile w naszym kraju lekarz przestał być osobą zaufania publicznego, o tyle u naszych sąsiadów nadal cieszy się wysokim statusem społecznym. Co siłą rzeczy przekłada się na satysfakcję z pracy i nowe możliwości. Po roku lekarz z Polski kupuje wymarzonego mercedesa, a po pięciu latach bierze kredyt i zaczyna stawiać dom.

Dziś polskich lekarzy, techników medycznych i personel pielęgniarski spotkamy w wielu przychodniach i szpitalach zwłaszcza we wschodnich, graniczących z naszym krajem landach. Placówki te są de facto uzależnione od polskich specjalistów. W niektórych szpitalach połowa pracowników to Polacy. Niemcy liczą zaś na to, że w przyszłości jeszcze więcej naszych lekarzy zdecyduje się podjąć u nich pracę.

Niechętni do powrotu

Nie jest tajemnicą, że liderzy Prawa i Sprawiedliwości uważają politykę Berlina za jedno z największych zagrożeń dla Polski. Już w 2019 r. rząd Mateusza Morawieckiego apelował, by rodacy wracali z emigracji zarobkowej do kraju. Także z Niemiec. Niektórzy istotnie decydują się na powrót, zwłaszcza z Wielkiej Brytanii, której sytuacja gospodarcza po brexicie znacznie się pogorszyła. W połowie maja br. dziennik „The Sun" pisał o tysiącach Polaków, którzy uciekają z Wielkiej Brytanii przed rosnącymi kosztami życia i wracają do swojego kraju, którego gospodarka przeżywa obecnie bum.

W lutym br. lider Partii Pracy Keir Starmer oświadczył, że jeśli obecna polityka gospodarcza się nie zmieni, to Wielka Brytania do 2030 r. pod względem PKB na osobę zostanie wyprzedzona przez Polskę. Wybuchł skandal, gdyż Brytyjczycy nie są gotowi na tak radykalne obniżenie swojego niegdyś mocarstwowego statusu. Również Polacy mieli sporo wątpliwości co do wypowiedzi Starmera.

Jednak politycy PiS nie powinni liczyć na masowe powroty z Niemiec i innych państw europejskich. Mimo wszystko Niemcy, kraje Beneluksu, Dania, Norwegia, Szwecja, Francja, a nawet Islandia są dla rosnącej grupy Polaków o wiele bardziej atrakcyjnymi rynkami pracy niż nasz grajdołek.

Coraz częściej mamy też przewagę nad zachodnimi sąsiadami. Polakom nadal chce się pracować.

FOT. DPA/PAP

eprasa.pl 6c60627df1

W niemieckich mediach wprost roi się od przykładów sporych oczekiwań młodych ludzi. Doradca HR, z którym w zeszłym roku rozmawiał dziennikarz „Die Tageszeitung”, mówił, że w prawie wszystkich rozmowach kwalifikacyjnych, które prowadził w ostatnich latach, główne żądania stawiane przez młodych ludzi to: brak etatu, bo nie ma sensu zbyt mocno wiązać się z pracodawcą, oraz praca wyłącznie w domu i zagwarantowane w umowie jej elastyczne godziny. „Jeden z kandydatów, z którymi prowadziłem rozmowę kwalifikacyjną, postawił warunek, że nie będzie pracował w poniedziałek. Inny w środę chciał pracować tylko do godz. 14, bo potem miał zajęcia z jogi”. Pewna kobieta chciała mieć możliwość spontanicznego decydowania o tym, czy następnego dnia będzie pracowała, czy nie. Ktoś inny chciał mieć zapisane w umowie, że nie będzie pracował w piątki.

Z doświadczenia cytowanego przez „Die Tageszeitung” doradcy HR wynikało, że dla młodych Niemców koncepcja 40-godzinnego tygodnia pracy jest nie do przyjęcia. Młodzi pracownicy stawiają pracodawcom maksymalne wymagania, którym ci nie mogą sprostać. W efekcie menedżerowie coraz częściej mówią: „Nie przysyłajcie nam kandydatur młodych ludzi. Oni nie chcą pracować. Przynajmniej nie tak jak ich rodzice przyzwyczajeni do 40-godzinnego tygodnia pracy, z obowiązkową obecnością w biurze, zakładzie przemysłowym, na uczelni. Szukamy osób starszych, do których można mieć zaufanie… albo pracowników z takich państw jak Polska, Czechy, Węgry, Słowacja czy republiki bałtyckie, nadal szanujących etos pracy”.

Z badań prowadzonych przez Stowarzyszenie Niemieckich Izb Przemysłowo-Handlowych wynika, że co prawda młodzi ludzie są innowacyjni technicznie, sprawniej korzystają z nowoczesnych technologii, ale połowa deklarowała gotowość zrezygnowania z pracy, jeśliby jej nie lubiła, a 40% wolałoby być bezrobotnymi, niż pracować. Nic dziwnego, że ponad 60% ankietowanych menedżerów stwierdziło, że młodym ludziom brakuje motywacji, chęci do działania i odporności. By rozwiązać problem chronicznego braku rąk do pracy w Niemczech, zdaniem ekspertów należałoby rocznie zatrudniać 400 tys. nowych pracowników. Większość musiałaby pochodzić z krajów sąsiednich lub wręcz z innych kontynentów. Wkrótce może to się okazać poważnym wyzwaniem dla naszego rynku pracy.

Gospodarka niemiecka jest silniejsza od polskiej, a tamtejsi pracodawcy mogą oferować wyższe wynagrodzenia. Szacunki mówią, że koszty pracy w produkcji i usługach wynoszą 39,50 euro za godzinę, co daje Niemcom siódme miejsce wśród państw Unii Europejskiej. Dla porównania – w Polsce to zaledwie 12,50 euro za godzinę.

Nie każdy młody człowiek będzie się godził z perspektywą niskich zarobków. Szczególnie że za zachodnią granicą już dziś można znaleźć o wiele lepiej płatne zajęcie. W Bawarii na ulicach tamtejszych miasteczek bez trudu wypatrzymy samochody z rejestracją z województwa opolskiego. Najwyraźniej Bawarczycy mają słabość do mieszkańców dawnej Rejencji Opolskiej (Regierungsbezirk Oppeln). A przecież są jeszcze: Rejencja Poznańska (Regierungsbezirk Posen), Szczecińska (Regierungsbezirk Stettin), Olsztyńska (Regierungsbezirk Allenstein) czy Gdańska (Regierungsbezirk Danzig). Niemcy mają coraz mniej oporów przed zatrudnianiem Polaków. I to z pewnością się nie zmieni.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

W niedzielę 4 czerwca br.
zmarł

Józef Klasa

Wybitna osobowość polityki, dyplomacji i kultury,
w 1975 r. promotor powołania Klubu Twórców i Działaczy Kultury „Kuźnica”
– dzisiejszego Stowarzyszenia „Kuźnica”,
przedstawiciel reformatorskiego skrzydła PZPR,
I sekretarz KW PZPR w Krakowie (1971-1975),
kierownik Wydziału Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR (1980-1981),
czyli w okresie tzw. karnawału Solidarności,
ambasador PRL na Kubie, w Meksyku i w Maroku,
konsul generalny PRL w Lille we Francji,
sekretarz generalny Towarzystwa „Polonia” (1984-1990),
od 1975 do 2023 r. aktywny członek „Kuźnicy”.

Rodzinie i Bliskim Zmarłego składamy wyrazy współczucia.

Będzie nam Go brakowało.
Stowarzyszenie „Kuźnica”

Zmarł

Józef Klasa

Wybitny działacz polityczny i państwowy, dyplomata.
Nie tylko w środowisku krakowskiej lewicy mówiono o nim „Klasa człowiek”.
Zarówno w czasach krakowskich, jak i w kontaktach z mediami oraz Polonią dał się poznać jako zwolennik dialogu i poszukiwania kompromisu.
Był uważnym czytelnikiem „Przeglądu”.

Żegnamy Go z żalem
Zespół „Przeglądu”

eprasa.pl 6c60627df1

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Marsz w sosie własnym

Mam niby taką zasadę, że demonstracji nie krytykuję, w zbyt wielu brałem udział, niektóre współtworzyłem, inne nawet organizowałem – głównie w obronie spraw przegranych, poglądów niepopularnych, wartości niepodzielanych, postaci nieznanych, kwestii marginalnych. Przywykłem, że niemal wszyscy tam się znamy, co oznacza, że zbierało się nas raczej niewiele niż wiele. Z energią różnie, choć bywało ogniście. Hasła wyraziste, media nieobecne, policja raczej dokuczliwa i zarazem znudzona, otoczenie bierne.

W tym kontekście marsz 4 czerwca był całkowicie odmienny od tego, co znam. Przypominał marsze KOD sprzed kilku lat, ale był inny w wielu wymiarach. Liczniejszy i mimo wszystko wyraźnie różnorodny. Mało mobilny, bo zbyt ogromny na tę wąską trasę. Niby lepiej nagłośniony, ale i tak większość niesłyszalna. Zasadniczo dość jednorodny klasowo. Marsz miast, nie wsi i miasteczek. Raczej tych, co mają bardzo dobrze, dobrze, znośnie. Którym bliższe jest słowo wolność niż równość i którzy podzielają wizję Platformy. Wizję politycznej, kulturalnej, niezakłócalnej drogi do pomyślności i dobrego życia. Wizję ciepłej i oddanej sympatii dla trzech dekad transformacji. Niekrytyczną, apologetyczną. Zapewne niemal 100% maszerujących (snujących się) głosowało na Rafała Trzaskowskiego w ostatnich wyborach prezydenckich, co oznaczałoby, że z tych 10 mln w drugiej drugiej turze przybył do Warszawy co 20. jego wyborca. Dużo, sporo, bez dwóch zdań.

Nie wiem, czy istnieje wiarygodna lista rankingowa liczebności polskich zgromadzeń publicznych, tak czy owak mieliśmy jedno z największych lub największe zgromadzenie demonstrantów od lat lub w ogóle.

To nie była ortodoksyjna demonstracja Platformy, pojawiły się środowiska i hasła, które na sztandarach PO się nie pojawiają albo będą tylko incydentalnie. Taka była formuła: lider Platformy zaprasza, udziela głosu, rozdaje karty, buduje zgodę, obiecuje „zwycięstwo" (cokolwiek miałoby to znaczyć), rozliczenie zła (w domyśle PiS), zadośćuczynienie krzywdom ludzkim i pojednanie między Polakami. I choć biskupów nie było (wielki plus, biskupi są gdzie indziej, jeśli jeszcze w ogóle są – i dobrze), zabrzmiało bardziej kościółkowo-janopawłowo niż politycznie. I zostało dobrze przyjęte. Ośmioletnia lub, szerzej, prawie 20-letnia wymiana ciosów i przytulasów między Platformą a PiS wyzuła polityczność z żywiołu sporu, zastąpiła go partyjniacką szarpaniną – dla większości nużącą, deprawującą, odstręczającą i nieczytelną.

Kiedy pojawiało się słowo gniew jako wyraz nastroju, mogliśmy tylko się uśmiechnąć z pobłażaniem. Gniew jest potężną siłą w politycznej zmianie, gniew ma swoje, wykraczające poza normę, formy wyrazu. Były zamiast niego kpiny, lekceważenie, ironia, żarty językowe. Było grzecznie. A gniew nie jest grzeczny. Świat Platformy nie jest światem gniewu, jest raczej środowiskiem poirytowania, zniecierpliwienia, męczącej konieczności uznania władzy „tamtych", władzy mówiącej innym językiem (tu przyznaję, podzielam tę niechęć, to język kościółkowo uległy, realnie nienawistny, dzielący, pompatycznie, męcząco parapatriotyczny, pełen brutalności i śmierdzącej na odległość patosem hipokryzji), co nieznośne, wybranej jednak demokratycznie (zasadniczo) i utrzymanej w kolejnych wyborach, władzy, której żadna krytyka się nie ima, żadna afera nie hańbi, żaden eksces nie nadwątla poparcia. Zupełnie jakby PiS miało instytucjonalnego Anioła Stróża. Z tego fenomenu nie rodzi się zresztą żadna spójna refleksja: jak do tego doszło, jak to możliwe, dlaczego tak trwa? Ani niewyobrażalne, więc nieistniejące pytanie: co zrobiliśmy, robimy nie tak? Przy czym niespotykana w swojej skali i bezgranicznym zakłamaniu propaganda pisowska nie jest tego wytłumaczeniem. Rzecz jasna, demonstracje nie są od tego, żeby dokonywać krytycznej korekty własnych działań, planów i zamierzeń. Jednak Platforma mówi głosem wielkiego ojca do zbłąkanych owieczek: wybaczymy, choć ukarzemy. Ukarać musimy, choć wcześniej, kiedy trzeba było reagować, po 2007 r. i tzw. pierwszym PiS – nie robiliśmy z tym nic. Potężna partia władzy przebywająca na dojmującym dla niej wygnaniu opozycyjnym zapewne musi tak mówić, tak działać, tak dominować i nie rozdrabniać dyskursu. Dała innym się ogrzać, pozwoliła przemówić, zrobiła sporo na rzecz wizji jednej listy wyborczej opozycji. Na koniec, po ewentualnym, wyobrażalnym, chociaż niepewnym zwycięstwie w jesiennych wyborach – to ona rozda karty i przywróci nowe, tak bliskie jej sercu stare.

Nie wiem, czy padły słowa do tych, którzy stoją niewzruszenie przeciw tej obietnicy staro-nowej Polski. Nie, raczej nie. Platforma i opozycja „policzyły się" w kryterium ulicznym, w grzecznym, drobnomieszczańskim sosie sympatii dla siebie samej i otulającym poczuciu wspólnoty z ludźmi o szlachetnych twarzach, życiorysach, poglądach.

To był marsz samych swoich. Naprawdę ogromny. Co nie znaczy, że jest jakimś kamieniem milowym na drodze do odebrania jesienią władzy PiS i tym, którzy za żadne skarby tej partii nie porzucą.

Naprzód, w górę, w lewo, w prawo, dużo, głośno, mnogo, duszno, wolno, bo po wolność. Idziemy! Zwyciężymy! A potem się zobaczy. A ja tam nie lubię Polski zwycięskiej, wolałbym sprawiedliwą.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6c60627df1

Ulica w Bagdadzie 31 grudnia 2003 r. i 24 marca 2023 r.

Dwie dekady chaosu i niestabilności

Irakijczycy są dumni ze swojego dziedzictwa, ale mają wiele żalu do byłych okupantów

Jakub Katulski

W marcu minęło 20 lat od inwazji na Irak, zainicjowanej przez amerykańskiego prezydenta George'a W. Busha, a wspartej przez międzynarodową koalicję, w skład której weszła także polska armia. Amerykanie liczyli na to, że obalą rząd Saddama Husajna, wieloletniego dyktatora z panarabskiej partii Baas (wciąż rządzącej Syrią pod wodzą Baszara al-Asada), jak również znajdą broń masowego rażenia, która była oficjalnym pretekstem do rozpoczęcia inwazji, nazwanej Operation Iraqi Freedom, co z dzisiejszej perspektywy wydaje się przejawem czarnego humoru.

Krwawy konflikt

Już od 19 marca 2003 r. na Bagdad spadały rakiety wystrzeliwane z zamiarem zabicia Saddama, po czym nastąpiła inwazja lądowa. 9 kwietnia po szturmie na ostrzelaną wcześniej stolicę Iraku żołnierze amerykańskiej piechoty morskiej fotografowani byli podczas obalania pomnika dyktatora, który zbiegł z miasta, by po ośmiu miesiącach zostać złapanym w wentylowanej ziemiance w pobliżu rodzinnego Tikritu.

Samo obalenie rządzącego żelazną ręką Saddama Husajna nie sprawiło jednak, że sytuacja znacząco się poprawiła. Do dzisiaj liczba ofiar tej operacji nie jest znana, co nie powinno być zaskakujące, jeśli przypomnimy sobie, że głównodowodzący OIF gen. Tommy Franks, jeszcze gdy odpowiadał za amerykańską obecność w Afganistanie, na pytanie reportera o ofiary odpowiedział: „Nie liczymy ciał" (*We don't do body*

FOT. AP/EAST NEWS

eprasa.pl 6c60627df1

counts). Ta filozofia została utrzymana w Iraku, dlatego pełna liczba ofiar śmiertelnych ostatnich 20 lat jest raczej szacunkowa, niż wynika ze skrupulatnych rachunków. Raport dr Nety C. Crawford opublikowany w marcu przez Uniwersytet Browna wskazuje, że liczba ofiar cywilnych wyniosła 180-210 tys., ale jeśli doliczyć do tego żołnierzy, policjantów, wojska okupacyjne i najemników, to łączna liczba zabitych przez ten konflikt może sięgać 315 tys. Są też oczywiście szacunki o wiele wyższe, takie jak opublikowane przez magazyn „The Lancet" badanie z 2006 r., które mówiło o niemal 650 tys. ofiar.

Okupiony krwią konflikt miał być może przynieść Irakijczykom wolność i demokrację, ale jego efektem było przede wszystkim 20 lat chaosu i niestabilności, z których kraj dopiero powoli wychodzi. Jak mówi Krzysztof Płomiński, były ambasador Polski w Iraku, początkowo w społeczeństwie pojawiła się nawet nadzieja na to, że po obaleniu Saddama sprawy przybiorą lepszy obrót. – Pierwszy okres budził jeszcze nadzieję w społeczeństwie irackim, że będzie to zwrot ku lepszym czasom, ku lepszej przyszłości. Bardzo szybko okazało się, że porządki wprowadzane przez Stany Zjednoczone i ściągnięcie całej grupy irackich emigrantów, którzy bardzo szybko pokazali się jako ludzie myślący wyłącznie o własnych interesach i głęboko skorumpowani, dodatkowo skomplikowały sytuację, jeżeli chodzi o nastroje społeczne. Błędy administracji amerykańskiej, z udziałem Polski, spowodowały konsekwencje, które odczuwalne są do dzisiaj, bo przecież wkrótce po obaleniu Saddama Husajna zaczął się proces budowy nowej administracji.

Spirala korupcji

Nowa administracja otrzymała nie tylko zadania polityczne, w tym opracowanie nowej konstytucji, w której mocno zaakcentowano wieloetniczność i wielowyznaniowość Iraku. Kluczowym zadaniem stała się odbudowa kraju, w tym zniszczonego Bagdadu. Celem amerykańskich bombardowań z pierwszych dni wojny była znaczna część strategicznej infrastruktury kraju, od wojskowych i cywilnych instalacji telekomunikacyjnych i medialnych, przez budynki rządowe, po mosty na Tygrysie. Znacznej części ataków dokonano przy użyciu amunicji precyzyjnej, choć nie udało się uniknąć przypadkowych ofiar czy zniszczeń, np. 2 kwietnia uszkodzeniu uległ zarządzany przez Czerwony Półksiężyc szpital ginekologiczno-położniczy, ponieważ przy ataku na sąsiedni budynek fala uderzeniowa naruszyła jego konstrukcję i zawaliła dach. Na szczęście sam obiekt został ewakuowany już kilka dni wcześniej.

Plagą stały się także wykorzystywane przez amerykańskie i brytyjskie lotnictwo bomby kasetowe, których ofiarami padali cywile. Jeszcze kilka tygodni po rozpoczęciu bombardowań, gdy kraj podzielono już na strefy okupacyjne, znajdowano niewybuchy, zagrażające przypadkowym osobom. Bagdad zaś wcale nie stał się miejscem bezpieczniejszym, niż był przed inwazją, nękany zamachami terrorystycznymi, m.in. na zagraniczne placówki dyplomatyczne. Bandy szabrowników napadały nie tylko na muzea, ale nawet na ogród zoologiczny.

20 lat to czas zbyt krótki, by Irakijczycy przeszli nad tym do porządku dziennego. Michał Czechowski, tłumacz i nauczyciel języka arabskiego, będący właśnie w Bagdadzie, opowiada mi o nastawieniu ludności do tych wydarzeń: – Rok 2003 to przełomowa data dla kraju, ale dla nikogo nie będzie pewnie zdziwieniem, że o Amerykanach mówi się przede wszystkim jako o okupantach. Pomimo oczywistych okrucieństw reżimu Saddama Husajna Irakijczycy zauważają, że powszechny był obowiązek szkolnictwa, nie było możliwości zatrudniania dzieci do pracy poza przerwą wakacyjną, a przepisy prawa były łatwiejsze do zrozumienia. Obecnemu rządowi obywatele zarzucają ogromną korupcję. Nie rozmawia się tutaj jednak otwarcie o wojnie i sytuacji politycznej.

Korupcja jest częstym problemem wskazywanym przez społeczności w państwach arabskich, Irak nie jest tu wyjątkiem, chociaż według zeszłorocznego badania Arab Barometer VII, opublikowanego we wrześniu, największy odsetek Irakijczyków właśnie ją uznał za najważniejsze wyzwanie, w obliczu którego stoi kraj. Jedynie w Tunezji i Algierii ten sam problem wymieniło więcej badanych, w innych krajach zdecydowanie większe obawy wywoływała sytuacja ekonomiczna. Jak zauważają Marsin Alshamary i Reva Dhingra w tekście dla think tanku Brookings Institution z kwietnia tego roku, korzeni korupcji można się doszukiwać w działalności nie tylko obalonej wskutek inwazji partii Baas, ale także amerykańskiej administracji z czasów okupacji: „Odbudowując Irak, Stany Zjednoczone rozproszyły nieuregulowane i niemonitorowane pieniądze na wiele projektów, a tym samym rozbudziły żądzę grabieży i łatwych pieniędzy na prawie każdym szczeblu administracji, a nawet w organizacjach społeczeństwa obywatelskiego".

Do dzisiaj liczba ofiar interwencji nie jest znana. Szacunki mówią o 180-210 tys. cywilów, a niektóre o niemal 650 tys. wszystkich ofiar.

Turystów jak na lekarstwo

Irak musiał się podnosić ze zniszczeń po zachodniej inwazji, ale również po walce z Państwem Islamskim, które kontrolowało w szczycie swojej siły sporą część Syrii i Iraku, włączając w to Mosul, drugie największe po Bagdadzie miasto w kraju, i część arterii komunikacyjnych prowadzących do stolicy. Zdaniem Czechowskiego poziom życia w stolicy Iraku mocno jednak kontrastuje z tym, co można zobaczyć u sąsiadów pod władzą Damaszku. – Życie w Bagdadzie z mojej perspektywy wygląda dużo lepiej niż w wielu miastach w Syrii, którą odwiedziłem rok temu. Irak poradził

eprasa.pl 6c60627df1

sobie z wojną i grupami terrorystycznymi o wiele lepiej. Szybko się odbudowuje, powstają nowe drogi i poprawia infrastruktura. Na ulicach pełno jest ludzi, korzystają z nowoczesnych knajp, ciągle zapełnionych. Warto jednak wspomnieć, że nieliczni są tu turyści z tzw. Zachodu. Widać ich może zwiedzających bardziej znane zabytki, ale na ulicach nie ma ich niemal wcale. Może się boją? Wzbudzamy więc ciekawość mieszkańców, którzy zaczepiają nas, pytają, skąd jesteśmy, z uśmiechem opowiadają o swoim dziedzictwie cywilizacyjnym i historii, chwalą swój kraj.

Mimo to sytuacja jest daleka od idealnej. Ledwie w ubiegłym roku w samym centrum Bagdadu toczyły się walki między rywalizującymi frakcjami szyickimi. Twarzą jednej ze stron był duchowny Muktada as-Sadr, który ogłosił wyjście z parlamentu wraz z całym swoim blokiem politycznym. Powołanie nowego rządu okazało się bardzo trudne i na znak protestu sadryści wszczęli demonstracje. Izba Reprezentantów zaprzysięgła w ich miejsce nowych parlamentarzystów z bloku zwanego zbiorczo Ramą Koordynacyjną. Po okresie zaognionych walk As-Sadr ogłosił rezygnację z udziału w życiu politycznym kraju i udało się powołać rząd Muhammada Szii as-Sudaniego.

Dzisiaj to na jego barkach spoczywa odpowiedzialność za odbudowę kraju i przekształcenie jego gospodarki, wciąż opartej głównie na eksporcie ropy naftowej. Przychody z tego sektora stanowią aż 95% federalnego budżetu, co może stanowić problem w planowaniu wydatków. Przyjęty przez parlament plan na rok 2023 opiewa wprawdzie na niemal 200 bln dinarów (ponad 630 mld zł), ale oparto go na stałej cenie 70 dol. za baryłkę ropy. Wahania cen surowca mogą więc wpływać znacząco na tempo odbudowy po dwóch dekadach niepewności.

O Amerykanach mówi się przede wszystkim jako o okupantach.

Zawiedzione polskie nadzieje

Być może wiele mógłby zmienić rozwój handlu z zagranicznymi partnerami, także zachodnimi, ale tu wciąż wiele pozostaje do życzenia. – Polska do Iraku szła nie tylko pod hasłem wyzwolenia narodu irackiego i zbudowania demokracji, powielając amerykańską narrację. W społeczeństwie polskim i w kręgach biznesowych bardzo silne były oczekiwania, że ze względu na zaangażowanie w Iraku uzyskamy jakieś nadzwyczajne korzyści gospodarcze – ocenia Krzysztof Płomiński. – Łącznie zgłosiło się wówczas ok. 3 tys. polskich przedsiębiorstw, od zakładów fryzjerskich po czołówkę biznesu. Zarejestrowali się w Krajowej Izbie Gospodarczej do robienia tam interesów. W praktyce okazało się, że nadmierne aspiracje, brak odpowiedniego przygotowania, zbyt duże nadzieje na wsparcie finansowe i organizacyjne ze strony sojuszników spowodowały, że cały ten zapał biznesu pozostał bez efektu. W ubiegłym roku nasz handel z Irakiem, praktycznie rzecz biorąc jednostronny, zamknął się kwotą zaledwie 150 mln dol. Nierozliczone pozostały dotychczas należności Polski jeszcze z okresu PRL, które za rządów Saddama Husajna były objęte porozumieniem na dostawy ropy naftowej. Ten temat dalej ciąży na naszych relacjach. W naszych stosunkach handlowych większość eksportu kierowana jest do autonomii kurdyjskiej. Reszta Iraku to są naprawdę bardzo niewielkie kwoty. To powinno być brane pod uwagę również jako poważne ostrzeżenie, np. w kontekście przyszłej odbudowy Ukrainy.

Efektem wojny jednak jest też według Michała Czechowskiego chęć ściągnięcia do kraju licznych turystów. – Czasem jestem proszony o krótką wypowiedź po arabsku, nagrywaną telefonem, która ma pokazać, że turyści z Zachodu są tutaj bezpieczni i mogą przyjeżdżać. I proszą mnie o to przypadkowe osoby, nie władza czy lokalne organizacje.

Irakijczycy mają przed sobą wiele pracy, zarówno w zakresie procesów wewnętrznych, jak i rozwoju relacji zagranicznych, w tym układania się z dawnymi okupantami, wciąż obecnymi w granicach kraju. Amerykański kontyngent na miejscu to ok. 2,5 tys. żołnierzy, którzy mają za zadanie m.in. szkolić tutejszą armię i policję. Nie wszystkim Irakijczykom to się podoba, nawet w parlamencie są siły, które naciskają na jak najszybsze ukrócenie tej obecności, być może poprzez zwrot w stronę Teheranu. Przede wszystkim jednak Irakijczycy chcieliby wreszcie stabilności, która mogłaby im zapewnić porządek i rozwój ojczyzny. Nie będzie to łatwe w podzielonym społeczeństwie i w kraju naznaczonym latami brutalnej przemocy.

Bagdad wcale nie stał się miejscem bezpieczniejszym, niż był przed inwazją.

Jakub Katulski

eprasa.pl 6c60627df1

Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Chrześcijański socjalizm

Wielu prawicowo zorientowanych uczestników naszego życia politycznego próbuje wmówić opinii publicznej, że istnieje jakaś niemożliwa do przezwyciężenia przepaść pomiędzy chrześcijaństwem a nastawieniem lewicowym. Wedle tej optyki dobry chrześcijanin musi być z definicji prawicowcem, wszyscy zaś zwolennicy lewicy – ateistami, więcej, wrogami religii. To bzdura. Nie ma takiej konieczności. Nawiasem mówiąc, najsławniejszym ateistą w dziejach nie był żaden lewicowiec, lecz ks. Jean Meslier, autor traktatu „Testament", opublikowanego ponad 30 lat po jego śmierci, w 1762 r. Owszem, historycznie rzecz ujmując, był to scenariusz częsty. Instytucjonalne chrześcijaństwo nierzadko wiązało się bowiem z prawicowymi ruchami politycznymi, i to niekiedy faszyzującymi albo wręcz otwarcie faszystowskimi. Przykładów jest wiele. Wystarczy przypomnieć Action Française, faszyzm António Salazara w Portugalii czy gen. Francisca Franco w Hiszpanii. Także polskie przedwojenne ruchy faszystowskie z Falangą na czele dążyły do fuzji katolicyzmu z nacjonalizmem, do utworzenia Katolickiego Państwa Narodu Polskiego. Powtórzmy: nie ulega wątpliwości, że od czasów Wielkiej Rewolucji Francuskiej chrześcijaństwo, przede wszystkim w wydaniu katolickim, wiązało się z prawicą polityczną. Symbolicznym tego wyrazem było postawienie bazyliki Sacré-Coeur w Paryżu na miejscu najkrwawszych walk z powstańcami Komuny Paryskiej – stary porządek zatriumfował nad tymi, którzy chcieli go zburzyć.

Jednak nie brakuje przykładów tego, że chrześcijaństwo mogło się stać pobudką przeciwstawiania się faszyzmowi, jak w Niemczech, czy domagania się sprawiedliwości społecznej, zmiany status quo i stopniowego budowania socjalistycznego porządku na świecie. Owa fuzja chrześcijaństwa z ideami postępowymi czy lewicowymi była wyraźnie widoczna w licznych ruchach społecznych i politycznych XIX i XX w. Wymieńmy tylko XIX-wieczny ruch abolicjonistyczny w USA lub XX-wieczny ruch walki o prawa obywatelskie ludności czarnej w tym kraju, socjalistyczne Towarzystwo Fabiańskie w Wielkiej Brytanii, personalizm chrześcijański w wydaniu wybitnego francuskiego myśliciela Emmanuela Mouniera, który próbował łączyć wątki marksowskie z katolickimi, ruch księży robotników we Francji czy wreszcie teologię wyzwolenia w Ameryce Południowej. Istniały też względnie postępowe społecznie encykliki papieskie, np. *Rerum novarum* (1891) Leona XIII.

Również w Polsce obecne było połączenie impulsów chrześcijańskich z nadziejami na zbudowanie świata lepszego niż kapitalizm, że wspomnę tylko środowisko krakowskiego „Znaku" i „Tygodnika Powszechnego". Dziś godnym spadkobiercą tych tęsknot jest grupa skupiona wokół pisma „Kontakt", znakomicie wskazująca wręcz konieczność krytyki współczesnego kapitalizmu przez tych, którzy serio traktują ideały religijne. Wszystkie te ruchy udowadniają, że można łączyć chrześcijaństwo i nastawienie lewicowe. Skądinąd nic w tym dziwnego. Wszak treść religii chrześcijańskiej może być i jest przedmiotem licznych interpretacji filozoficznych i politycznych i – jak widać – mogą one być wręcz sprzeczne. Nie ulega żadnej wątpliwości, że spora część nauk Chrystusa może, a nawet powinna, być interpretowana w duchu lewicowym, że wspomnę jedynie jego sławne słowa o bogaczu i uchu igielnym („Łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne, niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego"). Ale przecież idzie także o idee równości i braterstwa wszystkich ludzi, o domaganie się sprawiedliwości, potępienie dominacji jednych nad drugimi obecne wszak w Ewangelii. Nieszczęściem polskiego katolicyzmu jest jego nieomal całkowite zdominowanie przez tych, którzy dokonują interpretacji przekazu chrześcijańskiego w duchu skrajnie prawicowym. Powoduje to, że wierni otrzymują jeden tylko przekaz ideowy, wypaczający złożony i niejednoznaczny obraz doktrynalny religii.

Lewica w Polsce w zbyt małym stopniu stara się wyrwać katolicyzm z rąk prawicy i pokazać wątki, które pozwalają na jego lewicową interpretację.

Owa prawicowa monopolizacja wiary sprzyja temu, że zwolennicy lewicy społecznej i politycznej czasem niejako hurtowo traktują religię jako źródło zła. I jedna, i druga strona przyczynia się do budowy czarno-białego obrazu fenomenu ideowego, którego treść filozoficzna ani historyczne artykulacje nie są wcale jednoznaczne. Religia bowiem zarówno służyła jako legitymizacja zła społecznego i politycznego, jak i tworzyła zaplecze ideowe dla czynienia dobra. W moim przekonaniu lewica w Polsce w zbyt małym stopniu stara się wyrwać katolicyzm z rąk prawicy i pokazać, że są w nim wątki, które pozwalają na jego lewicową interpretację. Działania takie mogłyby przekonać do religii tych, którzy dzisiaj niejako automatycznie odwracają się do niej plecami tylko dlatego, że mylnie utożsamiają lewicowość z antyreligijnością. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6c60627df1

USA (znów) nie zbankrutują

O co chodzi w kłótni o limit zadłużenia?

Jakub Dymek

Uniknęliśmy globalnej katastrofy, meteorytu zmierzającego w naszym kierunku, dosłownie o włos – przynajmniej tyle można zrozumieć ze wszystkich doniesień medialnych na temat podwyższenia limitu zadłużenia Stanów Zjednoczonych. Gdyby USA zderzyły się z limitem, w Ameryce zwanym raczej sufitem, i musiały ogłosić bankructwo, konsekwencje poczułby cały świat. I nie byłyby one łagodne.

Nie ma w tych ostrzeżeniach wiele przesady, nawet jeśli czasami dziennikarze sięgają po apokaliptyczną metaforykę. Z drugiej strony polityczny teatr wokół limitu zadłużenia powtarza się zaskakująco regularnie. Tylko w XXI w. nominalny – czyli liczony w dolarach – dług USA zwiększył się trzykrotnie, a limit zadłużenia podnoszony był kilkanaście razy. Ilekroć dochodzi w tej sprawie do sporu między urzędującą administracją a większością z przeciwnej partii w Kongresie, przedmiotem szantażu staje się finansowa stabilność światowego supermocarstwa – i całego globu.

O co w tym jednak chodzi? Po co komu, a już szczególnie Ameryce, limit długu? I czy jest sens dalej fundować światu podobne ryzyko?

Twarda ściana

Limit zadłużenia został wprowadzony ponad 100 lat temu, w epoce pod niemal każdym względem innej od czasów nam współczesnych. System finansowy, jaki dzisiaj znamy, jeszcze nie istniał, dolar epokę globalnej dominacji miał dopiero przed sobą, młoda była nawet sama bankowość centralna w USA. A jednak, choć od 1917 r. zmieniło się tak wiele, kolejne administracje wciąż muszą planować wydatki w zgodzie z archaicznymi regułami.

Amerykański sufit długu jest bowiem rozumiany bardzo dosłownie – Kongres wydaje zgodę na konkretną kwotę zadłużenia i koniec. Oznacza to, że gdy gospodarka się rozwija, z jakiegoś powodu trzeba zwiększyć deficyt albo rośnie inflacja, ów sufit prędzej czy później okaże się niewystarczający i trzeba będzie go podnieść. Sufit długu wyraża wartość nominalna – ileś bilionów dolarów, a nie np. procent PKB.

Jeśli ktoś myśli, że to rozsądny i powszechny w demokratycznym świecie sposób zarządzania finansami państwa, bardzo się zdziwi. Jest dokładnie na odwrót. Ze wszystkich krajów na świecie wśród demokracji sztywny limit długu ustawiły sobie USA i… Polska. Na liście państw z limitem długu są jeszcze Namibia, Pakistan, Kenia i Malezja – ale w żadnym z tych krajów przekroczenie limitu długu nie wiąże się z poważnymi konsekwencjami, a w innych zakaz ma charakter czysto teoretyczny i od lat nie jest przestrzegany. Osobnym przypadkiem jest Dania, gdzie istnieje nominalny limit długu (jak w USA), lecz jest on ustalony tak wysoko – kilkakrotnie wyżej niż obecny poziom długu – że w praktyce w żaden sposób nie wiąże rąk decydentom w Kopenhadze.

Ekonomiści, którzy rozumieją, jak działają finanse publiczne, szybko wyjaśnią, dlaczego tak jest. W rzeczywistości to nie kwota długu ma znaczenie, ale płacone od długu odsetki i zdolność ich terminowego spłacania bez większych wyrzeczeń w innych dziedzinach. Gdyby było inaczej i sama wysokość długu w jakikolwiek istotny sposób szkodziła gospodarce, należałoby powiedzieć, że Niemcy (66% długu w relacji do PKB) i Francja (110%) są w dużo gorszej kondycji finansowej niż Polska (zadłużenie na poziomie 51% PKB). Oczywiście tak nie jest, a państwa rozwinięte w razie kryzysu – co pokazał covid – i tak znajdą sposób na podniesienie poziomu zadłużenia i zagwarantowanie sobie sposobu jego spłaty.

Dlatego rządy stronią od narzucania sobie podobnych arbitralnych kryteriów. Bo w sytuacji prawdziwego zagrożenia dla państwa (wojny, epidemii, klęski żywiołowej albo kryzysu gospodarczego) nikt nie wybierze przestrzegania reguł fiskalnych ponad życie obywateli.

> Tylko w XXI w. nominalny – czyli liczony w dolarach – dług USA zwiększył się trzykrotnie, a limit zadłużenia podnoszony był kilkanaście razy.

Młotek dla opozycji

A jednak USA (i Polska) zdecydowały się na trwały limit zadłużenia. Czemu on służy? W przypadku Ameryki praktyka ostatnich kilkudziesięciu lat pokazała to już do bólu czytelnie. Grożenie bankructwem państwa służy głównie… wywołaniu politycznego dramatu i szantażowaniu przeciwników groźbą bankructwa państwa. Partia, która jest w opozycji do urzędującego prezydenta, a kontroluje jedną z izb Kongresu, może bowiem skutecznie blokować podniesienie sufitu zadłużenia. Jeśli dług przekroczy ustawowy limit do określonego dnia, Waszyngton (przynajmniej w teorii) przestaje być wypłacalny. To zaś powoduje poważne zawirowania w gospodarce, które mogą doprowadzić do wielu faktycznych bankructw i kryzysu. Choć tak naprawdę wszyscy rozumieją, że nie chodzi o potocznie

eprasa.pl 6c60627df1

Prezydent Joe Biden i spiker Izby Reprezentantów Kevin McCarthy – spotkanie w sprawie długu publicznego, 22 maja 2023 r.

rozumiane bankructwo, bo Ameryce – gdy dolar jest „walutą rezerwową świata" – nie może tak po prostu nie starczyć pieniędzy.

Skoro jednak partia opozycji (dziś republikanie w Izbie Reprezentantów) dysponuje tak potężnym narzędziem nacisku, to z niego ochoczo korzysta. Po co? By wymusić na rządzących jakieś ustępstwa, najczęściej cięcia wydatków publicznych, które jej się nie podobają. I tak było tym razem. Spektakl wokół zadłużenia publicznego i ryzyka bankructwa trwał długo, ale główni aktorzy, prezydent Joe Biden i spiker Izby Reprezentantów Kevin McCarthy, odegrali swoje role wzorcowo.

Pierwszy odgrażał się, że nie zgodzi się na żadne cięcia, drugi grzmiał, że nie pójdzie na kompromis. Nerwów nie brakowało do ostatniego dnia, ale w końcu obydwaj wycofali się ze swoich wcześniejszych zapowiedzi. Biden zgodził się na pewne cięcia wydatków i wprowadzenie nowych ograniczeń dla programów socjalnych, a McCarthy dobił z prezydentem targu. A że szczęśliwe zakończenie dramatu wymaga, by każdy mógł odejść od stołu, ogłaszając sukces, było tak i tym razem. Zwolennicy prezydenta Bidena przekonują więc, że to on wykiwał republikanów i tak naprawdę uzyskał wszystko, co chciał, a plan jest zwycięstwem (opakowanym tylko w kompromis) demokratów. Coś dokładnie przeciwnego mówią sympatycy republikanów i wszyscy są zadowoleni.

Po co to komu?

Za każdym jednak razem, gdy dochodzi do podobnego kryzysu i przesilenia, padają pytania o jego sens. Sprawa dotyczy bowiem nie jednego konkretnego rozwiązania ustawowego, ale rozumienia długu w ogóle. Szkoły w ekonomii głównego nurtu, które traktują dług jako jednoznaczne zło, wielokrotnie już ponosiły w ostatnich latach porażki.

Największą był oczywiście kryzys COVID-19, gdy przeciwnicy zadłużania się państw musieli nabrać wody w usta lub odciąć się od swoich własnych przekonań. Właściwie wszystkie rozwinięte kraje zgodziły się wtedy, że warto zapłacić zadłużeniem sektora publicznego za uratowanie miejsc pracy, uchronienie ludzi przed bezrobociem i nędzą oraz skuteczne przeprowadzenie państw i gospodarek przez pandemię i okres lockdownów.

Pieniądze, których miało „nie być", znalazły się. Także w USA, które wsparły swoich obywateli i firmy rekordowo hojnymi pakietami, w pewnym momencie wypłacając wręcz swego rodzaju bezwarunkowy dochód podstawowy. Do głosu doszli zaś ekonomiści, którzy przekonują, że dług wcale nie jest obciążeniem czy wynikiem błędnej polityki gospodarczej państw, lecz czymś zgoła innym. Narzędziem w rękach rządu, który może i powinien po nie sięgać, nie tylko w czasach kryzysu, choć w okresach trudnych szczególnie odważnie. To w gruncie rzeczy nie jest żadna innowacja względem poglądów słynnego ekonomisty Johna Maynarda Keynesa, który podobnie myślał o finansach i pieniądzach publicznych już podczas II wojny światowej. Dzisiaj oczywiście wszyscy odnoszą się do innych wojen i innych wyzwaniań, ale myśl Keynesa wraca do łask.

Jest wszakże jedno poważne ale. Debata publiczna o długu uparcie tkwi w tych samych koleinach. Ludzie chcą – co pokazała pandemia – dostawać pieniądze i cieszy ich hojna polityka socjalna finansowana z deficytu. Z drugiej strony słowo dług kojarzy im się tak paskudnie, że jednocześnie domagają się jego drastycznych cięć. Media zaś, w których rolę ekonomistów odgrywają często płatni lobbyści lub użyteczni krzykacze wielkich korporacji, grają tym strachem i podbijają najbardziej demagogiczne wypowiedzi: o nieuchronnym bankructwie, spirali zadłużenia i „państwie, które nie ma własnych pieniędzy".

O ile więc kryzysy polityczne wokół długu udaje się – wciąż – rozwiązywać sprawnie, o tyle większą rewolucję przyniesie dopiero zmiana języka. Gdy termin dług publiczny zostanie zastąpiony sformułowaniem w rodzaju „kredyt inwestycyjny dla przyszłych pokoleń", naprawdę obudzimy się w innej rzeczywistości.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl 6c60627df1

Prezydent musi zachowywać pozycję osobną i twardą

Polityk musi mieć dobrą pamięć, ale nie może być pamiętliwy. Znam takich, którzy pamięć mają słabą, ale pamiętliwi są jak diabli

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI

Rozmawia Aleksander Kaczorowski

Chciałbym zadać kilka trudnych pytań.

– Proszę.

Ziemia kaliska, jedno z najsłynniejszych nagrań z pana udziałem: wysiadaliście z Markiem Siwcem z helikoptera, pan zapytał, czy minister Siwiec ucałował już ziemię kaliską, w domyśle: jak papież. Siwiec padł na ziemię, wszystko w takim prześmiewczym stylu. To nagranie zostało wykorzystane przeciwko panu w kampanii wyborczej w 2000 r. Jak to było?

– Marek Siwiec był posłem z Kalisza, zresztą bardzo dobrze zajął się tym okręgiem, był tam niezwykle aktywny. Polecieliśmy razem, byliśmy młodzi, może w niektórych sytuacjach za młodzi. Nie mieliśmy poczucia naturalnej powagi, która powinna towarzyszyć ważnym stanowiskom, które zajmowaliśmy.

Nie byliście wystarczająco dystyngowani?

– A powinniśmy być: głowy wysoko, podbródki wysuwać. A my byliśmy spontaniczni. Helikopter wylądował, powiedziałem: „Marek, pozdrów ziemię kaliską". I on w takim spontanicznym odruchu to zrobił. Żałuję, że tak się stało, choć nie było w tym żadnych złych emocji, wręcz przeciwnie.

Nie wiedział pan, że to jest nagrywane?

– Nie zwróciłem na to uwagi, ale zawsze jest jakieś nagranie. To nie była żadna sensacja. Zostało to wykorzystane w kampanii wyborczej, ale efekt dla tych, którzy to puścili, był odwrotny do zamierzonego.

Kampanię w 2000 r. zrobiłem bardzo porządnie, jak każdą. Miałem mnóstwo spotkań, byłem chyba w Nowej Hucie, kiedy ten film wypłynął. A miałem taki zwyczaj, że niezależnie od tego, jak byliśmy skonani, po ostatnim spotkaniu, późnym wieczorem, zazwyczaj w nocy, robiliśmy zebranie sztabu: plan na następny dzień, jakaś samoocena tego, co wydarzyło się minionego dnia. Dziewczyny i chłopaki ze sztabu mówią: „No to już nic z tego. To poszło wszędzie. Nie wygramy w pierwszej turze". A ja po spotkaniu w Nowej Hucie mówię: „Mylicie się. Wygramy w pierwszej turze. Do tej pory brakowało nam emocji. Wszystkie spotkania były bardzo udane, ale brakowało nam czynnika mobilizującego. Nasi przeciwnicy tym filmikiem sprawili, że nastąpiła mobilizacja. Atakują, to musimy zewrzeć szyki".

To się czuło po atmosferze, po ludziach, po zaangażowaniu: musimy, zrobimy. Tak więc ta metoda była bronią obosieczną.

Nie twierdzę, że ten film przesądził o mojej wygranej, ale prawdopodobnie dzięki niemu uniknęliśmy pułapki, w którą wpadł Komorowski. Wszystko idzie dobrze, wszyscy są już znudzeni, przekonani, że nie można przegrać, i nie zauważają, że tendencja zdążyła się odwrócić. Inna rzecz, że wykonaliśmy kolosalną pracę, czego sztab Komorowskiego nie zrobił.

Miał pan wtedy spin doktora, kogoś takiego jak Jacques Séguél przy poprzednich wyborach?

– W 2000 r. nikogo takiego nie potrzebowaliśmy. Jaki spin doktor? Zaczynałem kampanię jako urzędujący prezydent, mając siedemdziesiąt parę procent poparcia, to była tylko kwestia pracy – i my ją wykonaliśmy. (…)

Tajemnica kampanii jest prosta jak drut i wbrew pozorom nie zmienia się mimo nowych środków komunikacji. Wielu polityków popełnia istotny błąd, stawiając tylko na media społecznościowe, na telewizję, na obecność online, czyli wirtualną. A żeby wygrać wybory, trzeba pojawiać się fizycznie, i to w bardzo dużej liczbie miejscowości. Jak przyjedziesz do miasteczka, co prawda nie wszyscy cię zobaczą, ale rozejdzie się informacja, że kandydat tu był. Najważniejsze w kampanii bezpośredniej, w tym ściskaniu rąk ludziom, jest to, żeby pokazać, że bardzo ci na nich zależy. Jak nie pojawiasz się wśród wyborców, sprawiasz wrażenie, że ci nie zależy. A skoro tobie na nich nie zależy, to wyborcom na tobie tym bardziej.

Taka fizyczna obecność kosztuje mnóstwo wysiłku, ale jest niezwykle pouczająca i potrzebna, jeżeli chcesz usłyszeć, o co ludziom chodzi, jakie są nastroje. Czasem spotkasz się

eprasa.pl 6c60627df1

Pojednanie w Watykanie. Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki i Aleksander Kwaśniewski, 8 kwietnia 2005 r.

z krytycznymi głosami, przekleństwami, sytuacjami bardzo nieprzyjemnymi, ale to wielka nauka, wielki kapitał. Rozumieją to Amerykanie, którzy też mogliby robić wszystko online, ale nie robią. Podobnie Francuzi. (…)

A jak ostatecznie ułożyły się pańskie relacje z Lechem Wałęsą? Chyba ostatnio są niezłe?

– Początkowo były bardzo trudne. Do tego stopnia, że na pogrzeb papieża w Watykanie w 2005 r. roku polecieliśmy dwoma samolotami. Mnóstwo czasu spędziliśmy na uzgadnianiu, kto z kim poleci, żeby tylko się nie spotkać. Nasza ówczesna ambasador Hanna Suchocka musiała zorganizować kilka busów, żebyśmy z lotniska w Rzymie na uroczystości nie jechali razem.

On nie chciał jechać z panem?

– W żadnym wypadku. Nawet ręki nie chciał podać. Ale było zimno, wietrzny dzień, więc mówię do Hanny Suchockiej, że może przed uroczystościami warto podjechać gdzieś do toalety. Suchocka na to: „Zgoda, podjedziemy najpierw do Auli Pawła VI, tam jest dużo toalet". Wchodzimy do środka, a z toalety wychodzi kto? Lech Wałęsa! Co było robić? Oczywiście się przywitaliśmy. Mazowiecki na to: „Boże, jakie piękne pojednanie, ale dlaczego w takim niewłaściwym miejscu?". Ja na to: „Panie premierze, dla pojednania nie ma niewłaściwych miejsc". Longin Pastusiak, który miał aparat fotograficzny, zaproponował, żeby zrobić wspólne zdjęcie. Mazowiecki też był za tym, więc wyszliśmy przed aulę i uwieczniliśmy ten wiekopomny moment pojednania w watykańskiej toalecie.

Co to jest grupa Bilderberg?

– Raz tylko w tym uczestniczyłem.

Ale co to jest?

– Grono ludzi z najwyższych półek. Intelektualiści, think tankerzy, dziennikarze, raczej rzadko urzędujący politycy. Spotykają się w różnych miejscach w atmosferze całkowitej dyskrecji, żeby szczerze porozmawiać o tym, co się dzieje. Nie ma przy tym żadnych mediów.

Dlaczego?

– Grupa Bilderberg była odpowiedzią na podział zimnowojenny. Zdaje się, że Holendrzy to wymyślili. Trzeba było znaleźć miejsce, w którym obie strony mogą rozmawiać szczerze i z tego tytułu nie utracić stanowisk, nie mieć kłopotów.

Uczestniczyłem w takim spotkaniu w Waszyngtonie. Pamiętam, że była królowa Zofia z Hiszpanii, holenderska królowa Beatrix, był Henry Kissinger. Ja brałem udział w debacie Europa Wschodnia – Rosja z Dmitrijem Treninem, ówczesnym szefem think tanku Carnegie Moscow Center. Kiedy tam byliśmy, a dwa dni to wszystko trwało, ani przez moment nie miałem wrażenia, że to jest jakiś tajny rząd światowy, że tam się podejmuje jakieś nadzwyczajne decyzje. To jest mocno przesadzone.

Być może pojawiają się tam jakieś interakcje, jakieś wspólne pomysły.

FOT. ELIZA RADZIKOWSKA/REPORTER

eprasa.pl 6c60627df1

Ale to jest dalekie od tego spiskowego mitu, że oto grupa Bilderberg zarządza światem. (…)

Ma pan od lat do czynienia z ludźmi wielkiej władzy, wielkich pieniędzy albo przynajmniej wielkiego ego. Jak się funkcjonuje między nimi?

– Pytanie brzmi: co nas motywuje, co chcemy osiągnąć? Powiedzmy, że jesteś w polityce i masz coś do załatwienia, czy to w interesie państwa, czy regionu. Szukasz kontaktów. Masz listę osób, które są dla sprawy mniej ważne i ważniejsze. Zaczynasz od tych drugich. Oczywiście na tej liście są ludzie sympatyczni i mniej sympatyczni, ale akurat taki podział nie ma sensu, bo często najważniejsze decyzje podejmujesz z tymi, których nie lubisz i nie chciałbyś drugi raz spotkać. To samo, gdy chodzi o świat biznesu. Jestem absolutnie za tym, żeby reguły w relacji tych dwóch światów były jasne i czytelne, żeby unikać nadmiernego spoufalania się czy nie daj Boże korupcji. Ale jestem absolutnie przeciwny temu, żeby to były zupełnie różne światy.

Donald Tusk wystrzega się kontaktów z biznesem jak ognia.

– To skutek afery Rywina i ataków na SLD, ataków na Platformę i przypiętej jej łatki „liberałowie-aferałowie". Ale jak się te dwa światy trzyma pod kloszem i nie ma komunikacji między nimi, nic dobrego z tego nie wyjdzie. Jedni robią politykę, drudzy robią biznes, reguły powinny być jasne.

Poznałem w swoim życiu wielu ludzi bardzo zamożnych, namawiałem ich, żeby inwestowali w Polsce, część z nich to zrobiła, część nie. To ważny element świata, w którym żyjemy. Oczywiście trzeba mieć instynkt, intuicję, unikać postaci dziwacznych. Będąc na szczycie, ma się też informacje od służb, na kogo trzeba uważać. Ale nie zawsze się to udaje.

Pamiętam, jak już po prezydenturze byłem ciągany po prokuraturach z inicjatywy ministra Ziobry. Pokazywano mi zdjęcia, na których jestem z kimś, i pytano, czy rozpoznaję tę osobę. „No nie rozpoznaję" – mówiłem. „Ale ma pan zdjęcie". Ja na to: „Proszę pana, ja takich zdjęć mam miliony".

Jeśli odbywa się kampania wyborcza, to czy można sobie wyobrazić, że odmówię zrobienia zdjęcia ze mną? Staram się być miły, sympatyczny, poza tym naprawdę jestem otwarty i nie przeszkadza mi, że ktoś chce sobie zrobić ze mną zdjęcie. A co on ma za pazurami, jakie ma przewiny – tego przecież nie wiem.

Tego typu ludzie, naciągacze, zawsze kręcą się koło władzy. Dlatego potrzebna jest pomoc odpowiednich służb, BOR-u, teraz SOP-u, żeby nie dopuszczać do sytuacji niewygodnych, z których później trudno się wytłumaczyć. Ja w życiu zawsze kierowałem się raczej zaufaniem do ludzi niż nieufnością. I parę razy z tego tytułu dostałem mocno po łapach. Ale niczego bym nie zmienił. Uważam, że gdybym miał żyć jeszcze raz i kierować się nieufnością do ludzi, to chyba wolałbym nie żyć. Wolę zaufać, zawieść się czasem i być pokiereszowany, ale wierzyć ludziom, bo to czyni ten świat przyjemniejszym.

Wybaczał pan?

– Nie było tak, że łatwo wybaczałem albo udawałem, że nic się nie stało. Nie wracałem do współpracy z ludźmi, na których się zawiodłem, a kilka razy zawiodłem się bardzo. Mimo to zawsze mówię, że warto ufać innym. Mam takie powiedzenie, które dedykowałem współpracownikom: Polityk musi mieć dobrą pamięć, ale nie może być pamiętliwy. Znam takich, którzy pamięć mają słabą, ale pamiętliwi są jak diabli.

Józefa Oleksego cenił pan chyba jako polityka, ale ostatecznie się pan na nim zawiódł?

– To była bardzo długa znajomość. Poznaliśmy się w latach 70., kiedy byłem szefem rady uczelnianej. On był starszy ode mnie o osiem lat i pełnił wtedy funkcję przewodniczącego Rady Młodych Pracowników Nauki SZSP. To była grupa asystentów, adiunktów, którzy zaczęli kariery naukowe na uczelni. Józek wtedy był już doktorem. Nie sposób go było nie zauważyć: łysy, duży, witalny, szukający kontaktu. Podtrzymaliśmy naszą znajomość.

Został potem sekretarzem PZPR na Podlasiu.

– Jaruzelski pod koniec lat 80. postawił na młodych, takich jak Miller, Andrzej Ornat, Oleksy i ja. Wtedy było 49 województw, więc stanowisk do obsadzenia sporo. Wysłał nas na różne placówki, ja zostałem ministrem do spraw młodzieży, Ornat był I sekretarzem w Siedlcach, Miller w Skierniewicach, a Józek w Białej Podlaskiej. (…)

Józek chętnie się kolegował, ale miał kłopot z zachowaniem lojalności. Był bardzo miły w ocenach, jeśli chodzi o obóz przeciwny, gdzie musiał zdobyć trochę uznania. Był natomiast mocno zgryźliwy i złośliwy w stosunku do własnego środowiska. Kiedy czytałem jego wynurzenia, byłem zaszokowany.

Ma pan na myśli jego rozmowę z Gudzowatym, którą nagrał i wyniósł do mediów?

– Oleksy powtarzał plotki, a Ziobro zrobił z tego aferę. Chodziło o dom w Kazimierzu, który niby miał być moim domem, a nigdy nim nie był. Konsekwencje tego były wyjątkowo paskudne. Państwo polskie zajmowało się tą sprawą w latach 2006-2007 i 2016-2022, czyli łącznie przez osiem lat. Wszystkie nasze dokumenty finansowe wielokrotnie nicowano. Przez te wszystkie lata byliśmy podsłuchiwani. Zresztą moim zdaniem sprawa toczyła się właśnie po to, żeby przez cały czas trwania śledztwa był tytuł do występowania o możliwość stosowania tak zwanych środków technicznych. Nie można przeciw temu zaprotestować, ponieważ zgodnie z obowiązującymi przepisami jest to możliwe. Złożyli broń, gdy stwierdzili, że to nie ma najmniejszego sensu. W lipcu

Czasem łatwiej przyjaźnić się z ludźmi, którzy są w innym obozie politycznym aniżeli w gronie kolegów, bo z kolegami walczy się o stanowiska czy przywództwo.

eprasa.pl 6c60627df1

2022 r., czyli po15 latach, zapadła decyzja o umorzeniu śledztwa. (…)

Ten akt nielojalności ze strony Józka przyjąłem z bólem. Byliśmy blisko. Wspierałem jego karierę polityczną po 1989 r. Jak powstała SdRP, bardzo zależało nam na tym, żeby mieć klub poselski. Proszę zobaczyć, jaka to była skala upadku: klub PZPR liczył prawie 200 osób, Parlamentarny Klub Lewicy Demokratycznej też był duży, a my potrzebowaliśmy 15 osób, żeby mieć inicjatywę ustawodawczą. Zebranie tych 15 posłów okazało się bardzo trudne. Pomyślałem, że na kogo jak na kogo, ale na Józka mogę liczyć, a on zaczął kręcić: „Słuchaj, muszę się zastanowić". Nie wytrzymałem, porozmawialiśmy po męsku, nie będę cytował, ale to było twarde. Józek się zgodził, wszedł do klubu SdRP. Później był kilkakrotnie posłem, premierem, marszałkiem Sejmu.

Józek, gdybym miał najkrócej go scharakteryzować, był jedną z wybitniejszych postaci polskiej polityki. Bardzo inteligentny, ambitny, obeznany z kontekstem międzynarodowym, bo tym się zajmował, umiał rozmawiać z ludźmi, lubili go. Był bardzo użyteczny w analizach programowych, ale niekiedy zawodził go charakter.

a jednocześnie w sytuacjach trudnych jesteśmy wobec siebie wyrozumiali i lojalni.

Na studiach byłem zaprzyjaźniony ze Zbyszkiem Arczyńskim, był świadkiem na naszym ślubie. Obydwaj mieszkaliśmy na stancji w Sopocie, niedaleko siebie. Byliśmy w jednej grupie studenckiej, obydwaj pochodziliśmy z rodzin lekarskich. Poza tym Zbyszek, tak jak ja, był zapalonym brydżystą, więc byliśmy też parą brydżową. Mieszkał u takiej pani, nazywała się Jadwiga Bałaban, do której codziennie przychodziły koleżanki na brydża. I nas to zainteresowało, ale także dziwiło, że one prowadzą zapis polski. Uważaliśmy, że panie są brydżystkami amatorkami i grają w dosyć tradycyjnego brydża, bez tych nowych konwencji, o których czytaliśmy z wypiekami na twarzach. A my te konwencje mieliśmy opanowane. I kiedyś dwie panie nie przyszły do pani Bałabanowej na brydża i ona spytała: „I co chłopaki, nauczyliście się?". My na to: „Kończymy". „Więc może chcielibyście w brydża zagrać" – zaproponowała. „Z przyjemnością".

I usiedliśmy z nimi do brydża, uzbrojeni w te nasze konwencje. Poszło pierwsze rozdanie, my coś zaczynamy między sobą komunikować, a panie: dwa kiery, cztery trefle,

a podczas stanu wojennego znalazł się za granicą. Jak się spotkaliśmy po latach, mówił, że długo mieszkał w Manchesterze, a potem wrócił do Polski, chyba z nową żoną, i uczył angielskiego. Nie miał żadnych aspiracji politycznych, wręcz unikał polityki, a już na pewno w latach 80. A później nasze losy potoczyły się osobnymi torami.

Polska w latach 80., od stanu wojennego do przełomu, podzieliła ludzi nie tylko politycznie, lecz także życiowo. Część ludzi szukała sobie miejsca gdzie indziej. A proszę pamiętać, że to wszystko działo się, kiedy nie mieliśmy takich możliwości komunikacyjnych jak dziś. Nie było telefonów komórkowych ani internetu, nie było mejli, poczta szła długo albo w ogóle nie dochodziła. Jak ktoś wyjechał za granicę, to niełatwo było go odwiedzić, bo paszport zdobyć było trudno, bilety lotnicze były drogie. Wszystko się bardzo komplikowało. (…)

Mówi pan o przyjaźniach z czasów studenckich.

– Mówię o przyjaźniach studenckich, bo one są bardziej szczere. Ludzie jeszcze nie wiedzą, co będzie dalej, co z nas wyrośnie, jakie miejsca zajmiemy w strukturze społecznej. Takie przyjaźnie nie są obciążone żadną intencjonalnością. Jak już

Grzegorz Kołodko wprowadził do obiegu politycznego mnóstwo ludzi ze świata akademickiego, którzy inaczej by tam nie trafili, takich jak Jerzy Hausner, Danuta Hübner, Ewa Freyberg, Jan Monkiewicz.

Co pan najbardziej ceni u przyjaciół?

– Przyjaźń to jest wartość nadzwyczajna i bardzo rzadka. Staram się tego słowa używać ostrożnie.

Czyżby? Jak tak rozmawiamy, to często nazywa pan rozmaitych ludzi swoimi przyjaciółmi.

– Ale ja teraz nie mówię o polityce. To jest zupełnie coś innego niż przyjaźń osobista.

To co jest najważniejsze w prawdziwej przyjaźni?

– Trzeba być otwartym, bo jeśli jest się zamkniętym, to w ogóle nie można zawrzeć przyjaźni. Trzeba mieć wspólne cele i zainteresowania. Przyjaźń jest wtedy, gdy możemy wzajemnie na siebie liczyć,

szlemik bez atu. Kontra. Po takiej licytacji to nie ma prawa się udać, a one robią tego szlemika. Przegraliśmy z kretesem. Potem jak pani Jadwiga proponowała nam brydża, to zawsze mówiliśmy, że mamy strasznie dużo nauki. Nie stawaliśmy już w szranki z doświadczonymi brydżystkami z Trójmiasta.

Wciągnąłem Zbyszka do działalności studenckiej, był po mnie szefem rady uczelnianej. Potem straciliśmy kontakt, ale w czasach studenckich absolutnie mogliśmy na siebie liczyć.

To czemu straciliście kontakt?

– Kiedy przeniosłem się do Warszawy, Zbyszek został w Gdańsku,

jesteśmy wyżej, jak jest jakiś związek zależności albo wspólne interesy, albo pojawiają się kobiety, to jesteśmy na najlepszej drodze, żeby zniszczyć przyjaźń.

Przyjaźń rujnują władza, pieniądze i kobiety?

– Tak. Władza dlatego, że jeden chce rządzić, a drugi niekoniecznie chce się temu poddać. Pieniądze, bo każdy chce mieć więcej, a nie mniej, i zaczynają ze sobą konkurować. A związki męsko-damskie dlatego, że w razie jakichkolwiek kolizji przyjaźń nie może z tego wyjść żywa.

Zacznijmy od przykładu, jak władza niszczy przyjaźń. Opowie pan o tym?

eprasa.pl 6c60627df1

– To łatwo opowiedzieć, niekoniecznie na własnym przykładzie.

Na własnym. Kiedy pan się rozczarował, z kim władza pana podzieliła?

– Takich przykładów jest sporo. Nie chce mi się mówić o nazwiskach.

To bez nazwisk.

– Problem z władzą jest taki, że ona zasadza się na konkurencji. Nawet łatwiej przyjaźnić się z ludźmi, którzy są w innym obozie politycznym aniżeli w gronie kolegów, bo z kolegami walczy się o stanowiska czy przywództwo w jednej grupie. Za dużo się tu dzieje, żeby takie przyjaźnie mogły przetrwać. Zresztą polityka to nie jest dobre miejsce na przyjaźń. Trudno ją tam zbudować, a jeszcze trudniej utrzymać.

Przez długi czas mieliśmy z Leszkiem Millerem stosunki bliskie przyjacielskim. Nie nazwałbym tego przyjaźnią w pełnym wymiarze, ale pracowaliśmy razem, mieszkaliśmy w jednym domu, on na pierwszym piętrze, ja na drugim, nasze rodziny się znały. Później w wyniku różnych okoliczności to się skończyło. Nie chcę tu nikogo obwiniać, mówić, kto bardziej przeszkadzał – chociaż oczywiście to on bardziej przeszkadzał.

W jaki sposób?

– Chciał mieć więcej wpływów, więcej władzy. Zawsze był człowiekiem bardzo ambitnym, zorientowanym na władzę – i umiał ją zdobywać. Dowiódł tego, był premierem, liderem partii. Często ta jego władza była sprawowana bez ograniczeń, bez wsłuchiwania się w głos innych, bez szacunku dla ludzi. To dość bezwzględne, ale łagodna polityka rzadko przynosi efekty. Bezwzględność zawsze jest w niej obecna, tak samo jak w korporacjach czy w świecie aktorskim. (…)

Ale to pan odgrywał rolę hamulcowego wobec zapędów premiera, który zdobył ponad 40% w wyborach i mógł w Sejmie robić, co chciał. Czy to mogło być źródłem konfliktu?

– Nie mogło, tylko było. Szorstka przyjaźń nie narodziła się z dnia na dzień. Ona wynikała z tego, że nie uważałem, że wszystkie pomysły, które płyną ze strony rządzących, są słuszne. Uważam, że prezydent ma szczególną pozycję, bardzo silny mandat, bo jest wybierany bezpośrednio. Kiedy rządzi ugrupowanie z nim związane, metoda dochodzenia do porozumienia powinna być nieco bardziej wewnętrzna. Z punktu widzenia obu stron lepiej powiedzieć sobie wcześniej: Słuchajcie, tu idziecie za daleko, ja tego nie podpiszę. I oni rezygnują, zamiast robić z tego temat kontrowersji omawianych publicznie na wszystkie sposoby. Współpraca dwóch ośrodków, kiedy są z jednej partii, wymaga zwracania większej uwagi na kuchnię, a nie na główny stół, gdzie podaje się gotowe dania. W przypadku kohabitacji tej kuchni oczywiście prawie nie ma, wszystko odbywa się na widoku.

W przypadku Dudy i Kaczyńskiego nie ma ani kuchni, ani kohabitacji.

– Nie ma relacji, to jest kłopot. Ale prezydent musi zachowywać pozycję osobną, twardą. I to nie wymaga szczególnego heroizmu. A już na pewno nie podczas drugiej kadencji, kiedy wiadomo, że trzeciej być nie może. Zdrowy rozsądek oraz przekonanie, że stoi się na straży interesu wspólnego, powinny być motorem działania.

Sądzi pan, że Leszek Miller ma do pana pretensje, że uniemożliwił mu pan przekształcenie SLD w taką trwałą strukturę władzy, jaką stało się PiS? Czy gdyby pan go nie hamował, Miller zbudowałby taki monopol, jaki PiS ma teraz?

– W tej sprawie nie może mieć do mnie żadnych pretensji. W moim przekonaniu zrobił to, co chciał, czyli zamienił koalicję SLD w jedną partię, mimo że ja uważałem, że ten proces jest zbyt pośpieszny. Ludzi wątpiących wypłukano z partii – zostali ci, którzy umieli organizować aparat.

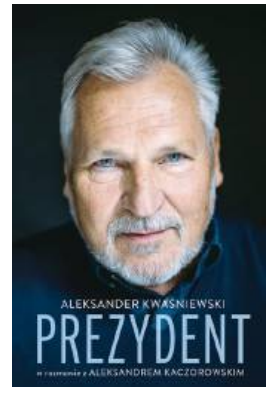

Ci z dawnego ZMS?

– Tak, ZMS tu zwyciężył. Ze wszystkimi tego konsekwencjami. Partii zaczęło brakować wrażliwości, nowych pomysłów, idei. Na szczęście Leszek namówił do współpracy, w czym ja też uczestniczyłem, Grzegorza Kołodkę. Jego powrót na stanowisko wicepremiera-ministra finansów wymagał niemałego wysiłku. Nawet gdy wychodziliśmy z mojego gabinetu na uroczystość zaprzysiężenia, nie miałem stuprocentowej pewności, że on przyjmie to stanowisko. Kołodko w każdym rządzie stanowił osobną część koalicyjną.

Co to znaczy?

– Chciał mieć swoich ludzi we wszystkich resortach gospodarczych – czy to na stanowisku sekretarza, czy podsekretarza stanu. Okazało się to wspaniałą decyzją, bo w ten sposób wprowadził do obiegu politycznego mnóstwo ludzi ze świata akademickiego, którzy inaczej by tam nie trafili, takich jak Jerzy Hausner, Danuta Hübner, Ewa Freyberg, Jan Monkiewicz. Stworzył wewnętrzny gabinet, spotykał się z nimi – bo trzeba dodać, że Kołodko jest pracoholikiem aktywnym po 20 godzin na dobę. To było wątpliwe konstytucyjnie, ale za to bardzo skuteczne. Tak więc koalicja rządząca w praktyce to był układ SLD-PSL i zespół Kołodki.

A pan, wiedząc, że on jest w rządzie, miał pewność, że gospodarka jest w dobrych rękach?

– Znaliśmy się jeszcze z czasów studenckich, więc miałem zaufanie do jego wiedzy. Miałem natomiast kłopoty, jak wszyscy, z jego charakterem. To wymagający, trudny partner, a przy tym człowiek wielkiej inteligencji.

Przepraszam, że wszystko kojarzy mi się Czechami, ale Kołodkę pod względem asertywności można porównać tylko z Václavem Klausem. Choć kompetencje ma nie byle jakie.

– Kompetencje ogromne i pracowitość wielka. I otwarte oczy. Ten człowiek rozumie procesy zmian. On nie jest takim ekonomistą, który przyjął kiedyś jakąś teorię i broni jej do ostatniej kropli krwi.

Fragment książki *Prezydent. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim,* Znak Literanova, Kraków 2023

eprasa.pl 6c60627df1

Oko w oko

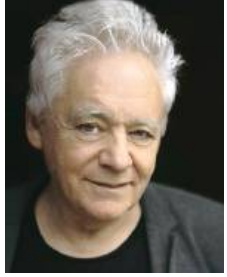

Tomasz Jastrun

Błogostan

Poseł Konfederacji Grzegorz Braun to człowiek głęboko zaburzony, wystarczy posłuchać, co mówi, przyjrzeć się jego mimice. Ten czołowy polski antysemita zachowuje się tak, jakby w Polsce było 3 mln krwiożerczych Żydów, zjadających żywcem biednych Polaków. Braun rozbił wykład prof. Jana Grabowskiego, historyka i badacza Holokaustu. Roztrzaskał przed nosem prelegenta mikrofon, niszczył głośniki, a jakie miny przy tym robił – jak wzburzony goryl. Konfederacja powinna mieć problem, ale nie ma, mówią: to prawda, że chłop może trochę przesadza, ale jest prowokowany. Problem może mieć PiS, jeśli będzie tworzyć sojusz z Konfederacją, więc też z Braunem. Spotkałem Brauna niedawno w księgarni na Wiejskiej, zdawał się zainteresowany książkami, chociaż niewykluczone, że chętniej by je palił, niż kupował.

•

Przemysław Czarnek grozi profesorom, którzy odważyli się skrytykować prezydenta za to, że podpisał niezgodną z polskim prawem i szkodliwą dla Polski ustawę. „Podłość profesorów, którzy są zatrudnieni w polskich uczelniach i którzy nie widzą polskiego interesu, jest przeogromna", grzmi. Prof. Jan Zimmermann, promotor pracy doktorskiej Dudy, mówił zaś: „Ciągle mam w tyle głowy, że pan prezydent jest moim doktorantem, który w praktyce próbuje doprowadzić do całkowitego załamania porządku prawnego w tym kraju". Czarnka te słowa wzburzyły: „Występuje jawnie przeciwko prezydentowi Rzeczypospolitej Polskiej. To jest rzecz, z którą trzeba będzie kończyć w następnej kadencji bezwzględnie, bo to są chamskie postawy tzw. profesorów. Bo to już nie są profesorowie. Mają tytuły, mają wyższe wykształcenie, ale nie mają podstawowego, tego kulturalnego, propolskiego". Już widzimy, co nas czeka, jeśli PiS będzie rządziło jeszcze jedną kadencję – profesorowie utracą tytuły profesorskie i zostaną wydaleni z uczelni. Nie wiem, jak Czarnek to zrobi, ale prezes pomoże. Faszyzm i stalinizm w jednym. Ładne określenie: „wykształcenie propolskie". Trzeba na gwałt rozpocząć produkcję propolskich profesorów na propolskich uczelniach, którzy będą kształcić propolskich studentów. Żeby to było skuteczne, należy z propolskością zejść do szkół i przedszkoli.

•

Jedziemy całą rodziną na marsz 4 czerwca. Wybrali się niemal wszyscy bliscy i dalsi znajomi. Niektórzy jechali z odległych miast. Sporo młodzieży, flagi polskie i Unii, próba odebrania PiS i Konfederacji monopolu na flagę. Ostatnio tak się porobiło, że jak nagle gdzieś widzę polską flagę, to mi się kojarzy z nacjonalizmem. Szliśmy od placu Na Rozdrożu, gdzie był matecznik marszu, i dalej Alejami Ujazdowskimi, przez plac Trzech Krzyży, a na amen utknęliśmy na Nowym Świecie, przy Chmielnej. Zapchały się plac Zamkowy i Krakowskie Przedmieście, w końcu zakorkował się Nowy Świat. I rozwiązano marsz. Jak się zdaje, wtedy pochód miał ogon jeszcze w Alejach Jerozolimskich, czyli ponad 3 km od swojej głowy. Mówi się, że było 500 tys. ludzi – jeśli przesada, to niewielka.

W domu odświeżyłem się i podjąłem heroiczną decyzję. Obejrzę kilka minut „Wiadomości". Nie oglądałem od lat, więc i odporności brak. Szykuję się do tego jak do wejścia do gabinetu stomatologicznego, gdzie będą mi wyrywać zęby bez znieczulenia. Raz kozie śmierć, wchodzę. Serce bije mocniej. Nie zaczęli od marszu, ale od tego, że to rocznica nocnego obalenia rządu Olszewskiego. Rząd był pokraczny, nieporadny, sam się właściwie obalił. A słyszymy, że to spisek Tuska i Wałęsy. Potem ze zdawkowym komentarzem migawki z marszu, jakby tam była garstka ludzi. Następnie budujące sceny, jaka Polska piękna i bogata, krajobrazy wiejskie i miejskie, jak z reklamówek, cóż, może czasami trafi się coś złego, ale, jak mówi pisowski minister: „Wszystko, co złe, jest z zewnątrz" (dokładny cytat). Potem nagle znowu o marszu, z ubolewaniem, że to był marsz nienawiści, kiedy ja widziałem tylko radość wspólnoty. Komentarz, że ludzie dali się zwieść Tuskowi. Taki z niego szczwany lis.

Trzeba na gwałt rozpocząć produkcję propolskich profesorów na propolskich uczelniach, którzy będą kształcić propolskich studentów.

Wyrywają zdania z kontekstu, wyłapują grymas twarzy, pojedyncze hasło. Powtarzają takie migawki co sekundę, by weszły w podświadomość. To program dla głęboko wierzących lub dla tych, którzy nie mają innego źródła informacji. Już widzę wierzących, z jaką nabożną trwogą oglądają te seanse nienawiści, przeplatane pięknymi bajkami – one mówią, że nigdzie nie jest tak dobrze jak w Polsce. Aż sam na chwilę popadam w błogostan, takie stany miałem w Korei Północnej. To propaganda kraju totalitarnego, którym jeszcze nie jesteśmy, ale kierunek zmian widać wyraźnie.

■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6c60627df1

Drukarz to brzmi dumnie

Związek Zawodowy Poligrafów działa już od ponad 150 lat. Niewiele organizacji i instytucji ma u nas aż tak długą historię

Warszawskie obchody 150-lecia Związku Zawodowego Poligrafów. Nz. przewodnicząca Czesława Sońta oraz od lewej: Jacek Kuśmierczyk, Aleksander Kwaśniewski, Andrzej Radzikowski i Błażej Mądrzycki.

Andrzej Leszyk

W Polsce jesteśmy najstarszym w ogóle związkiem zawodowym. Przetrwaliśmy zabory, dwie wojny światowe, stan wojenny. W Europie tylko jeden związek z branży poligraficznej, na Węgrzech, jest starszy od naszego, o siedem lat – mówi przewodnicząca Czesława Sońta.

Branża ma nie tylko bogate tradycje, ale i ogromne znaczenie, bo trudno sobie przecież wyobrazić życie bez druku. Polski rynek poligraficzny należy zaś do największych w Europie. Dlatego na jubileusz 150-lecia, który miał miejsce w Warszawie 1 i 2 czerwca, przybyły delegacje związkowe z wielu krajów Europy (w tym z Ukrainy) i nie tylko; byli też przedstawiciele polskich i zagranicznych firm poligraficznych, a także liczni goście ze świata polityki, nauki i kultury. Honorowy patronat nad jubileuszem objął prezydent Andrzej Duda.

W XIX w. drukarze stanowili najlepiej wykształconą i zorganizowaną część klasy robotniczej na ziemiach polskich. W archiwach Związku Zawodowego Poligrafów zachowała się księga Towarzyszy Sztuki Drukarskiej w Krakowie z 1850 r. Zawiera ona m.in. informacje o zawiązaniu Kasy Składkowej oraz o udzielanych przez tę kasę zapomogach i pożyczkach. Drukarze zorganizowali pierwszy w Galicji strajk, który w styczniu 1870 r. zakończył się zwycięstwem i podwyżkami płac. Na fali tego sukcesu w tymże roku powstał Związek Zawodowy Drukarzy i Zawodów Pokrewnych, którego kontynuatorem jest Związek Zawodowy Poligrafów (jubileusz 150-lecia przesunięto z powodu pandemii). W 1872 r. zaczął się ukazywać dwutygodnik „Czcionka" – pierwsze na naszych ziemiach pismo związkowe.

Wciąż mamy co robić

– Relacje między dziennikarzami i towarzyszami sztuki drukarskiej były zawsze bardzo bliskie. Dla mnie mają osobistą nutę z czasów, gdy byłem dziennikarzem, redaktorem naczelnym „itd", a później „Sztandaru Młodych". Trudno zapomnieć nocne wizyty w drukarni, zwłaszcza gdy zachodziła konieczność zmiany jakiegoś tekstu w ostatniej chwili. Wynalazek Gutenberga znajduje się na krótkiej liście dokonań, które spowodowały najgłębsze i nieodwracalne przekształcenia życia ludzi – mówił Aleksander Kwaśniewski podczas uroczystości jubileuszowych. Dziś

eprasa.pl 6c60627df1

przełomem na miarę Gutenberga jest sztuczna inteligencja.

– Chat GPT w ciągu pierwszych dwóch miesięcy zdobył 100 mln użytkowników, w maju miał 1 mld wejść dziennie. Najpopularniejszy dotychczas TikTok potrzebował dziewięciu miesięcy na 100 mln użytkowników. Środowisko poligraficzne jest bardzo narażone na zmiany, które już następują: możliwość kreowania i przekazywania przez maszyny myśli i tekstów – dodał były prezydent. Odniósł się też do bieżącej polityki. Podkreślił konieczność dalszego wspierania Ukrainy: – Agresja rosyjska na Ukrainę nie miała żadnego uzasadnienia, lecz cel wyłącznie imperialny. Putin chce mieć całą Ukrainę w swoich rękach. Dlatego bardzo ważna jest solidarność z naszymi ukraińskimi przyjaciółmi. A na koniec Aleksander Kwaśniewski wezwał do zatrzymania coraz głębszego regresu demokracji w Polsce: – Trzeba temu w październikowych wyborach powiedzieć „stop"!

– Dzisiejsza poligrafia to nowoczesna, multidyscyplinarna dziedzina techniki, oparta na przemyśle powiązanym ze sztuczną inteligencją, wykorzystywaną do tworzenia różnych treści. Bardzo trudno rozpoznać, czy są one tworem ludzkiego umysłu, czy kodem cyfrowym generującym tekst. W poligrafii coraz częściej będziemy wspomagać procesy produkcyjne zasobami sztucznej inteligencji. Kształcimy poligrafów od wielu lat, rynek chłonie naszych absolwentów, jeszcze zanim ukończą studia. Poligrafia zawsze będzie istotną częścią gospodarki – przewidywał prof. Tomasz Chmielewski z Zakładu Technologii Poligraficznych Politechniki Warszawskiej, dziekan Wydziału Mechanicznego Technologicznego PW.

Podczas jubileuszu przedstawiciele Kancelarii Prezydenta RP oraz resortów kultury i edukacji odczytali listy gratulacyjne od prezydenta Dudy, wicepremiera Glińskiego i ministra Czarnka. Zasłużonym działaczom wręczono Złote Gryfy (od Związku Zawodowego Poligrafów) i odznaki „Zasłużeni dla polskiej poligrafii" (od Polskiej Izby Druku). Przewodnicząca Czesława Sońta i Leszek Wierzbowski z Krajowej Rady Związku Zawodowego Poligrafów zostali uhonorowani Brązowymi Krzyżami Zasługi.

– W latach 2009-2019 branża poligraficzna notowała rokroczny wzrost o 4%. Pandemia oraz zmiany w przepisach spowodowały jednak pewne pogorszenie sytuacji. Wzrosły koszty, firmy są w nieco słabszej kondycji finansowej, ale nie planują zmniejszania zatrudnienia, a przychody branży nie spadają – wskazał Jacek Kuśmierczyk, współautor raportu o rynku poligraficznym w Polsce i prezes Polskiej Izby Druku.

Na polski rynek poligraficzny wpływa też wojna w Ukrainie. Co prawda w kwietniu 2023 r. produkcja była prawie o jedną trzecią wyższa niż w styczniu 2020 r., ale w porównaniu z kwietniem ub.r. spadła o 5%. Wciąż jest to jednak rynek pracownika. Poziom bezpieczeństwa utrzymania miejsc pracy jest wysoki, bo poligrafia stale potrzebuje specjalistów, a wynagrodzenia rosną. Sukcesem Związku Zawodowego Poligrafów było doprowadzenie do podpisania korzystnych układów zbiorowych w polskich zakładach dwóch wielkich koncernów poligraficznych: amerykańskiego WestRock i irlandzkiego Smurfit Kappa. Wydawać się może, że w tej sytuacji związek nie bardzo już ma o co walczyć. Jednak ma o co.

– Ludzie powinni godziwie zarabiać w całej polskiej branży poligraficznej, a niestety nie wszędzie tak jest. Pracuje w niej ponad 130 tys. osób, do naszego związku należy kilka tysięcy. Chcemy, żeby było ich kilkanaście tysięcy – mówi Czesława Sońta. Kiedyś należała do Solidarności, podczas jednego z protestów w stanie wojennym pobito ją i zatrzymano na 48 godzin. Pracowała w Domu Słowa Polskiego, największej drukarni w Polsce, zamkniętej w 2010 r. i całkowicie wyburzonej, potem w dużej spółdzielni poligraficznej Samopomoc Inwalidzka (także już nieistniejącej). W 2005 r. została sekretarz wykonawczą Związku Zawodowego Poligrafów, a w roku 2009 po raz pierwszy wybrano ją na przewodniczącą całego związku. W poligrafii pracują jej mąż i obaj synowie, a wnuczka chodzi do technikum poligraficznego.

W Polsce jesteśmy najstarszym związkiem zawodowym. W Europie tylko jeden związek z branży poligraficznej, na Węgrzech, jest starszy od naszego, o siedem lat.

W patchworkowym ustroju

Niezależnie od niezłej sytuacji pracowników branży poligraficznej ich związek zawodowy na pewno będzie mieć pole do działania. Prof. Juliusz Gardawski, kierownik Katedry Socjologii Ekonomicznej Szkoły Głównej Handlowej, w wykładzie o roli związków zawodowych powiedział, że w polskim kapitalizmie, nazwanym przez profesora patchworkowym, czyli niedookreślonym, ze słabymi, niejasnymi fundamentami instytucjonalnymi, związki mają większe możliwości manewru, jeśli są dobrze kierowane – a na ogół są. – W tym patchworkowym kapitalizmie istnieje przestrzeń, której wypełnienie zależy i będzie zależeć od mądrości elit związkowych. Mogą one osiągać dodatkowe efekty, doprowadzając do porozumień między kapitałem a pracą. W słabym układzie instytucjonalnym związkowcy są zdolni zdziałać więcej – stwierdził prof. Gardawski, zwracając uwagę na potrzebę lepszej edukacji pracowników, co powinno być ważnym zadaniem związków zawodowych.

A z tym jest problem, bo jak stwierdzono podczas panelu poświęconego inwestycjom w rozwój kapitału ludzkiego w branży poligraficznej, mało młodych ludzi wybiera studia poligraficzne, jeszcze mniej studentów chce pracować na uczelni, kadra naukowa się starzeje, nie ma kto uczyć przyszłych poligrafów.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl 6c60627df1

Związek zawodowy pomaga, np. nagradzając najlepszych absolwentów szkół poligraficznych. Nauczyciele z tych szkół uciekają jednak do drukarni, gdzie zarabiają dużo więcej.

– Kwestia kształcenia kadr dla polskiej poligrafii to sprawa fundamentalna i wspólny interes związku zawodowego oraz przedsiębiorców. Niedostatecznie sprawne kształcenie zawodowe, w którym nie biorą udziału pracodawcy i pracownicy, opóźnia osiągniecie przez młodych ludzi samodzielności materialnej. Dobrze funkcjonujący i wypromowany system szkolenia zawodowego zapewniałby im natomiast samodzielność niemal natychmiast – podsumował panel Jacek Kuśmierczyk.

By do tego doprowadzić, uczestnicy jubileuszu podpisali 20-punktową „Deklarację woli wspierania rozwoju oraz promocji systemu edukacji zawodowej w branży poligraficznej", zawierającą konkretne i słuszne propozycje. Oby deklaracja przełożyła się kiedyś na praktyczne działania.

– W kształceniu zawodowym w branży poligraficznej mamy obecnie ok. 20 tys. uczniów – poinformował dyrektor Piotr Bartosiak z resortu edukacji. Być może ta liczba się zwiększy, jeśli powstaną branżowe centra umiejętności, nad którymi pracuje ministerstwo.

Warto też zwrócić uwagę na rozwiązania niemieckie, omówione przez Huberta Steffana z koncernu DuPont. Nauka w szkole zawodowej trwa do trzech lat, prawie 70% czasu uczeń spędza w firmie, zapoznając się w praktyce z zawodem. Na teorię przypada niewiele ponad 30%. Niemiecki system kształcenia dualnego jest w Polsce znany od lat, ale z wielu powodów, zarówno organizacyjnych, jak i charakterologicznych, wydaje się niemożliwy do szerszego zastosowania w naszych warunkach.

Czesława Sońta: W całej polskiej branży poligraficznej pracuje ponad 130 tys. osób.

Setka dla Kuronia

Związki zawodowe powinny dobrze reprezentować zatrudnionych, co nie jest łatwe, jak bowiem wskazała Izabela Niziołek z firmy Heidelberg, dziś na rynku pracy są co najmniej cztery zróżnicowane pokolenia pracowników: baby boomers (inaczej silversi) – urodzeni w latach 1946-1964; pokolenie X (lata 1964-1980) oraz Y (milenialsi) – urodzeni pomiędzy 1980 a 1995 r. – Milenialsi do niedawna uważani byli za najgorsze pokolenie do rekrutowania i pracy. Ale teraz mamy jeszcze pokolenie Z, najmłodsze, urodzone po 1996 r. Każda z tych czterech generacji ma inne potrzeby i oczekiwania i z każdą trzeba umieć sobie radzić, żeby nie stracić tych pracowników. Dzisiaj nie wystarczy przyzwoite podstawowe wynagrodzenie – podkreśliła prelegentka.

Szczególny moment jublileuszowej uroczystości stanowiło wystąpienie gości z Ukrainy. Mówili oni o wspólnych początkach ruchu związkowego towarzyszy sztuki drukarskiej. – W 1772 r. we Lwowie przy ulicy Łyczakowskiej otworzył drukarnię Antoni Piller. Jej pracownicy założyli stowarzyszenie pomocy wzajemnej, co mogło być pierwszym krokiem do stworzenia związku zawodowego drukarzy w Polsce. Dziś budynki tej drukarni są częścią Ukraińskiej Akademii Drukarstwa – powiedział Jarosław Uhryn, prorektor tej uczelni.

– Udział w jubileuszu 150-lecia wzmacnia naszą współpracę, zwłaszcza że oba narody są spokrewnione. Dziękujemy za wsparcie materialne i moralne udzielone nam podczas rosyjskiej inwazji na Ukrainę, za wysiłki, za czas poświęcany dla naszego i waszego, wspólnego zwycięstwa – dodał prof. Bohdan Durniak, rektor Ukraińskiej Akademii Drukarstwa.

Życzenia z ekranu złożyła Christy Hoffman, sekretarz generalna UNI Global, światowej federacji związkowej, do której należy Związek Zawodowy Poligrafów. Natomiast już osobiście – szefowie organizacji związkowych drukarzy z Węgier, Słowenii, Izraela (po polsku, bo urodził się u nas), Portugalii, Holandii i Turcji, a także Daniel Fernandez, dyrektor oddziału zrzeszającego związki zawodowe branży poligrafii i opakowań. Wskazał on, że rolą związków jest zmiana niesprawiedliwego systemu redystrybucji, w którym zyski firm rosną powyżej inflacji, a zarobki pracowników realnie spadają.

Warto przypomnieć Czytelnikom, że pod koniec lat 70. w polskich kinach pokazywano radziecki film „Setka dla kurażu". W repertuarze kinowym jak najbardziej legalnej gazety, jaką było „Życie Warszawy", drukarze dokonali zmiany. Napisali: „Setka dla Kuronia", co dobrze świadczyło o ich poczuciu humoru i odwadze cywilnej.

Niezwykłym gościem jubileuszu był, owacyjnie witany, 95-letni kpt. Juliusz Kulesza, jeden z dwóch żyjących członków powstańczej obsady gmachu Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych, stanowiącego redutę Starówki. Kpt. Kulesza, grafik, autor książek o obronie PWPW, przed powstaniem był praktykantem w wytwórni (ówczesnej Staatsdruckerei). Pracowali tam także jego rodzice. – Ojciec był kierownikiem sortowni, a mama szeregową sortowniczką. Pewnego dnia mój tata wydał jej polecenie służbowe wyjścia za niego za mąż – żartował Juliusz Kulesza.

W XIX w. drukarze stanowili najlepiej wykształconą i zorganizowaną część klasy robotniczej na ziemiach polskich.

Wydaje się, że nie trzeba żadnych poleceń służbowych, aby Związek Zawodowy Poligrafów przez następne 150 lat działał tak skutecznie jak dotychczas.

Andrzej Leszyk

eprasa.pl 6c60627df1

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Życie w ruinie

Matka lubiła się fotografować na tle ruin, bo w dziewiątej dekadzie życia uparła się, że tylko na ich tle wygląda młodo. Ostatnio nadzwyczaj często zaczęła go prosić, aby sobie zrobili wspólne zdjęcie. Z opóźnieniem do niego dotarło, że jest się czym niepokoić. Prekariat odciska się na obliczu, jakkolwiek człowiek by się oszukiwał, że póki ma gdzie spać i co jeść, nie jest źle.

Właśnie to „póki co" jest sednem dramatu. Zwłaszcza jeśli dotyczy człowieka po pięćdziesiątce, który powinien już bilansować sobie to, co w życiu uciułał. Póki co wciąż jeszcze tylko wyobraża sobie, jak to będzie, gdy ostatecznie zostanie zwrakowany. U człowieka zwrakowanego klęska jest nieustannie wpisana w spojrzenie, słyszalna w każdym oddechu, który jest westchnieniem. Ludzkie wraki łatwo poznać po pustej strefie buforowej, albowiem przedstawiciele zdrowego społeczeństwa instynktownie się od nich odsuwają. Biada nam! Bieda idzie. Przepuśćmy ją, aby nas nie dotknęła.

Wrak człowieka zazdrości tym, którzy biadolą, że nie mają dla kogo żyć. On może i miałby dla kogo, ale nie ma za co. Wrak człowieka nie zazdrości już chyżym biegaczom na skwerkach, on spogląda z podziwem w szpitalne okna – tam leżą ci, których stać na opiekę medyczną. Wrak człowieka przemierza trasy marszów i demonstracji, kiedy już się skończą – wtedy z uwagą spogląda na bruk, z nadzieją, że po stutysięcznym tłumie zostanie jakaś cenna zguba (wrak człowieka sam sobie wypłaca znaleźne). Wrak człowieka, jeśli zdarza mu się mówić do ludzi, nie czyni tego wprost, aby nie poczuli, że ma nieświeży oddech – wrak cuchnie głodem. Czai się opodal letnich stolików i chyłkiem dojada po gościach restauracji, zanim kelner go nie przepędzi, ale to za mało, by uśmierzyć nerwicę żołądka.

Wrak człowieka kiedyś jako miłośnik urbeksu zwiedzał zakamarki opuszczonych budynków, teraz w nich pomieszkuje. Gdy słyszy nadchodzących amatorów ruin, niepostrzeżenie się ulatnia – on jest w ruinie zawodowcem, wie, że nie wolno nigdzie się zadomawiać, zostawiać śladów legowiska, bo domni mają w zwyczaju odbierać bezdomnym nawet ostatni skrawek przestrzeni nadającej się na nocleg. Bez dachu i praw, skazany na włóczęgostwo, nie chce jednak być skazanym za nie, bo niczego poza resztkami osobistej godności już nie ma, a i tę by utracił do końca jako osadzony.

Co to za świat, w którym idzie się do więzienia za biedę, myśli, obserwując z ukrycia policyjny patrol w parku. Za życia był rozpoznawalny, przez chwilę może nawet znany, dlatego dobrze mu z brodą leśnego dziada, z kołtunami na głowie i w nieświeżych łachmanach – nikomu nie przyjdzie do głowy wpatrywać się w niego, jest w końcu tym, od kogo los się odwrócił, a zatem i ludzie odwracają wzrok. Nie pije, nie pali, nie ćpa, ale zawsze był uzależniony od czytania, nie stanowi konkurencji w rewirach zajętych przez zbieraczy butelek i złomu, bo wygrzebuje ze śmietników wyłącznie gazety. Kiedy zasiada z prasą na parkowej ławce, czuje się bezpiecznie, może czytać i jednocześnie się zasłaniać – straż miejska nie legitymuje obywateli zatopionych w lekturze.

Wrak człowieka zazdrości tym, którzy biadolą, że nie mają dla kogo żyć. On może miałby dla kogo, ale nie ma za co.

Prasa żywi się ruinami – na wiadomości codziennie składają się raporty z ruin wojennych, z cierpienia ludzi, którzy z tych ruin uciekli we właściwym czasie, ale do niewłaściwego miejsca, więc umierają w puszczy; politycy wzajem oskarżają się o zrujnowanie wspólnoty narodowej lub kraju; w dziale kultury architekci rozprawiają o sztucznych ruinach projektowanych na zamówienie milionerów o romantycznym usposobieniu; pisarze rozpamiętują dzieciństwo spędzone na placach budów wielkich osiedli, w czym upodabniają się do swoich przodków wspominających zabawy pośród zgruzowanych osiedli przedwojennych; dział sportowy donosi o rujnującej polityce transferowej zadłużonego klubu. Wrak człowieka czyta i widzi, że większość artykułów jest podpisana nieznanymi mu nazwiskami – to młodzi, którzy jak i on przed kilkoma dekadami wyrabiają darmowe staże lub kompletują śmieciówki z nadzieją na to, że w końcu zasłużą na spokojny etat. Trzyma za nich kciuki. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl 6c60627df1

Oskarżeni Mieczysław Mastek (siedzi) i Stanisław Dubois (stoi) z obrońcami Tomaszem Czernickim (pochylony) i Kazimierzem Ujazdowskim (w okularach, stoi) w czasie przerwy w rozprawie.

Uwięzić opozycję!

Kompromitacją reżimu sanacyjnego był nie sam proces brzeski, ale sposób traktowania oskarżonych w twierdzy

Bohdan Piętka

26 października 1931 r. przed Sądem Okręgowym w Warszawie rozpoczął się proces przywódców Centrolewu, który przeszedł do historii jako proces brzeski (od twierdzy brzeskiej, w której przetrzymywano oskarżonych). Ze względu na to, że oskarżono w nim przywódców legalnej opozycji parlamentarnej, oraz na charakter i rozgłos sprawy, należy uznać go za największy proces polityczny II RP (chociaż pod względem liczby oskarżonych większy był proces lwowski 23 działaczy Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów w 1936 r.). Na ławie oskarżonych zasiadło 11 osób: Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Herman Lieberman, Mieczysław Mastek i Adam Pragier z Polskiej Partii Socjalistycznej, Władysław Kiernik i Wincenty Witos z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Piast", Kazimierz Bagiński i Józef Putek z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie" oraz Adolf Sawicki ze Stronnictwa Chłopskiego.

Śledztwo w sprawie brzeskiej prowadzili prokurator Czesław Michałowski (od 4 grudnia 1930 r. do 15 maja 1936 r. minister sprawiedliwości i naczelny prokurator RP) oraz sędzia śledczy Jan Demant. Oskarżonych sądził zespół sędziowski w składzie: Klemens Hermanowski (przewodniczący), Stanisław Leszczyński i Jan Rykaczewski. Oskarżycielami zostali prokuratorzy Witold Grabowski i Robert Rauze.

Akt oskarżenia zarzucał oskarżonym, że w okresie od roku 1928 do 9 września 1930 r. „po wzajemnem [pisownia oryginalna – przyp. aut.] porozumiewaniu się i działając świadomie, wspólnie przygotowywali zamach, którego celem było usunięcie przemocą członków sprawującego w Polsce władzę rządu i zastąpienie ich przez inne osoby, wszakże bez zmiany zasadniczego ustroju państwowego". Były to przestępstwa przewidziane w artykułach 51 i 101 cz. I w związku z art. 100 cz. III rosyjskiego kodeksu karnego z 1903 r., tzw. kodeksu Tagancewa, który obowiązywał na terenie byłego zaboru rosyjskiego do lipca 1932 r., kiedy w całej Polsce wprowadzono jednolity kodeks karny, tzw. kodeks Makarewicza. Groziło

eprasa.pl 6c60627df1

za nie do 10 lat ciężkiego więzienia, a usiłowanie było traktowane na równi z dokonaniem.

Stawiane oskarżonym zarzuty sąd uznał za nieudowodnione. Dlatego wyrok ogłoszony 13 stycznia 1932 r. zapadł na podstawie art. 102 cz. I w związku z art. 100 cz. III kodeksu Tagancewa, czyli „za udział w spisku, zawiązanym dla dokonania zbrodni, przewidzianej w art. 100" („usunięcie przemocą członków sprawującego władzę rządu"), za co groziło do ośmiu lat ciężkiego więzienia. Ale nawet jak na tak zmodyfikowaną podstawę prawną sąd wymierzył oskarżonym dość niskie wyroki. Ciołkosza, Dubois, Mastka, Pragiera i Putka skazano na trzy lata, Barlickiego, Kiernika i Liebermana na dwa i pół roku, Bagińskiego na dwa lata, a Witosa na półtora roku ciężkiego więzienia. Adolf Sawicki został uniewinniony. Przy czym sędzia Stanisław Leszczyński złożył od sentencji wyroku votum separatum, opowiadając się za uniewinnieniem wszystkich oskarżonych.

Od 7 do 11 lutego 1933 r. odbyła się rozprawa apelacyjna przed Sądem Apelacyjnym w Warszawie, który zaostrzył wyroki, dodając utratę praw publicznych i obywatelskich na od trzech do pięciu lat. Sąd Najwyższy skasował ten wyrok 9 maja 1933 r. i dlatego od 11 do 20 lipca 1933 r. odbyła się druga rozprawa przed Sądem Apelacyjnym, który uznał pierwszy wyrok za uzasadniony. Zmienił tylko charakter kary z ciężkiego na zwykłe więzienie, a za podstawę wyroku przyjął art. 97 w związku z art. 95 kodeksu Makarewicza. Wyrok ten zatwierdził Sąd Najwyższy, który ponownie rozpatrywał kasację obrońców. Art. 95 przewidywał karę od 10 do 15 lat pozbawienia wolności „za usiłowanie usunięcia przemocą albo zagarnięcia władzy Sejmu, Senatu, Zgromadzenia Narodowego, rządu, ministra lub sądów". Natomiast art. 97 za wejście w porozumienie w celu popełnienia powyższego przestępstwa przewidywał karę od sześciu miesięcy do 15 lat pozbawienia wolności.

Już same wyroki – znacząco niskie w stosunku do postawionych zarzutów i przewidywanych za nie kar – były kompromitacją obozu sanacyjnego, który wytaczając pokazowy proces polityczny liderom opozycji, liczył na znacznie wyższe wyroki i przedstawienie oskarżonych w jak najgorszym świetle. Kompromitacją reżimu sanacyjnego były także sam akt oskarżenia oraz sposób traktowania oskarżonych podczas osadzenia w twierdzy brzeskiej, co wyszło na jaw po ich zwolnieniu w listopadzie 1930 r. i w czasie procesu.

Kondemnatki na posłów

Żeby zrozumieć tzw. sprawę brzeską, należy się cofnąć do maja 1926 r. i dokonanego wtedy przez Józefa Piłsudskiego wojskowego zamachu stanu, który rozpoczął pierwszy etap autorytarnych rządów sanacji. Klamrą zamykającą ten etap – kiedy sanacja miała do czynienia z silną i zorganizowaną opozycją parlamentarną – były właśnie tzw. wybory brzeskie 1930 r. i proces brzeski. W celu odsunięcia sanacji od władzy na drodze legalnej sześć partii opozycji parlamentarnej (PPS, PSL „Piast", PSL „Wyzwolenie", Stronnictwo Chłopskie, Polskie Stronnictwo Chrześcijańskiej Demokracji, Narodowa Partia Robotnicza) powołało 14 września 1929 r. sojusz polityczny o nazwie Związek Obrony Prawa i Wolności Ludu, potocznie zwany Centrolewem. Pierwszym sukcesem Centrolewu było przegłosowanie w Sejmie 7 grudnia 1929 r. wotum nieufności dla gabinetu płk. Kazimierza Świtalskiego (pierwszego z tzw. rządów pułkowników, w którym sześciu na 14 ministrów było wyższymi oficerami).

29 czerwca 1930 r. Centrolew zorganizował w Krakowie Kongres Obrony Prawa i Wolności Ludu, który stał się wielką manifestacją sprzeciwu wobec rządów sanacji (w obradach w Starym Teatrze uczestniczyło 1500 delegatów, a w manifestacji na Rynku Kleparskim 20-30 tys. osób). Proklamowano na nim „walkę o usunięcie dyktatury Józefa Piłsudskiego aż do zwycięstwa". Chodziło oczywiście o walkę legalną, na drodze wygrania wyborów parlamentarnych. Po przejęciu władzy Centrolew chciał stworzyć „rząd zaufania Sejmu i społeczeństwa". Podczas obrad w sali Starego Teatru padały m.in. okrzyki „Precz z lokajem Mościckim!" i „Na szubienicę z Piłsudskim!". Wincenty Witos nie wykluczył później, że wznosili je nasłani prowokatorzy.

Obóz sanacyjny przystąpił natychmiast do kontrakcji. Już 26 maja 1930 r. Piłsudski zakomunikował w poufnej rozmowie gen. Felicjanowi Sławojowi-Składkowskiemu, że „Sejm będzie rozwiązany", a Składkowski powróci na stanowisko ministra spraw wewnętrznych i ma „zrobić nowe wybory ze Sławkiem i Świtalskim". Rzeczywiście, 3 czerwca 1930 r. Sławoj-Składkowski został ponownie ministrem spraw wewnętrznych. 30 czerwca – a więc dzień po zakończeniu kongresu krakowskiego Centrolewu – Składkowski i premier płk Walery Sławek udali się do wypoczywającego w Druskiennikach Piłsudskiego. Początkowo postanowiono wszcząć śledztwo wobec organizatorów kongresu, ale po kilku dniach zostało ono umorzone, ponieważ prokuratura nie znalazła podstaw prawnych do oskarżenia.

Obóz sanacyjny wytaczając pokazowy proces polityczny liderom opozycji, liczył na przedstawienie ich w jak najgorszym świetle.

8 sierpnia Piłsudski wrócił do Warszawy i dwa dni później wziął udział w dorocznym zjeździe legionistów w Radomiu. 11 sierpnia polecił wezwanemu do Belwederu Składkowskiemu przygotować – jak to określił – „kondemnatki" (od kondemnaty – wyrok zaoczny w prawie staropolskim) wszystkich posłów Centrolewu, czyli zebrać na nich materiały obciążające. W tej sprawie Składkowski meldował się w Belwederze 19, 21 i 22 sierpnia. Podczas ostatniego z tych spotkań – w obecności ministra sprawiedliwości Stanisława

eprasa.pl 6c60627df1

Cara i płk. Józefa Becka (wówczas szefa gabinetu ministra spraw wojskowych, czyli Piłsudskiego) – Piłsudski zakomunikował, że po rozwiązaniu Sejmu zamierza aresztować wielu byłych posłów za ich „kondemnatki". Zapytał następnie, kto podpisze nakaz aresztowania. Po chwili milczenia Składkowski powiedział, że on, chociaż nie miał do tego podstaw prawnych.

Wywiady Piłsudskiego

23 sierpnia 1930 r. premier Walery Sławek oświadczył na posiedzeniu Rady Ministrów, że jest przemęczony i podaje się do dymisji. Dwa dni później prezydent Ignacy Mościcki zaprzysiągł gabinet pod prezesurą Józefa Piłsudskiego. Jedyną zmianą personalną – oprócz osoby premiera – było wejście do rządu Józefa Becka jako wicepremiera. 27 sierpnia premier Piłsudski udzielił pierwszego z serii wywiadów (ostatni ukazał się 27 listopada 1930 r.) redaktorowi naczelnemu „Gazety Polskiej" płk. Bogusławowi Miedzińskiemu. Zaatakował w nim brutalnie opozycję i parlamentaryzm. Stwierdził m.in., że „poseł do Sejmu jest stworzony na to, ażeby głupio pytał i głupio mówił. Toteż, wie pan, ja osobiście nieraz wątpię o jakiejkolwiek wartości tak zwanego parlamentaryzmu, gdyż on prowadzi do musu oszukaństw i do musu życia w świecie oszukańczym". Mówił dalej „o niechlujnej konstytucji, która śmierdzi chlewem poselskim", a nazywa ją „konstytutą", bo to słowo „najbliższe jest do prostituty". Dodał, że „w każdym urzędzie pana posła należy usuwać za drzwi; jeśli zaś przy tym coś im dołożą – to także nie zaszkodzi".

Dwa dni po publikacji tego wywiadu wicemarszałek Sejmu Jan Dąbski (lider Stronnictwa Chłopskiego) został brutalnie pobity przed swoim domem przez dwóch oficerów i plutonowego. Sprawców nie wykryto. Prawdopodobnie pobicie to przyczyniło się do przedwczesnej śmierci Dąbskiego, który zmarł rok później w wieku 51 lat. 29 sierpnia premier Piłsudski postawił wniosek o rozwiązanie Sejmu i Senatu, co następnego dnia uczynił prezydent Ignacy Mościcki, rozpisując równocześnie nowe wybory parlamentarne na 16 i 23 listopada. Z chwilą rozwiązania Sejmu i Senatu przywódcy Centrolewu stracili immunitet. 7 września ukazał się drugi wywiad Piłsudskiego w „Gazecie Polskiej", w którym powiedział, że uważa posłów „za zwyczajne ścierwo, które musi zatruwać swoim istnieniem powietrze". Była to już zawoalowana zapowiedź aresztowań byłych posłów opozycji.

Pod koniec sierpnia 1930 r. komendantem twierdzy brzeskiej został płk Wacław Kostek-Biernacki, a do jego dyspozycji oddelegowano 30 żandarmów. Lista kandydatów na więźniów brzeskich została przygotowana w MSW i obejmowała ponad 100 nazwisk. 1 września minister Składkowski przedstawił ją Piłsudskiemu, a ten zielonym ołówkiem zaznaczył nazwiska tych, którzy mieli być aresztowani.

W czasie kampanii wyborczej pozbawiono wolności na dłuższy lub krótszy czas ok. 5 tys. osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów.

W nocy z 9 na 10 września 1930 r. zostali aresztowani i przewiezieni do twierdzy brzeskiej: Norbert Barlicki, Adam Ciołkosz, Stanisław Dubois, Herman Lieberman, Mieczysław Mastek i Adam Pragier z PPS, Kazimierz Bagiński i Józef Putek z PSL „Wyzwolenie", Władysław Kiernik i Wincenty Witos z PSL „Piast", Karol Popiel z NPR, Aleksander Dębski i Jan Kwiatkowski ze Stronnictwa Narodowego, Adolf Sawicki z SCh, Józef Baćmaga z Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem oraz pięciu posłów ukraińskich: Wołodymyr Ceŧewycz, Osyp Kohut, Jan Leszczyński, Dmytro Palijiw i Aleksander Wisłocki. Po rozwiązaniu Sejmu Śląskiego dołączył do nich 26 września Wojciech Korfanty.

Józefa Baćmagę z sanacyjnego BBWR aresztowano, ponieważ krytykował własny obóz polityczny i pomimo nacisków nie zrzekł się mandatu poselskiego na rzecz prezesa radomskiego „Strzelca". Oskarżono go o defraudację pieniędzy i dołączono do więźniów brzeskich, aby pokazać, że sanacja nie toleruje przestępców we własnych szeregach. W czasie gdy Baćmaga przebywał w twierdzy brzeskiej, Sąd Okręgowy w Radomiu wyznaczył termin rozprawy karnej w jego sprawie. Kostek-Biernacki dodał mu do eskorty dwóch żandarmów i oświadczył, że jeśli powie na procesie o tym, co przeżył w Brześciu, „żandarm skuje mu mordę".

Wincentego Witosa aresztowano w pociągu z Krakowa do Tarnowa. Już podczas pierwszej nocy pobytu w twierdzy brzeskiej obudzono go i oficer-żandarm kazał trzykrotnemu premierowi wynieść kubeł z odchodami. Grożono mu następnie pobiciem. Hermanowi Liebermanowi nie grożono, tylko od razu brutalnie pobito pałką podczas eskortowania do twierdzy. Komisarz policji oświadczył mu przy tym: „Zdechniesz i zaraz cię zakopiemy". Podczas transportu do Brześcia pobito też Adolfa Sawickiego i kazano mu kopać grób w lesie.

Aresztowania były kontynuowane. W czasie kampanii wyborczej pozbawiono wolności na dłuższy lub krótszy czas ok. 5 tys. osób, w tym 84 byłych posłów i senatorów. Unieważniono ponadto listy Centrolewu w 11 okręgach wyborczych i uniemożliwiano mu prowadzenie agitacji wyborczej. Zebrania i wiece opozycyjne były rozpędzane przez specjalne bojówki lub policję. Wybory przeprowadzone w atmosferze terroru i nacisków administracyjnych przyniosły zdecydowane zwycięstwo BBWR (249 mandatów poselskich i 77 senatorskich) oraz porażkę Centrolewu (79 mandatów poselskich i 13 senatorskich). W tej sytuacji na początku 1931 r. Centrolew ostatecznie się rozpadł.

Poniżani, głodzeni, bici

Informacje o traktowaniu więźniów brzeskich zaczęły docierać do

eprasa.pl 6c60627df1

Przewodniczący składu sędziowskiego sędzia Klemens Hermanowski.

opinii publicznej już po wyborach, kiedy 23 listopada przewieziono z twierdzy brzeskiej do Warszawy i Grójca więźniów polskich (wkrótce ich zwolniono), a do Łucka ukraińskich. Władze starały się ograniczać te informacje. Redaktorom odpowiedzialnym gazet, które takie informacje zamieszczały, wytaczano procesy. 10 grudnia 1930 r. interpelację w sprawie brzeskiej złożył w Sejmie Klub Narodowy, a 45 profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego wystosowało list otwarty do swojego kolegi prof. Adama Krzyżanowskiego, posła BBWR.

Mimo prób blokady informacyjnej ze strony władz opinia publiczna dowiedziała się, jak traktowano więźniów brzeskich i wiadomości te były dla niej szokiem. Osadzonych w twierdzy poniżano, głodzono i w różny sposób maltretowano: umieszczano w karcerze, policzkowano, bito pięściami, a w niektórych przypadkach katowano (rozbierano do naga i przez mokre prześcieradło wymierzano do 30 uderzeń pasami lub prętami żelaznymi). Pozorowano też ich egzekucje.

Podczas procesu brzeskiego odbyło się 55 rozpraw. Przez salę sądową przewinęło się kilkuset świadków, w tym wielu znanych polityków, jak Tomasz Arciszewski, Kazimierz Bartel, Wojciech Korfanty, Mieczysław Niedziałkowski, Kazimierz Pużak, Maciej Rataj, Wojciech Trąmpczyński i Zygmunt Zaremba. Wizerunkowo proces był porażką władz sanacyjnych. Zadecydowały o tym miałkość materiału dowodowego i wykorzystanie przez opozycję procesu jako trybuny, na której oskarżeni stali się oskarżycielami reżimu sanacyjnego. Wielkie wrażenie wywarło zwłaszcza wystąpienie Wincentego Witosa, który zapytał sąd wprost, czy nie zna ludzi, którzy zrobili zamach majowy.

Spośród skazanych w procesie brzeskim Barlicki, Ciołkosz, Dubois, Mastek i Putek podporządkowali się wyrokowi sądu i zgłosili się pod koniec października 1933 r. do odbycia kary. Po roku ułaskawił ich prezydent Mościcki. Pozostali wybrali emigrację. Bagiński, Kiernik i Witos do Czechosłowacji, a Pragier i Lieberman do Francji. Przy czym Adam Pragier powrócił z emigracji w 1935 r. i poddał się karze w wymiarze kilkumiesięcznym. Na emigrację do Czechosłowacji udał się również w 1935 r. Wojciech Korfanty, który nie znalazł się na ławie oskarżonych, ale był więźniem brzeskim. Powrócił do kraju pod koniec kwietnia 1939 r. i został aresztowany przez sędziego śledczego Demanta – tego samego, który przesłuchiwał osadzonych w Brześciu. Korfantego zwolniono z Pawiaka 20 lipca 1939 r. w ciężkim stanie zdrowia (adwokat i rodzina podejrzewali otrucie). Zmarł 17 sierpnia 1939 r. Jego pogrzeb przekształcił się w wielką manifestację antysanacyjną.

Prezydent Mościcki odrzucił w 1937 i 1939 r. inicjatywy środowisk akademickich w sprawie amnestii dla skazanych w procesie brzeskim. Dopiero prezydent RP na uchodźstwie Władysław Raczkiewicz wydał 31 października 1939 r. dekret obejmujący amnestią wszystkich skazanych w procesie brzeskim. W grudniu 2005 i 2007 r. posłowie PSL występowali do ministra sprawiedliwości i prezesa Rady Ministrów o kasację wyroku na korzyść skazanych w procesie brzeskim. Natomiast poseł Tadeusz Iwiński z SLD wystąpił 26 września 2008 r. z interpelacją do ministra sprawiedliwości o ich rehabilitację. Ministerstwo Sprawiedliwości uzasadniło odmowę brakiem zachowanych akt procesu zawierających materiał dowodowy oraz tym, że we wniesionych w 1933 r. apelacjach „obrońcy oskarżonych nie kwestionowali ustaleń faktycznych poczynionych przez sąd I instancji". Tak jakby dla ministra sprawiedliwości z Platformy Obywatelskiej nie było oczywiste, że proces brzeski był bezprawny już tylko dlatego, że oskarżonych sądzono za działalność polityczną, którą prowadzili, mając immunitet parlamentarny.

•

25 maja br. Sąd Najwyższy, rozpatrując wniosek rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara o kasację wyroku w procesie brzeskim, uniewinnił wszystkich skazanych w tym procesie.

Tekst ukazał się w „Przeglądzie" 25 października 2021 r.

FOT. NAC (2)

eprasa.pl 6c60627df1

Blisko problemów społecznych

Wierzymy, że solidarność może istnieć – nawet w naszym brutalnym świecie

Rozmawia Joanna Orzechowska

LUC I JEAN-PIERRE DARDENNE
– najsłynniejszy reżyserski duet europejskiego kina

Wychowaliście się w małej, przemysłowej miejscowości w Belgii, niedaleko Liège. Jean-Pierre studiował sztukę dramatyczną w Instytucie Sztuki w Brukseli, Luc – filozofię. Co sprawiło, że zdecydowaliście się na reżyserię, i to w tandemie?

Luc Dardenne: – Jean-Pierre studiował pod kierownictwem Armanda Gattiego – francuskiego poety i reżysera włoskiego pochodzenia, który był mu bliski i w końcu zaproponował, aby brat został jego asystentem. Ja dołączyłem do nich kilka lat później. Wspólnie zrealizowaliśmy w 1980 r. nasz pierwszy film – tak się zaczęło.

Od początku fascynowało was kino zaangażowane.

L.D.: – Na pewno pozostawaliśmy pod wpływem Gattiego, któremu ten typ kina był bliski. Jednocześnie sami mieliśmy już wtedy określoną wizję sztuki filmowej – nie na darmo wychowaliśmy się w regionie Belgii, który po epoce przemysłowego rozkwitu popadł w ekonomiczną ruinę. Można powiedzieć, że od dziecka stykaliśmy się z problemami społecznymi.

Bohaterowie waszych filmów pozostają głęboko zakorzenieni w rzeczywistości społecznej, zarazem są swego rodzaju outsiderami – buntują się i nie akceptują norm narzucanych przez grupę. W życiu należy pozostać buntownikiem? Mimo wszystko?

Jean-Pierre Dardenne: – Powiedzmy, że nasi bohaterowie nie należą do osób, które się żalą czy narzekają, i to mimo trudności, które napotykają na swojej drodze. W naszych filmach nigdy nie staramy się znajdować okoliczności łagodzących dla takich czy innych aktów, mimo że zawsze próbujemy ocalić naszych bohaterów, sprawić, aby zapaliło się symboliczne światełko w tunelu. Nie chodzi o jakiś zewnętrzny cud w stylu deus ex machina – chodzi o wewnętrzną energię, która sprawi, że znajdą wyjście z pułapki, w której się znaleźli. Pragniemy zwrócić im nadzieję. Dzięki postawie, którą nazwała pani buntowniczą, naszym bohaterom udaje się uciec od samotności, zaakceptować spotkanie czy kontakt – w skali jednostki to ogromne zwycięstwo.

Wasi bohaterowie walczą o własną godność. Mówicie w filmach, że zawsze, w każdej sytuacji warto próbować, nie należy kapitulować, mimo że czeka nas porażka.

J.-P.D.: – To ważne, aby o tym mówić, ale nie należy dawać widzowi lekcji. W życiu nie ma gotowych recept na przyszłość – dlatego zawsze staramy się unikać nachalnego dydaktyzmu. Pragniemy opowiadać o drogach życiowych bohaterów, utrwalać okruchy życia.

Jeden z krytyków napisał, że wasze filmy są „poszukiwaniem prawdy o ludzkiej egzystencji, zarówno w aspektach Dobra, jak i Zła". To prawda, że wasi bohaterowie nigdy nie są herosami – potrafią być jednocześnie wielcy i mali.

L.D.: – Zło wyzwalają w nich sytuacje życiowe, w których się znajdują. W „Rosettcie" bohaterka traci pracę i ten fakt wywołuje w jej życiu lawinę dramatycznych konsekwencji, do tego stopnia, że praktycznie traci ona kontakt ze światem zewnętrznym, zostaje wykluczona ze społeczeństwa. Jej walka o powrót do normalnego życia jest bezlitosna – w świecie upadłych aniołów nie ma miejsca na litość i wzniosłe ideały. Życie jest skomplikowane – dlatego nasi bohaterowie nigdy nie mają cech wyłącznie pozytywnych. Tym bardziej godne podziwu staje się ich zwycięstwo nad własnymi słabościami i ograniczeniami. Nie interesuje nas ukazywanie postaci, które byłyby moralnymi modelami – każdy z nas ma strefę cienia i nic nie jest czarno-białe.

eprasa.pl 6c60627df1

Jaka problematyka pozostaje dla was najważniejsza? Byliście często porównywani do mistrzów angielskiego kina społecznego – Kena Loacha i Mike'a Leigha.

J.-P.D.: – Jak pozostać solidarnym? Jak zachować przyjaźń? Jak uratować siebie, nie poświęcając drugiego człowieka? To pytania, które nas zaprzątają. Każda droga jest skomplikowana – ludzki los nigdy nie jest linią prostą. Pewne konfiguracje w życiu sprawiają, że ujawnia się w nas Zło, jednak to nie oznacza, że jesteśmy na nie skazani na zawsze. Naturę człowieka cechuje ambiwalencja – nikt o zdrowych zmysłach nie może twierdzić, że jest w 100% dobrym człowiekiem. Jesteśmy kimś, ale jednocześnie jesteśmy zupełnie kimś innym – na tym polega tajemnica istoty ludzkiej. Gdyby wszystko było proste, nie potrzebowalibyśmy literatury i sztuki. Loach i Leigh są nam bliscy, ale mamy własną wrażliwość.

Wasze filmy, w tym ostatni, „Tori i Lokita", nie zawsze mają happy end. Za każdym razem pojawia się jednak nadzieja – czy to rodzaj osobistej utopii?

L.D.: – To prawda, że bardzo często opowiadamy historie, w których bohaterowie ewoluują i pod koniec nie są już tymi samymi osobami. Jesteśmy pewni, że nic nie jest definitywne, że człowiek dysponuje ogromną wewnętrzną siłą, która może się uaktywnić nawet w najbardziej dramatycznych momentach. Dopóki jest życie, istnieje nadzieja – mówi wielka życiowa prawda. Zawsze można się zmienić i tym samym ułożyć na nowo elementy życiowej układanki. Nie ryzykowałbym jednak stwierdzenia, że kino może zmieniać rzeczywistość – może natomiast przekonywać, że zawsze warto walczyć, aby coś zmienić: siebie samego czy to, co nas otacza. Film może wpłynąć na postrzeganie świata przez indywidualnego widza – to już bardzo wiele.

W waszych filmach praca pozostaje niekwestionowaną wartością, jakby na przekór ostatnim sondażom i analizom, w których praca traci na atrakcyjności, wzrasta natomiast popularność konceptu „łatwych" pieniędzy. Czy dawny świat i jego wartości odchodzą?

Tori i Lokita

J.-P.D.: – Nie sądzę. Mam nadzieję, że ludzie będą nadal pracować. Ale to prawda, że w dzisiejszym świecie coraz istotniejszą rolę odgrywa pieniądz, i nie ma to nic wspólnego z faktem, że ludzie stają się biedniejsi. To dążenie do posiadania, do otaczania się coraz większą liczbą przedmiotów, do coraz szybszej i intensywniejszej konsumpcji jest przekleństwem naszych czasów. Te wszystkie samochody, biżuteria, markowe okulary składają się na wielkie śmietnisko cywilizacji. Należałoby zadać sobie pytanie, jak powrócić do stanu wyciszenia. Myślę, że sztuka może odpowiedzieć na to pytanie. Już sam fakt zamknięcia się w ciemnej sali kinowej pozwala się wyłączyć i jest wielkim zwycięstwem dla tych, którzy nie potrafią się zatrzymać – kino jest lekcją cierpliwości, pozwalającą nam wrócić do stanu niewinności. Proszę sobie wyobrazić, że nawet nasi studenci ze szkół filmowych się śpieszą: wielu wolałoby oglądać materiały w przyśpieszeniu, inaczej po prostu się nudzą!

Jesteście stałymi gośćmi festiwalu w Cannes. W zeszłorocznej edycji zaprezentowaliście tam obraz „Tori i Lokita", o wyraźnym przesłaniu politycznym.

L.D.: – Faktycznie, ten film jest w większym stopniu deklaracją polityczną – zmusiła nas do tego sytuacja. Scenariusz narodził się po lekturze artykułów prasowych, w których autorzy pisali, że setki nieletnich migrantów z Afryki po prostu znikają bez śladu. W naszych bogatych i demokratycznych krajach europejskich tego typu zjawiska nie powinny istnieć, a jednak istnieją – staraliśmy się w filmie dotrzeć do źródeł tej tragedii, obnażyć mechanizmy systemu, luki w prawie i pasywność państwa, niereagującego odpowiednio na działalność grup przestępczych, które wykorzystują migrantów.

Mówi się często o „stylu Dardenne'ów". Na czym polega?

J.-P.D.: – Wywodzimy się z dokumentu – z jego tradycji zaczerpnięte są stosowane przez nas zbliżenia, plany-sekwencje, użycie czerni i bieli, respektowanie ciągu narracyjnego, współpraca z mniej znanymi aktorami czy amatorami. Znaleźliśmy nasz styl w 1996 r. wraz z „Obietnicą" i pozostaliśmy mu wierni do dziś. Ale czasami zatrudniamy też gwiazdy, np. Marion Cotillard...

Kręcicie nie tyle filmy społeczne, ile moralitety. Czy głoszona przez was utopia – stosunki międzyludzkie oparte na solidarności, miłości, szacunku i sprawiedliwości – może stać się rzeczywistością?

L.D.: – Moralitet nie jest może najtrafniejszym określeniem, ale na pewno wierzymy w solidarność. Wierzymy w to, że może ona istnieć – nawet w naszym brutalnym świecie. To DNA naszego kina. Film pozostaje jednak przede wszystkim filmem – jest dziełem sztuki, nawet jeśli niesie określony przekaz. Jesteśmy przede wszystkim artystami. ■

FOT. GUTEK FILM (2)

eprasa.pl 6c60627df1

KURTYNA W GÓRĘ

Marcello z Placu Zbawiciela

Komedia „Dolce vita", tytułem nawiązująca do filmu Felliniego, traktuje o pokoleniu, które PRL pamięta mgliście. Ze względów biograficznych nie brało udziału w przygotowaniach do rewolty ustrojowej, nie działało w pierwszej Solidarności, przyszło niejako na gotowe.

I tu mamy Marcella, granego przez Filipa Kowalczyka, świetnie debiutującego tą rolą na warszawskiej scenie; bohatera bliskiego temu z Różewiczowskiej „Kartoteki". Również on odmawia działania, unika decyzji i nawiązywania kontaktów, broni się ironią, ma kłopoty z ustaleniem swojej tożsamości. Wierzy się w jego wewnętrzne wypalenie i melancholijną senność. W „Kartotece" nawiedzały Bohatera postacie z najbliższego kręgu: rodzice, wujek, sąsiadka, znajomi, albo przypadkowe. W „Dolce vita" jest podobnie, nachodzą Marcella rodzice, kochanki, sąsiedzi, a nawet pies Pudelek i Pan z zakładu pogrzebowego. Zasada podobna – w obu dramatach bohater leży w łóżku, a przez jego pokój przewalają się rozmaici nieproszeni goście.

Ważne jest miejsce, gdzie rozgrywają się wszystkie zdarzenia – kawalerka przy placu Zbawiciela w Warszawie, o żabi skok od Teatru Współczesnego, toteż spektakl wystawiony właśnie tutaj nabiera szczególnej swojskości, jest opowieścią o tu i teraz. Także dekoracja nawiązuje do tej konkretnej lokalizacji. Horyzont sceny zajmuje meblościanka będąca makietą budynku przy placu Zbawiciela, w łóżku otwierać się będzie klapa, spod której wychyla się upostaciowany Facebook (brawurowa rola komediowa Marcina Bubółki).

Przedstawienie we Współczesnym może uchodzić za nową wersję „Kartoteki", ale to przecież nie znaczy, że jest kopią, naśladownictwem albo przedrzeźnianiem. Autorzy, a za nimi reżyser, wykorzystali klucz „Kartoteki", aby odtworzyć losy nowego pokolenia, ukazać jego niezdecydowanie, zawieszenie wewnętrzne, utratę widoków na przyszłość.

Tomasz Miłkowski

Julia Holewińska, Kuba Kowalski, „Dolce vita", reżyseria Marcin Hycnar, Teatr Współczesny w Warszawie, Scena w Baraku, premiera 19 maja 2023

MIĘDZY OKŁADKAMI

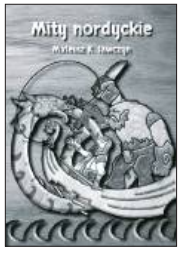

Mateusz K. Sawczyn

Mity nordyckie

SBM, Warszawa 2023

Nigdy nie byłem wielkim fanem mitologii. Może to pokłosie fatalnego opracowania Parandowskiego? A może upupienia mitologii i zrobienia z niej popkulturowej papki? Mitologię nordycką znałem najbardziej z nawiązań w produkcjach Marvela i książkach Tolkiena. W końcu sięgnąłem do źródeł i… pozycja Mateusza K. Sawczyna, oparta na tłumaczeniach islandzkich tekstów oraz opracowaniach naukowych, pozytywnie mnie zaskoczyła. Autor pisze przystępnie i lekko, historyczne ustalenia układa w ciekawe opowieści. Fani mitologii nordyckiej powinni dobrze się odnaleźć w tym tytule, a i dla tych, którzy znają tylko elementy mitologii z Północy, będzie to ciekawa lektura. W czasach, gdy Thor jest postacią popkulturową jak Supermen, książki takie jak Sawczyna mogą się okazać poręcznym uzupełnieniem wiedzy.

Rafał Pikuła

ZASŁUCHAJ SIĘ

Dariusz Samól, Urszula Szyryńska, Ewa Ruszała

Polish Miniatures. Romantic Style

Acte Préalable

Na oryginalny pomysł wpadła wytwórnia płytowa Acte Préalable, prezentując transkrypcje popularnych miniatur romantycznych, skrzypcowych, fortepianowych, fletowych czy orkiestrowych, granych na saksofonie. W epoce romantyzmu takiego instrumentu jeszcze nie było, ogromną popularność zdobył on dopiero w XX w., głównie dzięki jazzowi i muzyce popularnej. Warto więc posłuchać ładnych melodii Chopina, Moniuszki, Paderewskiego, Karłowicza i innych w wykonaniu na saksofon sopranowy i altowy oraz fortepian.

Bronisław Tumiłowicz

BYLIŚMY

Msza (za) Mozarta

Każda zapowiedź wykonania „Requiem" Mozarta ściąga melomanów. Nie inaczej było teraz, podczas Festiwalu Mozartowskiego. Gdy za pulpitem staje Antoni Wit, przed sobą ma Orkiestrę Instrumentów Dawnych MACV, solistów i Zespół Wokalny Warszawskiej Opery Kameralnej, a partie solowe śpiewają Ewa Tracz, Aleksandra Opała, Szymon Rona i Artur Janda, to można być pewnym niesamowitego wykonania. Choć partie solowe są znaczące w dziele Mozarta, największe emocje zawsze towarzyszą występom chóru, w ogóle partie chóralne są najmocniejszą stroną tego genialnego utworu, a „Lacrimosa" wprowadza wręcz w stan muzycznego uniesienia. Mszy żałobnej będzie można powtórnie posłuchać 16 czerwca w bazylice Świętego Krzyża w Warszawie.

Paweł Dybicz

Wolfgang Amadeusz Mozart, „Requiem", 32. Festiwal Mozartowski, 19 maja 2023

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl 6c60627df1

Pod pełnymi żaglami

Polska stała się pionierem w przemyśle jachtowym. Wprowadzamy rozwiązania i dyktujemy trendy, które inni powielają

Bronisław Tumiłowicz

Rafael Nadal z rodziną na jachcie polskiej produkcji.

Upadek państwowych stoczni morskich w Polsce nie oznaczał zupełnej plajty budownictwa okrętowego. Najlepiej chyba z transformacyjnymi perturbacjami poradziła sobie branża budownictwa jachtowego. Nie tylko utrzymała wysoką międzynarodową pozycję, ale wręcz powiększyła znacząco stan posiadania. Towarzyszą jej od lat osiągnięcia polskich żeglarzy. Takie nazwiska jak Teliga, Baranowski, Jaskuła, Puchalski, Chojnowska-Liskiewicz, Kusznierewicz czy Kuczyński – i wielu innych – wypływały i wypływają coraz dalej na dobrej fali, która niesie również stocznie jachtowe, a także budownictwo dużych żaglowców. Polscy żeglarze najczęściej odnosili sukcesy w rejsach dookoła świata, na jachtach zaprojektowanych i zbudowanych w Polsce.

Polska znów potęgą

Jeśli mówimy o naszych atutach w Unii Europejskiej, to okazuje się, że jesteśmy drugim na świecie, po Stanach Zjednoczonych, producentem niedużych jachtów motorowych o długości do 9 m. Badacze rynku w ogóle uważają, że Polska stała się pionierem w przemyśle jachtowym. Wprowadzamy nowe rozwiązania, dyktujemy trendy techniczne i technologiczne, które inni powielają.

Nasz kraj stał się unijną potęgą w produkcji jachtów, a właściwie w ich eksporcie, bo jak na możliwości krajowego klienta są koszmarnie drogie. Polskie stocznie jachtowe chwalą się więc nazwiskami światowych celebrytów z dużą kasą, pod których gusty buduje się eleganckie jednostki pływające, świadczące o prestiżu właściciela. Wśród tych sław są hiszpański tenisista Rafael Nadal, mistrz Formuły 1 Fernando Alonso, a także były kierowca i mistrz Formuły 1 Nico Rosberg. Na pokładach jachtów z polskich stoczni lubi się wylegiwać celebrytka Paris Hilton.

Jacht to dobrze ulokowane pieniądze. Najbogatsi chętniej inwestują w jednostki, które trzymają cenę. Zarabiają też na ich czarterowaniu. Jacht Jana Kulczyka Phoenix II, wart ok. 120 mln dol., uznano za jeden z najbardziej luksusowych na świecie – wycieczka na nim także kosztuje krocie.

Drogo sprzedajemy

Skąd się wziął taki rozkwit branży? Ludzie, którzy zakosztowali w młodości emocji, wiatru i fal, uznali, że przygoda na jachcie może być intratnym biznesem, i założyli własne firmy. Są wśród nich również obcokrajowcy, którzy w przemysł jachtowy zainwestowali w Polsce. Nie dość, że polskie stocznie jachtowe należą do najnowocześniejszych w Europie, to jeszcze produkują na potęgę. Polska Izba Przemysłu Jachtowego i Sportów Wodnych (Polboat) wyliczyła, że co roku krajowe stocznie wypuszczają ok. 22 tys. jednostek żaglowych i motorowych. Są to oczywiście łódki różnej wielkości i przeznaczenia: do nauki, do żeglowania turystycznego, do ścigania się i do wypoczynku, są też np. pływające pawilony mieszkalne. W większości jednak ze względu na wysoką cenę – od kilkuset tysięcy do kilku milionów euro – popyt na jachty w Polsce ciągle jest niewielki. W rezultacie aż 95% produkcji trafia na eksport. W liczbach widać naszą przewagę nad innymi – w pierwszym półroczu 2021 r. udział Polski w światowym eksporcie jachtów wzrósł o 1,2 pkt proc., do 4,7%. Z danych Eurostatu wynika, że w 2018 r. polski eksport jachtów stanowił 60% ogólnej wartości eksportu jachtów w UE. Notuje się jego wyraźny wzrost, bo w latach 2014-2018 eksport ten podwoił się, ze 184,8 mln euro do

eprasa.pl 6c60627df1

395,8 mln euro. Daleko za nami uplasowały się Finlandia (60 mln euro, 9,1% eksportu UE) i Włochy (36,7 mln euro, 5,6%).

Kiedy spojrzymy na mapę Polboatu, okaże się, że stocznie jachtowe wcale nie dominują na Wybrzeżu czy ogólnie na Pomorzu i w Krainie Wielkich Jezior Mazurskich. Jeden z poważniejszych producentów jachtów ulokował się nawet na Podkarpaciu, chodzi o znaną stocznię jachtową Rega Yacht w Ropczycach. A prócz tego na mapie centrów jachtowych są Łódź, Warszawa, Konstancin, Wołomin, Radom, Radomsko, Głowno, Błonie i Kraków. Lista miast „stoczniowych" jest długa, a dochodzą tu jeszcze dziesiątki, jeśli nie setki firm współpracujących ze stoczniami jachtowymi, dziesiątki biur projektowych, wykonawców podzespołów i wyposażenia, pośredników handlowych, nawet kancelarii prawnych i agencji ubezpieczeniowych.

Wnętrze jachtu 100 Sunreef Power Eco.

Złapać morskiego bakcyla

Choć nie ma już na morzach polskiej bandery na statkach Polskich Linii Oceanicznych i Polskiej Żeglugi Morskiej, upadły też wielkie dalekomorskie przedsiębiorstwa połowowe, pozostały jednak szkolnictwo morskie i liczne kluby żeglarskie. Zainicjowana przez Krzysztofa Baranowskiego Szkoła Pod Żaglami wciąż przyjmuje zapisy na rejsy dla młodzieży w 2023 i 2024 r. W myśl dawnych regulaminów kandydat musiał się wykazać roczną pracą wolontariacką i zdać egzamin, w którym był bieg na 400 m, pływanie stylem dowolnym na 50 m, trzykrotne podciągnięcie się na drążku i test z angielskiego.

Ale to oczywiście nie wszystkie ścieżki. Mamy sporo harcerskich i sportowych drużyn żeglarskich. Regularnie organizuje się kursy na stopnie żeglarskie i motorowodne. Przypomnijmy, że jeszcze kilka dekad temu byliśmy potentatem w budowie statków żaglowych. Przy skwerze Kościuszki w Gdyni stoi statek muzeum – Dar Pomorza, ale do tego samego nabrzeża cumuje od czasu do czasu Dar Młodzieży zaprojektowany przez inż. Zygmunta Chorenia. Nazywany Ojcem Żaglowców konstruktor niedawno skończył 82 lata. W 45-metrowym mieszkaniu w bloku na obrzeżach Gdańska nadal powstają projekty największych i najdroższych żaglowców świata. Choreń stworzył ich już 20. Zaczynał w PRL od Pogorii i Daru Młodzieży. Podobne jednostki poszły do ZSRR, ale teraz jego statki zamawiają krezusi.

Nasi żeglarze najczęściej odnosili sukcesy w rejsach dookoła świata, na jachtach zaprojektowanych i zbudowanych w Polsce.

W budowie dużych statków żaglowych przez dwie dekady panował zastój, ale to się zmienia. W 2015 r. oddano do użytku oceaniczny żaglowiec szkolny na potrzeby Akademii Marynarki Wojennej Socjalistycznej Republiki Wietnamu. To trzymasztowy bark Le Quy Don. Dwa lata później według projektu inż. Chorenia zbudowano w chorwackiej stoczni Flying Clipper – największy żaglowiec w historii. Ma 162,22 m długości, 18,5 m szerokości. Na pięciu masztach nosi żagle o całkowitej powierzchni 6347 m kw. Żagle uszyto w Polsce – w żaglowni Sail Service w Gdańsku.

Na morzach i oceanach świata

„Płyń po morzach i oceanach świata, sław imię polskiego stoczniowca i marynarza, przynoś chwałę Rzeczypospolitej Polskiej", brzmi formuła chrztu nowej jednostki spuszczanej na wodę. Dziś polska bandera powiewa głównie na mniejszych jednostkach, w tym na polskich jachtach. – Jakie łodzie żaglowe są najlepsze? – pytamy kapitana jachtowego żeglugi wielkiej Krzysztofa Baranowskiego, który do morskiej przygody nieustannie zachęca Polaków i, choć sam już skończył 85 lat, lada tydzień zamierza wyruszyć w kolejny, już trzeci samotny rejs dookoła świata. – Ja wolałbym jachty drewniane, oczywiście nowoczesne, z drewna klejonego – mówi żeglarz. – Francuzi preferują jachty aluminiowe. Są wystarczająco wytrzymałe, ale silne fale wgniatają burty i po kilku latach taki statek wygląda jak wychudzona szkapa z wystającymi żebrami. Jachty stalowe są bardzo mocne, ale w ich przypadku trzeba nieustannie walczyć z rdzą. Z kolei te zbudowane z tworzyw sztucznych dokładają się do plastiku, który staje się zmorą w środowisku naturalnym. Nie mam nic przeciwko nowoczesnym jachtom z włókna bazaltowego czy

FOT. SPLASH NEWS/EAST NEWS, SUNREEF YACHTS

eprasa.pl 6c60627df1

lnianego. Wiem, że te budowane w Polsce cieszą się dobrą opinią, mają świetne właściwości nawigacyjne, są chwalone przez żeglarzy.

Oba samotne rejsy kapitana Baranowskiego dookoła świata były zarazem reklamą polskiego budownictwa jachtowego. Pierwszy, w latach 1972-1973, odbył na Polonezie, zbudowanym zresztą z inicjatywy żeglarza w Morskiej Stoczni Jachtowej im. Leonida Teligi w Szczecinie, a drugi, w latach 1999-2000, na jachcie Lady B. powstałym w Stoczni Jachtowej im. J. Conrada Korzeniowskiego w Gdańsku. Rejs trzeci kapitan chce sam sfinansować, ale wciąż jeszcze zbiera środki na konieczne przeróbki i dodatkowe wyposażenie jachtu, szuka też sponsorów. – Są tylko dwie drogi dookoła świata – mówi. – Ze wschodu na zachód i w odwrotnym kierunku.

Tym razem Krzysztof Baranowski nie chce już opływać przylądka Horn, wybiera spokój Kanału Panamskiego i Kanału Sueskiego. Ma jednak nadzieję, że zbierze środki np. na bilety lotnicze dla młodych żeglarzy, których będzie mógł przyjąć na jacht w portach postojowych. – Zabiegam o sfinansowanie biletów lotniczych dla młodzieży polskiej i ukraińskiej, która mogłaby pływać ze mną podczas postojów, pomiędzy etapami.

Polskie stocznie jachtowe należą do najnowocześniejszych w Europie i produkują na potęgę.

Bardziej optymistyczne wieści płyną od Szymona Kuczyńskiego, który w 2018 r. ustanowił światowy rekord. Zakończył samotny, okołoziemski rejs bez zawijania do portu na najmniejszym jachcie w historii żeglarstwa. Na jachcie żaglowym typu Maxus 22 o długości 6,36 m, zbudowanym w polskiej stoczni Northman z Węgorzewa. Szymon opłynął kulę ziemską dookoła trzech przylądków w czasie 270 dni, 10 godzin i 29 minut. Płynął bez wsparcia z zewnątrz, samotnie, na bardzo małym jachcie. Bez silnika, wykorzystując energię wytwarzaną przez wiatr, słońce i mięśnie. Prawie rok przeżył na 4 m kw., co wymagało doskonałego przygotowania fizycznego i psychicznego. Brakowało mu nie tylko kontaktu z innym człowiekiem, ale także wsparcia medycznego czy technicznego. Akcja ratunkowa byłaby praktycznie niemożliwa na sporej części trasy, przez wiele miesięcy.

Co dziś robi 42-letni Szymon Kuczyński, który za jeden ze swoich rekordów otrzymał nagrodę Fundacji Krzysztofa Baranowskiego? Oczywiście dalej pływa, bierze udział w licznych regatach oceanicznych. Obecnie jest na Karaibach, remontuje jacht i przymierza się do kolejnych akcji na morzu. Jego codzienne wpisy można śledzić w internecie. W jednym z ostatnich Szymon donosi: „Musimy się trochę zrelaksować, a także złapać jakąś robotę, bo starty w regatach nie są za darmo”.

Bronisław Tumiłowicz

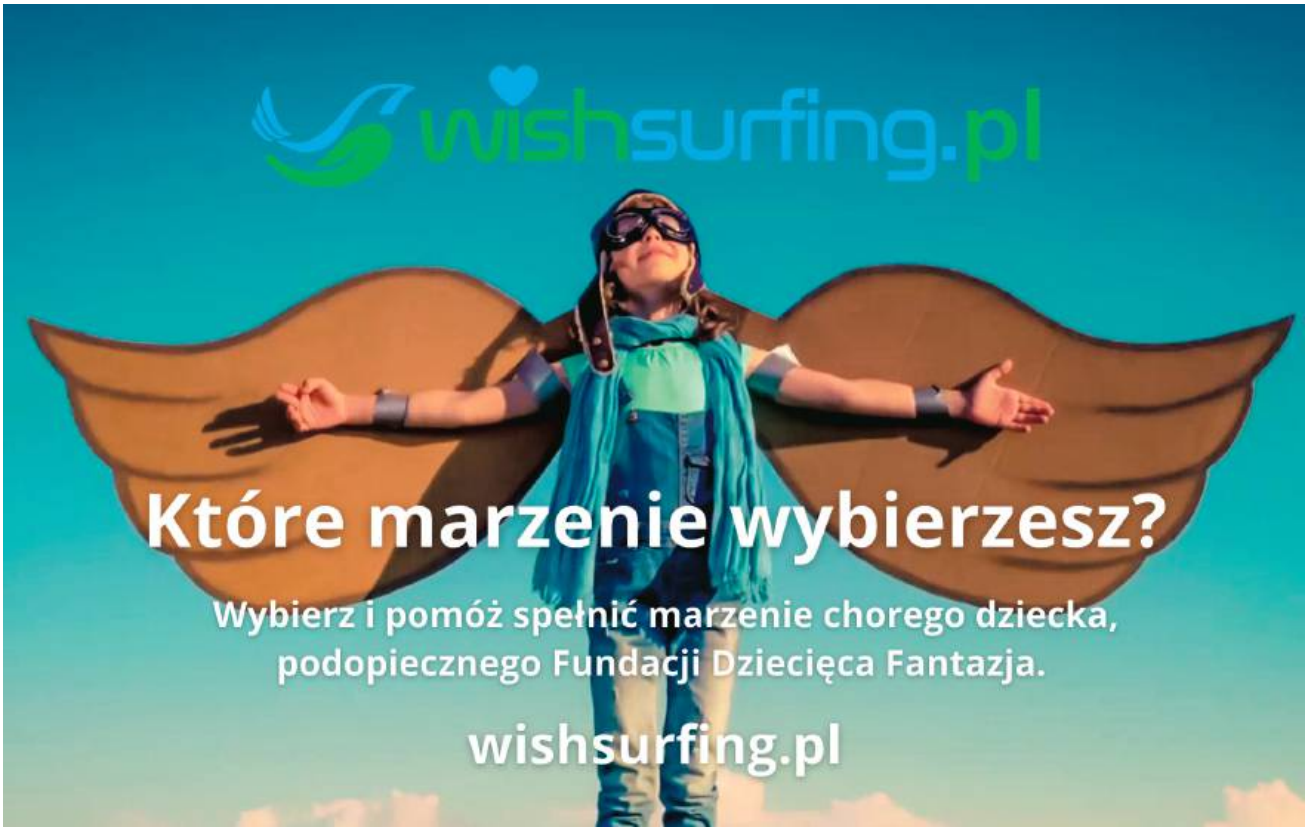

eprasa.pl 6c60627df1

Ptaki w wielkim mieście

Na Pałacu Kultury i Nauki rośnie 111 gatunków roślin, w tym drzewa i krzewy. Gnieździ się tutaj 10 gatunków ptaków, a u podnóża drugie tyle

Michał Książek

Lot furażowy

Lot z pokarmem do gniazda to ruch jedyny w swoim rodzaju. Odbywa się po trajektorii troski. Myślę tu o małych ptakach, o sikorach, mazurkach, kopciuszkach. Ale też o tych większych – takich jak kos czy sójka, o drapieżnych – jak choćby krogulec. A nawet o owadach.

Pełzacz ogrodowy, wróbel i mazurek latają po pokarm dla piskląt na odległość mniej więcej 50 m. Sikora modra pokonuje od 50 do 100. Bogatka w Lesie Bielańskim – średnio 100 m, szpak nawet 500. Mewy potrafią przynosić jedzenie z wysypisk śmieci oddalonych o kilka kilometrów od gniazda, w jeszcze dłuższą drogę wybiera się niekiedy sokół wędrowny. Jednak nikt nie pobije jerzyków, którym zdarza się szukać jedzenia setki kilometrów od domu. Aby zdobyć pokarm dla młodych, potrafią ot tak polecieć z Warszawy do Sztokholmu.

Taki lot, lot furażowy, na każdym odcinku wydaje się bardzo świadomy. Emanuje wręcz celowością. Można dostrzec w nim ogromną motywację, znajomość trasy, rzeczowy pośpiech. (…)

9 maja, park Świętokrzyski

Sikora modra posila się wśród młodych i miękkich jeszcze liści lipy. Jej sposób poszukiwań przypomina kontrolowane spadanie: zgrabnym zeskokom towarzyszą artystyczne machnięcia skrzydeł. I tak aż po dolne partie korony, coraz bliżej, na wyciągnięcie ręki. Zabawnie obserwować, jak stojąc na jednej łapce, drugą przyciąga sąsiedni liść. Ogląda go dokładnie od dołu do góry w poszukiwaniu złóż owadzich jaj. Pomagają jej w tym wyspecjalizowane oczy, którymi widzi jak przez lupę. Pod jednym z listków znajduje gąsienicę. Nie połyka od razu – co zapowiadał jej zapał – lecz przytrzymując ją między palcami, wyjada metodycznie od środka. Jakby jadła prosto z opakowania. (…)

Spędzamy tak razem blisko 20 minut. Nagle sikora startuje w stronę zejścia do stacji metra i znika w rogu parku. Biegnę jej śladem, potrącając przechodniów i płosząc gołębie na deptaku. Czas najwyższy: modraszka siedzi u wlotu do dziupli, by za moment dać w nią nura. Dziupla czernieje w wierzchołku lipy, na wysokości 5 m, doskonale ukryta pośród liści. Ma anatomiczny kształt, u jej podstawy bieli się kobierczyk drobnych grzybków, pewnie rozszczepka

eprasa.pl 6c60627df1

pospolita, *Schizophyllum commune*. Obserwuję to wszystko, stojąc w ciżbie pasażerów i przechodniów na przystanku autobusowym Metro Świętokrzyska 03.

Po chwili ptak niebieszczy się już na sąsiednim drzewie. (…) Coś uważnie studiuje: to przykłada, to odsuwa oko od powierzchni szerokiego liścia. Jedno mrugnięcie i jest już w dziupli z powrotem.

A zatem rodzic, który karmi młode. Wiem – bo wlazł do środka cały. Gdyby to był samiec, który dokarmia samiczkę wysiadującą jajka, co sikory mają w zwyczaju, podałby jej pokarm z zewnątrz albo wywabił z gniazda cichym śpiewem na gałąź. Płci nie da się określić po wyglądzie, on i ona wyglądają tak samo. A to, że napotkana modraszka śpiewa, wcale nie oznacza, że jest samcem, jak sądziliśmy przez lata. Samiczki modraszek też śpiewają. (…)

Dziesięć gramów

Lipę z dziuplą za przystankiem wybrała ona i to ona zbudowała w niej gniazdo. Tę niełatwą decyzję poprzedziło jednak wiele wspólnych inspekcji. Setki ruchów głową, spojrzeń i pisknięć. Od pierwszych dni kwietnia, codziennie – krótko po przebudzeniu – sikora przylatywała tu z dziupli noclegowej i składała jedno jajko. Białą kuleczkę o wadze grama: jednej dziesiątej wagi własnego ciała. Po złożeniu jajka (co zajmuje jakieś pół godziny) przykrywała je szczelnie puchem i leciała żerować aż do wieczora. Przez dwa tygodnie złożyła od 10 do 15 jaj – więcej niż waży sama.

Musiała wtedy sporo jeść. Nic więc dziwnego, że on towarzyszył jej cały dzień, proponując różne przysmaki, wśrod których mogły być nawet fragmenty muszli ślimaka (zasobne w wapń potrzebny do budowy skorupki). Spali jednak w osobnych dziuplach. Dorosłe sikory się nie przytulają, są blisko tylko przez moment, kiedy samczyk przysiada czy też lawiruje na niej sekundę-dwie i całują się delikatnymi zakończeniami układów rozrodczych. Samiec nie odwiedzał wówczas gniazda, samica robiła to raz dziennie, żeby złożyć jajo. Kiedy poczuła pod brzuszkiem już 10, a nawet i 15 białych pastylek (ile dokładnie, nie dowiemy się nigdy), rozpoczęła wysiadywanie, które zakończyła raptem kilka dni temu. Ogrzewała zarodki temperaturą nawet 41 st. C, przez kolejne dwa tygodnie od momentu złożenia ostatniego jajka. Tym razem się udało. Ale przecież zdarza się, że ktoś przychodzi, wycina drzewo, które tak długo wybierała, albo krzewy, z których zbiera pokarm.

„I to wszystko pan tutaj zaobserwował? Za przystankiem?", zapytała z niedowierzaniem starsza pani, której na przystanku Metro Świętokrzyska opowiedziałem wiosnę u warszawskich sikor. Spodobało jej się na tyle, że zaczekała na następny autobus.

Druga para

Kolejną dziuplę z rodziną modraszek znajduję tego samego dnia, także dzięki lotom furażowym. Z drugiej strony Pałacu Kultury i Nauki, tuż przy pasażu Wisławy Szymborskiej, który wiedzie od metra Centrum na Dworzec Centralny. Gniazdo mieści się w słupie oświetleniowym. Gdy zauważyłem ptaka, byłem pewien, że to rodzic i że dźwiga pokarm, choć nie zarejestrowałem nawet dzioba, raczej zarys zniekształcony niesionym posiłkiem. Choreografia takiego lotu tchnie pewnością i doskonałymi obliczeniami trasy, przy czym modraszka korzysta też umiejętnie z osłony liści i koron mijanych drzew. Niby widzę tylko ruchy, motorykę, ale wraz z nimi pojawia się pewność.

Sikorkę pochłania bezpieczna dziura w starym betonowym słupie. Gruba jak palec gałązka lipy drapała przez lata zaprawę, aż wydrapała oczko, coraz większe, w końcu tak duże, że pomieściło ptaka. To, że gałązka wciąż tkwi w dziupli, nikomu nie przeszkadza. A wraz z nią liście, ocieniające i osłaniające słup. Dzięki nim warunki świetlne, temperatura i wilgotność wnętrza są zbliżone do tych optymalnych, takich jak w koronie drzewa.

Pałac Kultury i Nauki

Park Świętokrzyski to prostokąt zieleni i ubitej gleby wciśnięty w połacie betonu tak szczelnie, że ostatni kret zmarł bądź uciekł stamtąd jakieś pół wieku temu. Czasem fantazjuję, czyby zupełnie przypadkiem nie wypuścić tu kilku kretów i dokonać restytucji gatunku. Na razie nie ma nawet myszy. Dłuższe boki prostokąta tworzą wyniesiony nieco taras u podnóża Pałacu Kultury i Nauki oraz ulica Świętokrzyska, krótsze wyznaczają ulice Emilii Plater – od zachodu, i Marszałkowska – od wschodu. Między nimi męczy się 280 drzew, zastępowanych powoli młodymi drzewkami z arytmetycznym przeświadczeniem, że w biologii sztuka za sztukę to równy rachunek. Na całość pada cień skalistej budowli, góry wapieni, marmuru, granitu, betonu, piaskowca i drewna, ułożonej z pomocą zaprawy murarskiej w stylu zwanym realizmem socjalistycznym. Jeszcze nie tak dawno był to najwyższy budynek w Polsce. Od 2022 r. przewyższa go pobliska Varso Tower. Pałac ma 237 mwysokości, Varso Tower – 310.

Dziuplaki to ptaki, które pokonały klaustrofobię i budują gniazda w dziuplach, dziurach, norach.

Gdyby popatrzeć na pałac oczami roślin i zwierząt, byłby wielką i ciepłą górą o stromych ścianach. Ich powierzchnia wynosi aż 10 ha, czyli tyle, ile gospodarstwo rolne. W górze widnieje wiele rys, szczelin i 1416 otworów zwanych oknami. Ale kiedy powstaje monument z 40 mln cegieł, musi pojawić się jakaś dodatkowa, nieplanowana szpara. Wielu mikrozaułków dostarczają też próby naśladowania stylu art deco, obfitego w zdobienia, różne tekstury i materiały. A nawet rzeźby.

Pałac tylko z daleka wydaje się gładki i hermetyczny. Nic dziwnego, że rośnie na nim 111 gatunków roślin, w tym drzewa i krzewy. Gnieździ się tutaj 10 gatunków ptaków, a u podnóża góry drugie tyle. Najbardziej znanym jest sokół wędrowny, choć ja osobiście wolę oglądać gołębie miejskie, na które

eprasa.pl 6c60627df1

on poluje. Żeby uniknąć śmierci, dokonują cudów zręczności. Tak jak na prawdziwej górze naliczyłem tu też siedem gatunków mchów, pięć gatunków porostów i jednego wątrobowca. Jest nawet paproć. O ssakach, poza *homo sapiens*, wiadomo niewiele. Właściwie tylko tyle, że w pałacu chcą mieszkać też szczurki i myszy, zarząd zatrudnił więc 11 kotów.

19 maja, Metro Świętokrzyska 03

Spacer zaczynam zazwyczaj przy przystanku Metro Świętokrzyska 03. Znajome sikory, które nazwałem Lipowymi, karmią intensywnie. Już wyblakły im wiosenne kolory godowe, co sprawia, że wyglądają na zmęczone, a nawet lekko brudne. Za pokarmem latają aż na drugi koniec parku, czyli sporo ponad 100 m. Pod lipą z sikorkami, w krzaku tawuły, gniazdo uwiła pokrzewka kapturka. Przechodzący sikają czasem na krzak, zagrażając gniazdku, w którym bieli się pięć zarodków w wapiennych skorupkach.

O dwa loty furażowe dalej przysiadam na murku przy Świętokrzyskiej, pod klonem z gniazdem wrony. Widać stąd trzecią parę modraszek, dla odmiany w budce lęgowej. Dwie wrony czekają obok, w koronie drzewa i na ziemi, nasłuchując głosów z budki. Wiedzą o rodzinie modraszek i doskonale zdają sobie sprawę z tego, że podczas pierwszych lotów dzieci łatwo będzie o łup. Trzecia wrona, podlot, wychodzi już z gniazda na konary drzewa, pod którym siedzę, i rzuca we mnie patyczkami. (…)

Tuż pod budką, na dwóch ławkach, trwa impreza. Butelki, ciastka, muzyka. Kilka osób rozpartych jak w barze sączy piwo. Mimo że modraszki karmią tuż nad ich głowami, piwosze niczego nie dostrzegają. Ptaki miejskie nie są tak płochliwe jak leśne. Wydaje się, że doceniają obecność ludzi, która chroni ich przed kotem, norką czy krogulcem. Ale nie przed wroną, która dybie na podloty, a jednocześnie dobiera się do ciastek.

Młode mazurki z budki obok słychać już bardzo wyraźnie. Rodzice futrują je dzielnie i radośnie kopulują pomiędzy karmieniami, zdradzając przy tym dziką przyjemność z życia. Potem nie rozlatują się zaraz, jak czynią to te blisko pomnika Korczaka, lecz siedzą koło siebie przez chwilę. Rozczula mnie to bardziej, niżby wypadało, więc zerkam na trzecią budkę, pustą wciąż, choć nową i schludną. Mimo że ogólna liczba mazurków spadła w ostatnich latach, to na niektórych osiedlach Warszawy jest ich coraz więcej. Prawdopodobnie dzięki budkom lęgowym.

Dalej, w stronę baru Pijana Wiśnia, ktoś porozwieszał skrzynki dla modraszek i szpaków. Wiszą ciasno, co kilka metrów, jakby architekt zieleni był przekonany, że zwierzęta wzorem urzędników lubią geometrię i regularne odstępy. Okazały baśniowy buk z odpicowaną budką zatrzymuje mnie zazwyczaj na dłużej, podobnie jak sędziwe pobliskie oliwniki. Drzewa w parku Świętokrzyskim posadzono w latach 1954–1955, jednak oliwniki wydają się starsze. Być może rosły na jakimś przedwojennym podwórku.

Na tyłach baru, w zacisznej dziupli klonu, czwarta para sikor modrych złożyła jajka. Dziupla jest bardzo wąska, jej obramowanie przypomina oko z czarną tęczówką wejścia. Raz po raz łypie stamtąd, jak modra źrenica, mały ptak. W środku pisklę wielkości wisienki próbuje unieść głowę (…).

Przy alejce klonów srebrzystych, wzdłuż tarasu przed Pałacem Młodzieży, w dziupli powstałej po odciętej gałęzi, kombinuje coś piąta parka modraszek. Raz po raz wchodzą do ciemnej dziurki i wynoszą fragmenty próchna. Taszczą je daleko, hen, gdzieś między drzewa. Niczego nie gubią, nikt nie pozna, że trwa tu właśnie sprzątanie dziupli. Co chwila znikają w ciemności, czasami oboje. Kiedy samczyk wlatuje do środka, zdarza mu się śpiewać nieco dłużej. Głos staje się wtedy bardziej stłumiony, jakby dochodził z pomieszczenia obok.

Na pozostałą część parku, tę od strony Marszałkowskiej, rzadko kiedy starcza mi czasu. Poza modraszkami, szpakami i mazurkami popisuje się tam wyszukaną pieśnią pleszka, ale nie mogę wypatrzyć dziupli, w której się kryje. Z budynku pałacu zlatują wróble, zbierając okruchy i większe kawałki burgerowych bułek (szczególnie w cenie są ciemne z ziarnami). W koronach słychać także dzwońca i zaganiacza, który zgrabnie udaje trzciniaka. Zaganiacz to jedyny ptak w Polsce, który znosi różowe jaja, dobrze byłoby znaleźć jego gniazdo. Są tu także zięba, grzywacz. Rzadko przylatuje sójka, jeszcze rzadziej kwiczoły. Regularnie można za to posłuchać bogatki, choć tylko jednej na cały park.

Wszystkie te miejsca odgrywają swoje oczywiste, od dawna przypisane role w teatrze miasta.

Bar, gdzie pije się nalewkę, ławki, na których pije się wódkę, oraz krzak za przystankiem, gdzie się sika. Jednak istnieje inna rzeczywistość, w której ich ontologiczny status fika kozła, bo wszystko okazuje się istnieć inaczej – być czymś innym. Wyśpiewanym terytorium lęgowym, niechby i małym – 50 na 50 m. Wyszukanym domem, starannie wybranym spośród wielu miejsc. Oszacowałem kiedyś, że samczyk sikory modrej śpiewa w ciągu dnia nawet pięć godzin, by wyśpiewać sobie dom.

W miastach sikory żyją w przeróżnych zaskakujących niszach – takich jak porzucony czajnik albo but.

Dziuplaki

Ptaki, które pokonały klaustrofobię i budują gniazda w dziuplach, dziurach, norach. Dziuplakami są oba nasze gatunki wróbla, dzięcioły, pełzacze, kowalik, szpaki i sikory. Ale też sowy i niektóre kaczki, jak mandarynka albo krzyżówka. Dziuplaki dzielą się na pierwotne, te, które same kują dziuple, i wtórne, te korzystające z dziupli już istniejących. Niektóre sikory, jak czarnogłówka czy czubatka, również kują, a raczej dłubią dziuple w miękkim drewnie zamarłej osiki

eprasa.pl 6c60627df1

albo brzozy. Pewne gatunki sprzątają i powiększają przez to dziuple istniejące. Kowalik zaś „framugą" z błota pomniejsza wejście, aby było nieosiągalne dla kuny (potrafi w ten sposób zamurować w środku sowę włochatkę).

Czasem dziuple powstałe w żywych drzewach zarastają i zwężają się, sikory obkuwają wówczas tkankę przyranną zamykającą wejście. Wybrane gatunki, takie jak modraszka, czubatka czy czarnogłówka, potrafią zamieszkać w glebie, w norze myszy albo nornicy. Albo w dziurawym pniaku. Z nory korzysta też czasem tracz nurogęś.

Dziuplak to pojęcie, które mogłoby objąć wiele innych gatunków zwierząt, także owady. Uciekają do miast, ponieważ stare lasy i aleje wycięto. W miastach dziuplaki pozostają dziuplakami. Potrzebują dziury, by żyć.

Zabitka

Ubytek w pobocznicy pnia drzewa odsłaniający jego głębszą zachowaną część. Powstaje wskutek uszkodzenia kory i tkanki twórczej przed laty (uderzenie porożem w lesie albo mechaniczne w mieście). Ponieważ tkanka w miejscu uszkodzenia nie istnieje, przyrasta tylko wokół, tworząc obramowanie różnego kształtu. (…) W leśnictwie uważana za wadę drewna. W ekosystemie jest pożądanym zjawiskiem trypogennym (dziurotwórczym). W zabitce często powstają dziuple. (…)

W dziuplach

Sikory wyewoluowały w drzewach i na drzewach – dobrze więc znają botanikę i anatomię roślin. Chętnie też gniazdują w ich organizmach. Większość drzewnych „norek" to efekt działania grzybów, które rozkładają i otwierają różne partie lip, klonów, topól. Dziuple powstałe w miejscu cięcia gałęzi, nierzadko z obwódką tkanki przyrannej, należą do klasyki gatunku. Szczególnie malownicze są te w poskręcanych konarach, czasem leżących na ziemi, częściej kluczących w górze, odtwarzających historię poszukiwania światła. Sikory potrafią korzystać z dziupli dzięcioła dużego, średniego albo nawet dzięciołka (wielkości wróbla). W miastach żyją też w słupkach ogrodzeniowych, skrzynkach na listy, otworach w murze i w przeróżnych zaskakujących niszach – takich jak porzucony czajnik albo but. Potrafią zauważyć i docenić wciąż powracającą w działalności człowieka formę, jaką jest dziura. Jakby wiernie świadkowały naszym zmaganiom z rozpadem i utratą całości.

Dużych drzew jest w miastach coraz mniej, wraz z nimi mogą zniknąć i ptaki.

Mimo że wewnątrz nie ma za wiele światła, samiczka wije poduchę z mchów, która ze wszystkich innych ważnych ma jedną najważniejszą cechę: potrafi pływać, a jeśli namoknie – to wchłonąć dużo wody. Zdarza się, że w czasie ulewy woda zalewa dziuplę, wówczas jej nadmiar pochłania „strzecha" gniazda. Czasem, w przypadku wewnętrznego pęknięcia pnia, woda bierze się również z naturalnej pompy fizjologicznej, jaką jest drzewo. Strzecha bywa naprawdę gruba, może mieć nawet 10 cm wysokości. Na jej bezpiecznym szczycie znajduje się przytulna niecka, przykryta puchem i sierścią. W Puszczy Białowieskiej jest to sierść żubra albo jelenia. W Warszawie – kota czy psa, albo poliester i wełna. (…)

Naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego, Uniwersytetu Jagiellońskiego i Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie pod kierownictwem prof. Marty Szulkin badali w Lesie Bielańskim życie sikor modrych: tych gniazdujących w dziuplach i tych w budkach. Okazało się, że modraszkom, które wybrały budki, żyło się gorzej. W skrzynkach lęgowych kluło się mniej piskląków niż w drzewach, podobnie mniejszy był sukces lęgowy, a więc liczba młodych, które wyleciały z gniazda. Nie dość tego – pisklaki „budkowe" zostawały w gnieździe dłużej od drzewnych, były więc mniej zaradne. Takich zależności nie zauważono natomiast w przypadku sikory bogatki.

Dr Patryk Rowiński, który brał udział w tych badaniach i prowadzi własne w Puszczy Białowieskiej, w ciągu 20 lat znalazł i opisał kilka tysięcy dziupli. Uważa, że są one lepsze dla ptaków nie tylko dlatego, że latem jest w nich chłodniej czy też są lepiej ukryte przed drapieżnikami. Żyje w nich też mniej pasożytów niż w budkach. Dzięki pracy grzybów gniazdo w dziupli ulega szybkiemu rozkładowi, nawet w ciągu czterech tygodni po wylocie młodych, przez co pasożyty nie mają szans na rozwój w następnym sezonie lęgowym.

Tej wiosny pod Pałacem Kultury i Nauki wyszukałem siedem gniazd modraszek. Tylko jedno ukryte było w budce lęgowej. Wszystkie pozostałe w dziuplach, przy czym jedna z nich była dziuplą pancerną: znajdowała się w słupie.

Budka 2.0

Choć budka lęgowa dzielnie zastępuje dziuplę i umożliwia lęgi ptaków

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, JĘDRZEJ MOLCZYK

eprasa.pl 6c60627df1

w miastach i w lasach gospodarczych, jest jednocześnie antynomią dziupli, jej zaprzeczeniem. Dziurą, ale znaną, zaplanowaną, o obliczonych wymiarach. I przewidywalnych skutkach. To zakamuflowana forma panowania nad pustką, a więc rozkładem, butwieniem i zepsuciem. Potrzebujemy jej, choć czasem okazuje się ozdobnym mebelkiem wciśniętym w ekosystem. Zawieszona na zdrowym drzewie, zbudowana ze zdrowego drewna, podyktowana zdrowym rozsądkiem. Ma znormalizowany otwór wlotowy, czasem estetyczne otwory wentylacyjne.

Budkę można posprzątać. Wyczyścić, to znaczy stare gniazdo wyrzucić do śmieci. Sprawić, by park i miasto były czyste, schludne i bez guana. Miasto – największa budka lęgowa.

Piekarnik

Profesorka Marta Szulkin z zainteresowaniem odnosi się do filozoficznych interpretacji roli budki w kulturze, w pierwszej kolejności jest jednak naukowczynią. Martwi ją więc to, że w nowych warunkach klimatycznych temperatura w budkach miejskich osiąga 40 st. C, a na zachodzie Europy nawet 50 st. Budka zmienia się wtedy w pułapkę ekologiczną, w której ptaki się męczą, a bywa, że i giną. Podczas upałów w dziupli bywa tymczasem nawet o 10 st. chłodniej. Wynika to z dużej bezwładności cieplnej drzew: potrzeba bardzo dużej zmiany temperatury na zewnątrz przez długi czas, żeby zmienić temperaturę wewnątrz drzewa. Nocą w dziupli jest po prostu ciepło, za dnia – chłodno.

Nad nową generacją stabilnych termicznie budek-termosów Szulkin współpracuje z francuską firmą Cohab. Budka 2.0, czy też budka lęgowa przyszłości, zbudowana będzie według wciąż jeszcze testowanej i objętej tajemnicą receptury. Wiadomo tylko, że ma odtworzyć parametry cieplne dziupli. Pierwsze próby pokazują, że nowy budulec nie nagrzewa się tak szybko jak deska. Sama budka ma być umieszczona nie bezpośrednio na pniu drzewa, ale w futerale z korka dębu korkowego (surowiec uzyskiwany z recyklingu korków od butelek wina). W ten sposób konstruktorzy próbują odtworzyć izolacyjne właściwości kory drzewnej, której nie uświadczymy na skrzynkach starej generacji.

Marta Szulkin podkreśla, że zamiast produkować budki – najlepiej zostawić sędziwe drzewo z dziuplami. Jest bowiem coś władczego w rozwieszaniu skrzynek lęgowych, w wyznaczaniu ptakom miejsc, w których mają zakładać gniazda. Jak gdybyśmy budowali rodzaj panoptykonu, w którym gospodarz chce widzieć wszystkich, decydować, kto gdzie ma mieszkać, gdzie żyć i zdobywać pokarm.

Dużych drzew jest jednak w miastach coraz mniej, wraz z nimi mogą zniknąć i ptaki. (…)

Michał Książek, *Atlas dziur i szczelin*, Znak Literanova, Kraków 2023

eprasa.pl 6c60627df1

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Poziome życie w domkach

Mogą Państwo pomyśleć, że nie trzeba promować marzenia, a jednak wokół dobrych utopii warto czasem się zakręcić, skupić na nich uwagę i lepiej je dystrybuować. Wiadomo, niektóre niosą w sobie impuls zmiany, inne są tylko formą obrony lub sposobem na radzenie sobie w tym nie zawsze taktownym i ofiarnym świecie. Jak zwykle, każdy wybiera marzenie na własną miarę: jedni idą po Koronę Wodospadów, drudzy szukają poziomek na Jazdowie. Nie jest to wcale łatwe, zrozumiemy, kiedy uświadomimy sobie, że owoce poziomki są pozorne (to nie zdanie z pamiętnika młodego „zielarza", tylko biologiczny autentyk). Oznacza to, że mamy do czynienia ze „zbiorem niełupek osadzonych na kulistym, czerwonym, mięsistym i soczystym dnie kwiatowym".

Czarcie miotły truskawki, łagodna żółtobrzeżność liści truskawki, marszczyca truskawki, otaśmienie nerwów truskawki, mokra zgnilizna truskawki – na wszystkie te choroby może chorować także poziomka. Nie potrafi zatem wymienić nawet własnych chorób, jakby była znacznie mniej poważnym obiektem (tylko ze względu na niewielki gabaryt?). I chociaż my też miewamy końskie zdrowie, dostajemy małpiego rozumu, miewamy świńskie poczucie humoru i papuzi gust, psie serce, wilczy apetyt, lisi spryt – mamy jednak, jak wiadomo, znacznie większą podmiotowość. I o tym rozmyślałam, udając się do Rotacyjnego Domu Kultury w Warszawie na promocję „Marzenia o byciu poziomką".

Jak trafić na queerowy piknik ze spotkaniem literackim w oprawie teatralnej – idąc przez chaszcze i starodrzew Jazdowa? Postanowiłam pójść za kimś, kto będzie dziwnie ubrany. O stereotypie! Ten ktoś wyprowadził mnie całkiem z ulicy Jazdów – na skrzyżowanie, i porzucił. Wróciłam tą samą drogą. Moja cierpliwość została nagrodzona: między drzewami, wśród zarośli, zobaczyłam ludzi-poziomki. Na głowach mieli zielone czapki zawiązane szeroką bordową wstążką pod brodą. Na nogach – zielone rajstopy. Wokół szyi kryzy, a na korpusach pluszowe, czerwone kubraki z oczami i uśmiechami rysunkowych poziomek. Przez chwilę poczułam się jak w „Wehikule czasu" Herberta George'a Wellsa. To w tej książce Podróżnik w Czasie testuje swój wehikuł, przenosząc się do roku 802 701, w którym spotyka Elojów – rasę żyjącą w małych grupach, żywiącą się owocami. Elojowie mieszkają w dużych budynkach i nie pracują.

Tak wyglądał slow start przedstawienia na podstawie książki Ani Ziębińskiej z ilustracjami Apollin•e Sigrist. Książkę zatytułowaną „Marzenie o byciu poziomką" wydało stowarzyszenie Girls to The Front. W rozdziale „Zatrzymam się na chwilę, odpocząć" autorka pisze tak: „Sz widywałam rzadko, bo najbardziej lubiła to, co trwało tylko chwilę: kwiaty, płomyki słońca i małe wirki w deskach podłogi (…). Chciałam nawet, z myślą o niej, kupować bukiety do domu, ale ani nie miałam na to pieniędzy, ani nie podobała mi się idea trzymania u siebie czegoś, co tylko udaje, że żyje".

> Apeluję do czytelników i czytelniczek, a może i krytyków, krytyczek: weźcie słabe podmiotki pod swoją opiekę.

Zawsze lubiłam w feminizmie tę jego cechę, że bierze pod ochronę to, co inne, słabsze, mniejsze. Lekceważenie „małego" życia, delikatnego czy efemerycznego, nie tylko jest nieekologiczne, ale również buduje w głowie wyłącznie pragnienie omnipotencji, pionowe (hierarchiczne) ontologie, szacunek dla siły i wpływu. Skoro tylko tam są „prawdziwe" wartości, zaangażowanie, optymalizacja, sprawczość. Dlatego apeluję do czytelników i czytelniczek, a może i krytyków, krytyczek: weźcie słabe podmiotki pod swoją opiekę, bo to łatwizna przyłączyć się do silnych, przybijać sobie piątki i mieć bekę z zielonych czapeczek tam, gdzie obóz ma mały kapitał społeczny i nie grzeszy hajsem. Gdzie życie nie jest wyraziste i sexy, mały ma zasięg i spryt. Tak sobie chcę dzisiaj chwalić poziome życie w jazdowskich domkach. Gdzie rozwija się przy ziemi opór i rewolucja – przechodzi przez książki, ziny, wlepki, węgorze z chałki, buzi-buzi na dzierganych kocach.

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

BEZPŁATNY NEWSLETTER ZAPRASZAMY

Kto już się zapisał? Można to zrobić na stronie **tygodnikprzeglad.pl**, podając swój adres e-mail, lub dzwoniąc do redakcji, tel.: 22 635 84 10.

Dostając newsletter, co tydzień otrzymasz informacje o najnowszym wydaniu PRZEGLĄDU, komentarze do aktualnych wydarzeń oraz newsy o naszych książkach.

BĄDŹMY W KONTAKCIE!

YouTube

eprasa.pl 6c60627df1

KARKONOSKA SADYBA

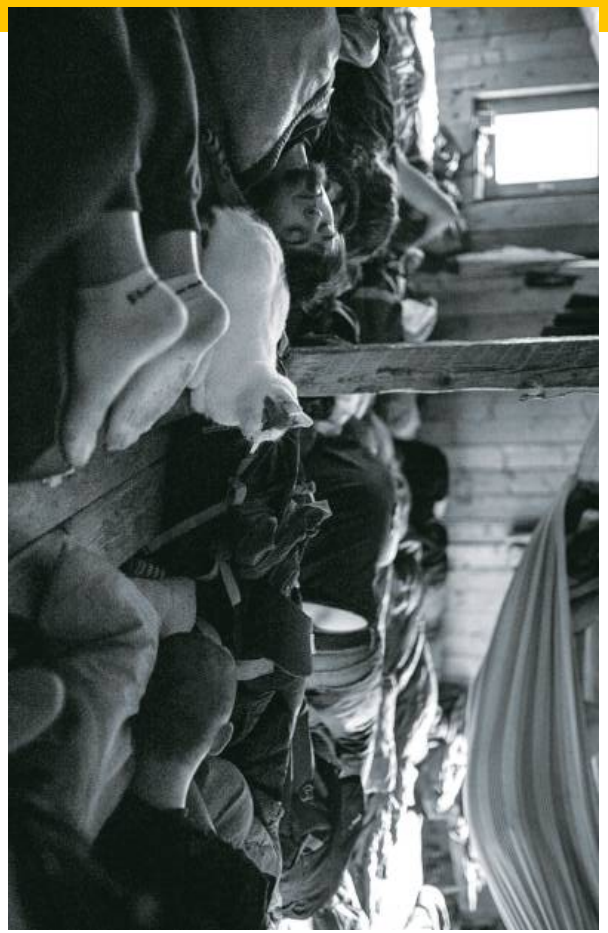

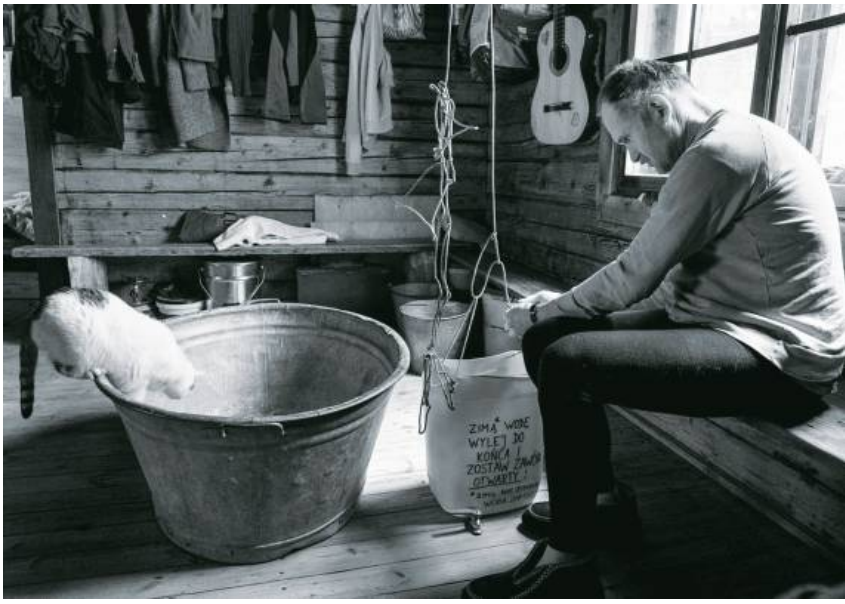

Ukryta wśród lasów Karkonoszy chatka to sekretne miejsce spotkań wyjątkowej grupy wędrowców. Mimo braku bieżącej wody, prądu i internetu co weekend wypełnia się ludźmi z rozmaitych środowisk, którzy na co dzień nie mieliby szansy się poznać. Goście chatki chcą na chwilę zaznać trudów i przyjemności staroświeckiego stylu życia w sercu natury, zrzucić noszone na co dzień maski i poczuć się swobodnie, zapominając o konwenansach.

Amadeusz Świerk, freelancer, II miejsce w kategorii Documentary project Grand Press Photo 2023.

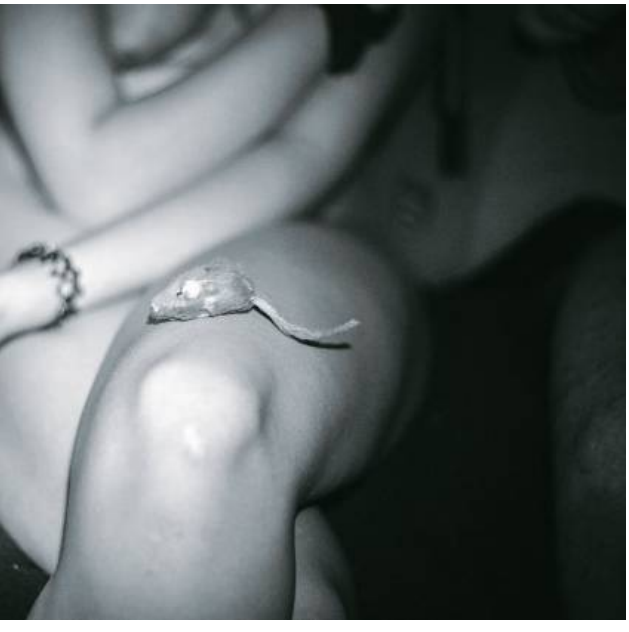

JOLKA

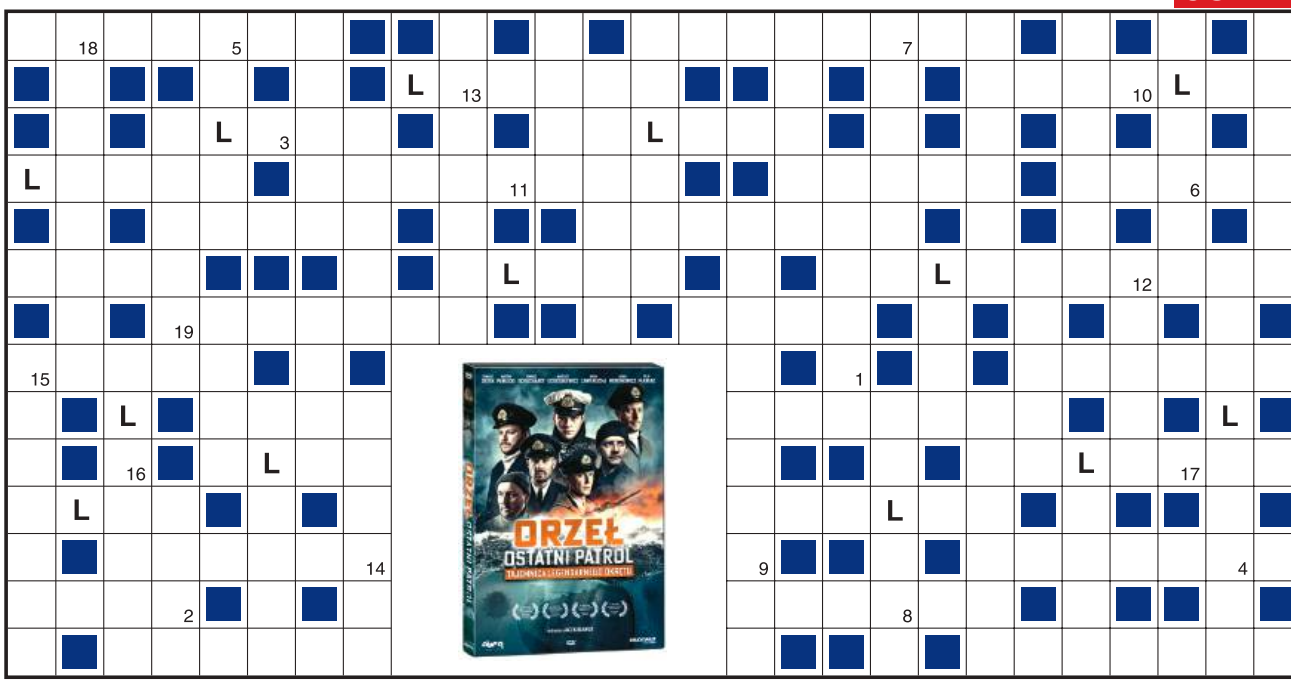

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery L ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 19 utworzą końcowe hasło.

- rzymski bóg wiatru północnego
- imię Hitchcocka
- czarno-biały ptak morski
- góry z ośrodkami Val Thorens i Zermatt
- Dymna lub Seniuk
- przewaga, korzyść dawniej
- wydaje je z siebie duszony
- sztywna, wysoka czapka wojskowa
- wynajęty lot
- imię aktorek Fanning i Johnson
- zginęła przywiązana do byka przez synów Antiopy
- wódka o smaku i zapachu jałowcowym
- uniesienie, najwyższy zachwyt
- magiczny napój
- naramiennik przy mundurze
- oczytany i gruntownie wykształcony
- wrażliwy na piękno
- język Sokratesa
- terytorialna odmiana języka narodowego
- …betlejemska, czyli poinsecja
- w brydżu każda karta starsza od dziewiątki
- sprowadza towary
- owad pasożytniczy
- pancerna albo fiskalna
- IIIa lub Vb w szkole
- i wielka pyza, i zakalec
- wielki, gęsty las
- faza Księżyca, w której widać pół tarczy
- Kościeniecka romansująca z Cezarym Baryką
- czasem zjadane przy pisaniu, czytaniu
- „wybuchowy” sznur
- gra dająca szansę na miliony
- wonna żywica z balsamowca
- niech się dzieje wola jego
- co kraj, to…
- „Aida” lub „Trubadur”
- idzie za pługiem
- zbłąkana… to grzesznik, odstępca
- pospolity chwast
- wygodniś lub zmarzluch
- pluskiewka
- kwiatowe zdobiące skwer
- pragmatyczka
- kompozycja rzeźbiarska na płycie
- bunt szlachty
- ciasto zwinięte w rulon
- kwitnąca żółto roślina oleista
- …plamista – płaz ogoniasty
- niewielka bawialnia
- terytorialny, zawodowy lub uczniowski
- na niego – po przekątnej
- język środowiskowy z angielskiego
- opowieści, marzeń, pajęczyny
- próbny okres pracy
- bryła jak lejek
- zgłoska
- wabiły śpiewem żeglarzy
- coś zakazanego religijnie, społecznie
- na… afery wpada dziennikarz
- wolne pracownika
- rygiel
- banda, hałastra

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1121”. Do rozlosowania DVD „Orzeł. Ostatni patrol” ufundowane przez Kino Świat. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 18 czerwca 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1118” z nr. 21: *I od wroga bywa dobra nauka.*
Nagrody otrzymują: Elżbieta Lewandowska z Warszawy, Teresa Szczęśniak z Warszawy, Ewa Ścibich z Krakowa.

eprasa.pl 6c60627df1

Zawsze zaskoczeni

W czasach niedawnych normą było, że MSZ przygotowywało opinie na temat możliwej reakcji najważniejszych państw na posunięcia Polski. Tak, by decydenci zawczasu wiedzieli, co może ich spotkać. Wszystko wskazuje, że zwyczaj ten został zarzucony. Polska bowiem regularnie jest przez otoczenie zewnętrzne zaskakiwana.

Najlepszy przykład to sprawa pieniędzy z KPO i sporu z instytucjami unijnymi, w który uwikłał się rząd. Ten sam rząd, którego premier oplakatował pół Polski hasłem, że zdobył dla kraju 770 mld zł. Cóż, tych pieniędzy nie ma, na dodatek Polska przegrywa przed unijnymi sądami kolejne rozprawy i rośnie suma kar do zapłacenia. Przepraszam, czy tego nie można było przewidzieć?

Innym zaskoczeniem była awantura o zboże napływające do Polski z Ukrainy. Tu także nasze władze teoretycznie powinny mieć pełną wiedzę. I z polskiego rynku, i z samej Unii, bo komisarzem ds. rolnictwa jest Janusz Wojciechowski. A wychodzi na to, że były zaskoczone…

Sprawa Ukrainy jest zresztą stale omawiana w kręgach unijnych. Po pierwsze, Komisja Europejska regularnie przedstawia państwom UE zaktualizowaną ocenę zaawansowania Ukrainy w spełnianiu wymogów związanych z jej statusem kandydata do członkostwa w Unii. Po drugie, prowadzone są analizy konsekwencji rozszerzenia – dla unijnego rolnictwa, dla przemysłu, dla budżetu Unii oraz budżetów państw członkowskich itd. Omawiane jest to na oficjalnych spotkaniach. Ważna też będzie organizowana w dniach 21-22 czerwca w Londynie konferencja w sprawie odbudowy Ukrainy.

Czy Polska jest aktywna w tych rozmowach? Czy ma własne wyliczenia, które może przedstawić? Czy ma własne stanowisko? I własne scenariusze rozszerzenia uwzględniające konsekwencje dla polskiej gospodarki i polskiego społeczeństwa? Oczywiście nie chodzi o hasła, które wygłaszał minister Zbigniew Rau w Sejmie, że silni, zwarci i gotowi.

Zdaje się, że tego nie mamy. Co oznacza, że Polska jest skazana na działanie według cudzych scenariuszy. I na kolejne wpadki.

Przykładem z ostatnich dni był cyrk z podpisaniem przez Andrzeja Dudę ustawy powołującej komisję ds. badania rosyjskich wpływów. Jak piszą amerykańskie agencje prasowe, podpis Dudy wywołał wojnę na linii Departament Stanu USA-Pałac Prezydencki.

Już we wtorek Amerykanie wystosowali jednoznaczny, mocny komunikat. Duda zatem już w środę mówił w wywiadzie dla Bloomberga, że komisja jest OK, że ktoś wprowadził amerykańskiego prezydenta w błąd, więc on, jak się spotka z Bidenem, to mu wszystko wytłumaczy. Cóż, możliwości rozmowy nie uzyskał, a w piątek ogłosił, że z podpisanej w poniedziałek ustawy się wycofuje.

Andrzej Duda musiał tę potyczkę z Amerykanami bardzo przeżyć, bo w poniedziałek 5 czerwca odreagował – w ostatniej chwili odwołał swoją obecność na spotkaniu z grupą amerykańskich inwestorów, w którym uczestniczył ambasador Mark Brzezinski. Tyle może.

Szkoda, bo gdyby i on, i rząd traktowali MSZ nie jako biuro wyjazdów, tylko jako narzędzie prowadzenia polityki, uniknęliby 90% wpadek. A tak wygląda, jakby jechali nocą po autostradzie z wyłączonymi światłami.

Attaché

Muzeum Narodowe w Lublinie zakupiło w Meksyku kolekcję 18 dzieł Tamary Łempickiej. Są to prace zarówno z lat 20., jak i 70. XX w. Od 23 czerwca będą prezentowane w Lublinie.

FOT. ŁUKASZ KACZANOWSKI/POLSKA PRESS

eprasa.pl 6c60627df1

PENETRACJE

Monde diplomatique

PROF. DAVID OWNBY,
HISTORYK, UNIWERSYTET W MONTREALU

Od 2000 r. najważniejsze debaty skupiają się wokół trzech fundamentalnych, powiązanych ze sobą pytań: czy Chiny są wyjątkowe, a jeśli tak, to pod jakim względem? Jaka jest, lub jaka powinna być, ich rola w świecie? I jak najlepiej opowiedzieć ich historię (co zakłada w pierwszym rzędzie wiedzę o tym, jaka to jest historia)? Na chińskie myślenie wpłynęły dwa wielkie wydarzenia: rozpad Związku Radzieckiego i oczywisty upadek Zachodu – zwłaszcza Stanów Zjednoczonych – dokonujący się od czasu kryzysu z 2008 r. W miarę jak Chiny umacniają się, podczas gdy ich wielcy rywale ponieśli porażkę lub upadli, przekonanie, że Chiny są – i zawsze były – wyjątkowe, zyskało powszechną akceptację, niemal jako „oczywista oczywistość".

press

ANDRZEJ SKWORZ,
REDAKTOR NACZELNY

Jak cynicznym trzeba być, by tak głęboko zakopać poczucie zawodowego wstydu? Pokolenia studentów będą się uczyć na przykładach, które Karnowski nazywa publicystyką, a które są tylko lichą propagandą na cześć ukochanej partii i jej wodza. Karnowski udaje przy okazji, że zapomniał o milionach złotych, które z państwowych spółek od siedmiu lat płyną do jego mediów. Weźmy TVP Info i „Wiadomości": codziennie hołdy dla PiS, prostackie odwracanie kota ogonem, władza zawsze dobra, opozycja zawsze zła, a najgorszy Tusk. I jeszcze sondaże, z których niezmiennie wynika, że już niemal cała Polska kocha dobrą władzę.

zwierciadło

WOJCIECH EICHELBERGER,
PSYCHOLOG, PSYCHOTERAPEUTA

Jeśli dorośli się nie opamiętają i nie zaczną – wbrew szkole, systemowi ocen i szaleństwu wyścigu i konkurencji – wspierać dzieci w zaspokajaniu ich naturalnych potrzeb, nieuchronnie pojawią się u nich objawy zespołu depresyjno-lękowego. Zestresowane nieustannym lansem i opresyjną szkołą dzieci wracają do domu i tam też nie dostają tego, co im jest najbardziej potrzebne do życia i rozwoju. Bo okazuje się, że to atmosfera domu i brak rodzicielskiego wsparcia są trzecim źródłem stresu w życiu współczesnych dzieci w wieku szkolnym.

Twój STYL

KATARZYNA NOSOWSKA,
PIOSENKARKA

Dziś interesuje mnie moje małe życie. Z ludźmi mogę się dzielić opowieścią o swojej drodze. I tylko tym. A jak już decyduję się mówić, to mówię prawdę, zwierzam się z intymnych rzeczy. Nie chcę zawracać innym głowy wciskaniem lukrowanych po wierzchu dyrdymałów. Jeśli ktoś daje mi swój czas i za ciężko zarobione pieniądze kupuje moją książkę, chcę, żeby wiedział: daję tu wszystko, co mam w tym momencie. Jak zdobędę więcej, dam więcej.

FOT. WIOCHA.PL, SEKCJA GIMNASTYCZNA, SARKA FARKA, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ

eprasa.pl 6c60627df1

ANAGRAMY

Przestawiając litery, utwórz wyrazy z podanych słów.

Wyrazy z **sześciu** liter | Wyrazy z **siedmiu** liter | Wyrazy z **ośmiu** liter

1. JEŻ + KOD =
2. WAB + UDO =
3. OPEL + KÓŁ =
4. KURS + TYM =
5. ŻART + SKIN =
6. ZIMA + OKOP =

ROZWIĄZANIA: DŻOKEJ, BUDOWA, PÓŁKOLE, STRUMYK, STRAŻNIK, POZIOMKA

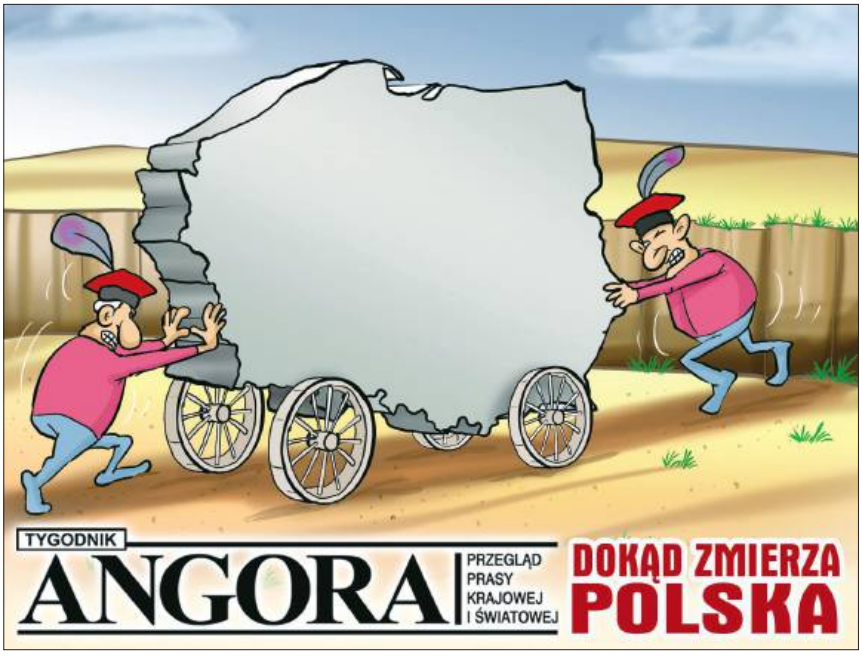

Aby język giętki…

JERZY HOFFMAN O OPOZYCJI
Musi po prostu wyrosnąć nowe pokolenie, które zdecyduje o swoim losie.

MACIEJ STUHR O DZIADERSTWIE PiS
Młodzi po prostu nie kupują tego dziaderstwa, którym Kaczyński karmi swoich wyborców.

PROF. TADEUSZ GADACZ O KOŚCIELE
Kościół milczy na temat nadużyć moralnych władzy.

MARIUSZ TRELIŃSKI O PRACY
Doszło do dość dużej dekonstrukcji mnie jako człowieka. Kompletnie zrujnowałem świat dookoła siebie.

DOROTA POMYKAŁA O PRYWATNOŚCI
Nie przepadam za światem plotki, nie przepadam za światem przekrętów, niewłaściwych zachowań czy naginania reguł.

JAN ROKITA O MICHALE RACHONIU
Wiedza i inteligencja przydają się nawet w uprawianiu propagandy.

STANISŁAWA RYSTER O MARCIE MANOWSKIEJ
Nie mizdrzy się przed kamerą, jest serdeczna i nie podlizuje się zawodnikom.

JERZY NIEMCZUK O SCENIE U FRYZJERA
Jest ktoś z PiS? Bo jak jest, to nie wchodzę.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA
IZBA WYDAWCÓW PRASY
BIURO KONTROLOWANY ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl 6c60627df1

Beatrycze 2

Tadeusz Rolke

Galeria Obok ZPAF
Warszawa, plac Zamkowy 8
do 15 czerwca

„Beatrycze" w twórczości Tadeusza Rolkego jest obecna od lat 80. XX w. To wtedy po raz pierwszy, posługując się językiem fotografii, opowiedział o swojej tajemniczej, utraconej miłości. Kilkanaście czarno-białych zdjęć powstało w tajnym mieszkaniu, w którym wcześniej spotykali się kochankowie. Artysta, zaprosiwszy do udziału w sesji profesjonalną modelkę, kadr po kadrze zrekonstruował swoje intymne przeżycia. Był to projekt bardzo osobisty i emocjonalny, wymagał usprawiedliwienia i wyjaśnienia, skąd się wziął. Tadeusz Rolke pokazał zdjęcia Markowi Holzmanowi, a ten sięgnął na półkę po poezję Jana Lechonia i zacytował fragment wiersza „Spotkanie":

Nie ma nieba ni ziemi, otchłani ni piekła,
Jest tylko Beatrycze. I właśnie jej nie ma.

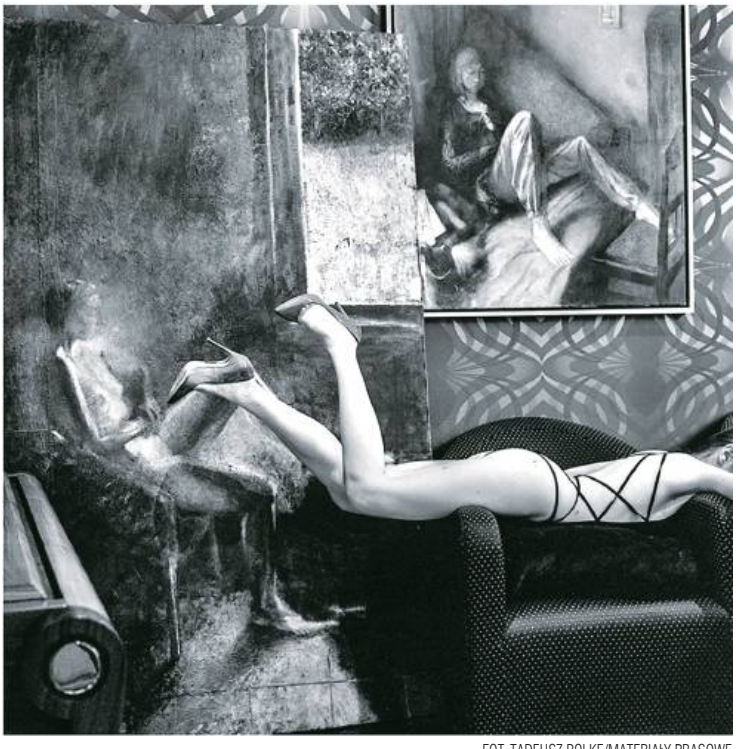

FOT. TADEUSZ ROLKE/MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 6c60627df1

TEATR CAPITOL

PRZEBOJOWE KOMEDIE • BRAWUROWE FARSY • GWIAZDORSKIE OBSADY • PRZEDSTAWIENIA DLA DZIECI

CAPITALNE LATO!

• klimatyzowane sale • orzeźwiające koktajle •

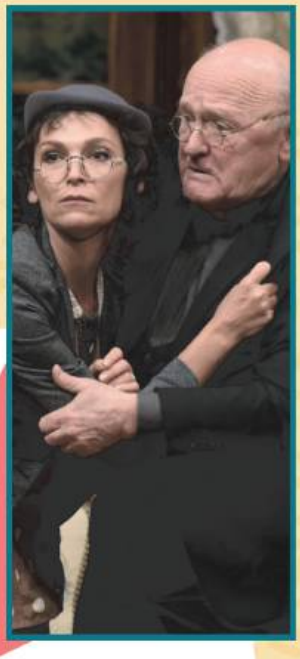

GRAMY DLA WAS
PRZEZ CAŁE WAKACJE!

• KUP BILET TEATR CAPITOL 2023 • www.teatrcapitol.pl •

Patroni Medialni: RMF MAXX, Tygodnik, Rzeczpospolita, ams, onet, Przegląd, Kobiety, Familie.pl

Partnerzy Teatru: Strefa Music, O bag, kicket, Aktywna Warszawa, mzo, mokosh

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl 6c60627df1

EKRANIZACJA BESTSELLEROWEJ POWIEŚCI **RACHEL JOYCE**

Jim BROADBENT **Penelope WILTON**

Niezwykła wędrówka Harolda Fry

NADZIEJA JEST PODRÓŻĄ

W KINACH OD 16 CZERWCA

Dystrybucja w Polsce
www.gatepegnefilms.pl

FILMWEB dla Lejdis.pl GAZETA.PL Przegląd

eprasa.pl 6c60627df1